Najciekawszy magazyn na święta dla całej rodziny!
Aż 124 strony

JAKA BĘDZIE „KORONA KRÓLÓW. JAGIELLONOWIE”?

TRZYMAJMY SIĘ DOBRYCH LUDZI – ROZMOWA Z MISJONARZEM KS. ANDRZEJEM ZIÓŁKOWSKIM

TO BĘDZIE ROK POLITYCZNYCH POJEDYNKÓW JAK Z WESTERNÓW!

PRZEPISY ŚWIĄTECZNE EWY WACHOWICZ

SIECI

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE
Nr 51 (525) 2022
19–26 grudnia 2022
CENA: 8,90 zł
(w tym 8% VAT)



TAJEMNICA TRZECH MĘDRCÓW

GRZEGORZ GÓRNY OPOWIADA FASCYNUJĄCĄ HISTORIĘ, KTÓRA DO DZIŚ ROZPALA WYOBRAŹNIĘ CHRZEŚCIJAN I WYWOŁUJE ZAŻARTE DEBATY NAUKOWCÓW

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694
9 772544 269205 51

Prenumerata
z prezentami

ROCZNA PRENUMERATA

SIECI + wSIECI HISTORII





Książka z autografem autora

37% TANIEJ
+ 3 KSIĄŻKI w prezencie

ROCZNA PRENUMERATA SIECI



33% TANIEJ
+ KSIĄŻKA w prezencie



Książka z autografem autora

Wejdź na: **www.wsieciprawdy.pl/prenumerata**

i zamów już dziś dla siebie lub bliskiej osoby roczną prenumeratę:

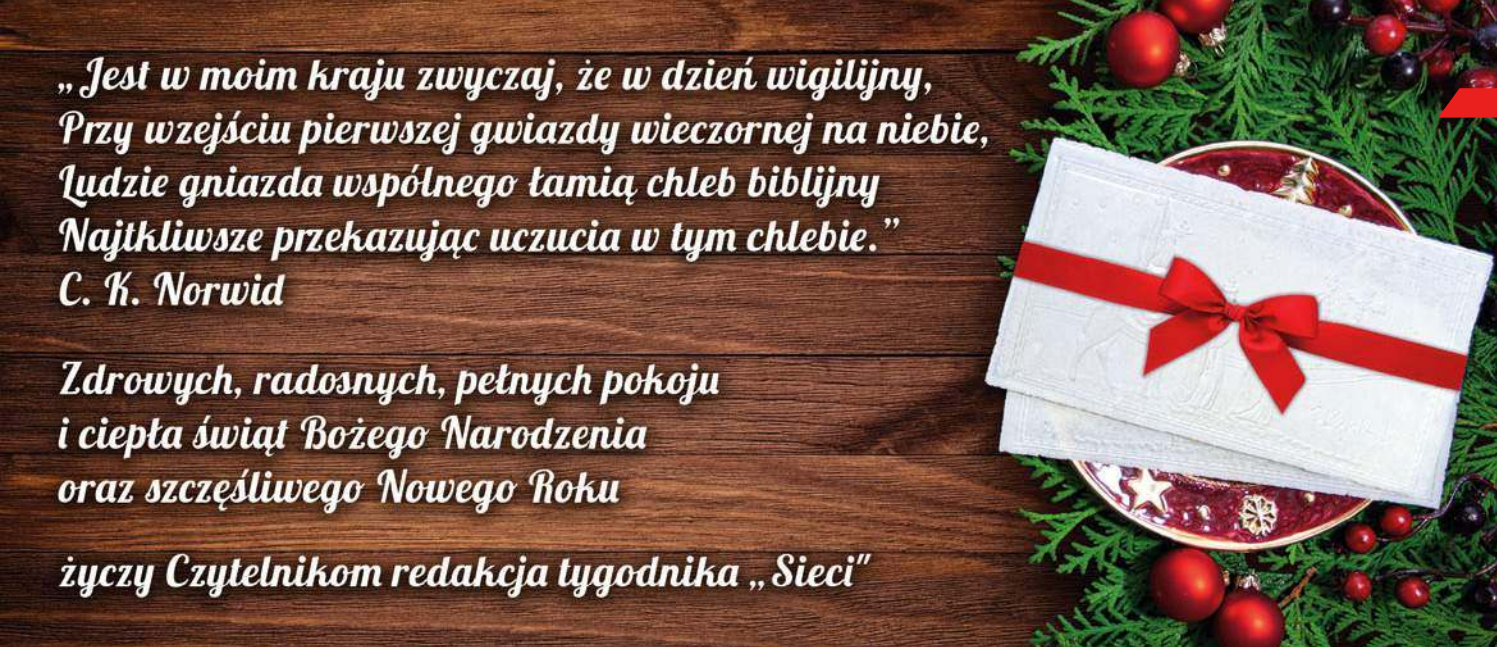
- tygodnika „Sieci” za 265 zł, a książkę dostaniesz w prezencie
- pakietu: tygodnika „Sieci” i magazynu „wSieciHistorii” za 295 zł, a w prezencie otrzymasz aż 3 książki*

Konto do wpłat za prenumeratę: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290, Fratria Sp. z o.o., ul. Legionów 126-128, 81-472 Gdynia, w tytule przelewu: PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI (swoje lub osoby obdarowanej prenumeratą).

*Książki z oferty dostępne do wyczerpania nakładu.

Kontakt: **prenumerata@fratria.pl** | **tel. 22 616 36 00** w godz. 9-16

eprasa.pl 52ff5dafe5



O czym będziemy rozmawiali przy świątecznym stole?

Poza sprawami rodzinnymi na pewno o tym, w jak zmiennych i trudnych czasach się znaleźliśmy. Ledwie skończyła się pandemia (w każdym razie jej ostra faza), a weszliśmy w sytuację wojenną. Otworzyło to w każdej polskiej rodzinie obawy, ale przede wszystkim uruchomiło chęć pomocy bliźniemu. Z tego, jak zdaliśmy ten egzamin, możemy być dumni. Putinowskie hordy orków także dzięki wysiłkowi Polaków nie przeszły na Zachód. Naród i państwo ukraińskie walczą bohatersko. Cena jest jednak ogromna, potrzeby rosną. Musimy w naszej pomocy wytrwać. Wierzę, że pusty talerz czekający w każdą wigilię na zagubionego wędrowca, będzie w tym roku dedykowany tym Ukraińcom, którzy cierpią w wyniku wojny.

Koszty obrony przed sowiecką hydrą odczuwa cała Europa, także Polska. Wzrost cen, problemy z energią, brak pewności jutra. Na szczęście możemy mieć nadzieję, że najgorsze za nami. Od marca przyszłego roku inflacja powinna zacząć spadać, już nie rośnie tak szybko jak wcześniej. Nasza gospodarka obroniła się, nie ma na razie wzrostu bezrobocia, tej dewastującej rodziny plagi. Pojawiła się szansa na odblokowanie należnych nam unijnych pieniędzy. Budujemy w szybkim tempie armię, która nie pozwoli, by u nas powtórzyły się takie zbrodnie rosyjskie jak te z Buczy, Irpienia, Mariupola i setek innych miejsc.

Wszystko to wymaga odpowiedzialności, patriotyzmu, sprawności. Taki musi być obóz Polaków przejętych sprawami ojczyzny. Taka jest nasza czytelnicza wspólnota. Tak musi działać obóz rządzący. Jeśli osobiste ambicje i drobne interesy doprowadzą do zniszczenia szansy, przed którą stoimy, jeśli Polska znowu wskutek egoizmu i nieudaczności miałaby trafić w ręce złodziei i sprzedawczyków, historia by nam nie wybaczyła.

Nasza wspólnota potrzebuje też modlitwy i mądrych biskupów, księży, zakonnic, zakonników. Podziękujmy im w te święta za to, że są i z takim oddaniem pełnią posługę. Nasz Kościół wciąż znajduje się pod straszliwym atakiem. Zły nie wstydzi się już nawet szargać dobrego imienia św. Jana Pawła II. Ale Polacy nie pozwolą, by kłamstwo zwyciężyło. Radość, z którą co roku świętujemy Boże Narodzenie, jest przecież także zobowiązaniem, by pójść za Nim, w służbie ojczyźnie, Kościołowi i bliźnim.

Michał Karnowski



Autopromocja

eprasa.pl 52ff5dafe5

SIECI

spis treści



42 **Z Czesławem Michniewiczem**
rozmawia Cezary Kowalski



54 **Wymarzony prezent pod choinką? Gotówka!**
Sondaż „Sieci”



64 **Z Małgorzatą Tomaszewską**
rozmawia Dorota Łosiewicz

NA POCZĄTEK

6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 **MIJANKA**
Krzysztof Feusette

9 **LISTY DO M.**
Dorota Łosiewicz

10 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski

12 **WY NAS CZY MY WAS?**
Jan Pietrzak

12 **PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort

14 **LEWICOWE WYZWANIE**
Bronisław Wildstein

16 **WALIZKA EWY WACHOWICZ**
Michał Korsun

18 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

19 **SIEDZIBA MUZEUM GOTOWA**
Marta Kaczyńska-Zielińska

20 **KARTY NA STÓŁ, IUSTITIO!**
Samuel Pereira

BOŻE NARODZENIE

24 **SEKRETNA HISTORIA TRZECH MAGÓW**
Grzegorz Górny

KRAJ

28 **DEBATA OBUCHEM**
Stanisław Janecki

30 **Z GEN. RIPLEYEM „RIP” ROWLINGSEM**
rozmawiają Jacek i Michał Karnowscy

35 **BEZKOMPROMISOWI**
Marek Pyza, Marcin Wikło

38 **BILET DO WOJSKA**
Konrad Kołodziejski

40 **PUSTE MIEJSCE DLA PRZYJACIÓŁ UKRAIŃCÓW**
Dorota Łosiewicz

42 **Z CZESŁAWEM MICHNIEWICZEM**
rozmawia Cezary Kowalski

ŚWIAT

46 **TO ŻADNA WYMIANA, TO PODDANIE SIĘ**
Marek Budzisz

50 **NIEDOSZŁY CESARZ NIEMIEC**
Aleksandra Rybińska

POD CHOINKĘ

54 **WYMARZONY PREZENT POD CHOINKĄ? GOTÓWKA!**
Sondaż tygodnika „Sieci”

56 **Z KS. ANDRZEJEM ZIÓŁKOWSKIM**
rozmawia Piotr Słabek

60 **W SAMO POŁUDNIE W 2023 r.**
Stanisław Janecki

64 **Z MAŁGORZATĄ TOMASZEWSKĄ**
rozmawia Dorota Łosiewicz

68 **POLSKIE MARKI. TRUDNE POWROTY**
Konrad Kołodziejski

72 **NEAPOL: W POSZUKIWANIU INNEGO ŻYCIA**
Jan Rokita

76 **Z DR. JANUSZEM JANOWSKIM**
rozmawia Maciej Walaszczyk

80 **HARRY I MEGHAN, CZYLI Z ŻYCIA KABOTYŃSKICH, POSTĘPOWYCH SFER**
Dariusz Matuszak

86 **Z MILENĄ STASZUK**
rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

90 **WYSADZIŁ SMOLEŃSK**
Wojciech Lada

94 **WIGILIA OD KUCHNI**
Ewa Wachowicz

98 **MOJE SMAKI: ALEKSANDRA KURZAK I MARZENA ROGALSKA**
Jolanta Gajda-Zadworna

100 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

102 **SAKRAMENTY ZAMYKAJĄ NASZE CZAKRY**
Robert Tekieli

104 **CZYTANIE JAKO SPORT EKSTREMALNY**
Wojciech Stanisławsk

106 **ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM**
Piotr Zaremba

NA KONIEC

118 **NASZE WIGILIE**
Alina Czerniakowska

119 **TOTALSI U ŚW. MIKOŁAJA**
Piotr Cywiński

120 **EUROBAKSZYSZ**
Wiktor Świetlik

120 **RODZINNYCH ŚWIĄT!**
Lech Makowiecki

121 **O ŚPIEWIE ANIOŁÓW**
Leszek Długosz

122 **PRAWDA KOLĘD**
Katarzyna Zybertowicz

Reklama | 4/1222/F

Następne wydanie tygodnika ukaże się we wtorek 27 grudnia. Błogosławionych świąt Bożego Narodzenia!

eprasa.pl 52ff5dafe5



Życzymy Świąt wypełnionych życzliwością,
zrozumieniem, wewnętrznym spokojem i radością.

A nowy rok niech darzy zdrowiem
oraz pomyślnością w realizacji planów.

Pogodnych Świąt życzy

Bank Pekao

eprasa.pl 52ff5dafe5



Sygnalista nadaje

Dr Leszek Sykulski zaproponował utworzenie czegoś w rodzaju list proskrypcyjnych w kontekście polskiej pomocy dla Ukrainy. „Obywatele, czas na tworzenie listy prowodyrów wojennych, którym »podziękujemy« w chwili ew. wybuchu wojny (z kwiatami w miejscu zamieszkania). Nawoływaczy do militarnego wspierania Ukrainy, do interwencji NATO, oflagowanych obcymi banderami... Wpisujcie delikwentów w komentarzach" – wzywał politolog. Fakt wart zauważenia: po cichu klaruje się w Polsce obóz już niemal jawnie prorosyjski. Wychodzi z prawej flanki, często ze środowisk wcześniej akceptowanych czy nawet szanowanych. I to to zapewne chodziło w tej rozpisanej na lata – a może i dekady – operacji specjalnej.

Janusz Korwin-Mikke przez większość życia zarażał Polskę wirusem antypaństwowym i antywspólnotowym, niezwykle toksycznym i bardzo szkodliwym, bo niszczącym to, czego i tak bardzo nam brakowało. Gdy przyszła wojna, znalazł sobie inne pole aktywności. Nie stroni od tez po prostu obrzydliwych. „Czasem słyszę: »Jak pan popiera Rosję, to niech pan tam jedzie«. Otóż to nie ma z sobą NIC wspólnego! Nawet gdyby w Rosji było okropnie i panowało tam ludożerstwo, byłbym za dobrymi stosunkami z Rosją, bo boję się rosnącej w potęgę Ukrainy i chcę za jej plecami mieć sojusznika" – ogłosił w typowy dla siebie sposób. Dziś te infantylne wygłupy na tle niewinnej krwi ukraińskiej brzmią wyjątkowo nieśmiesznie. Są czystym cynizmem – takim samym, jaki znamy z rosyjskiej telewizji państwowej. To ta sama sowiecko-putinowska bezczelność, ten sam grymas na twarzy.

Rosyjskie wpływy w Polsce tropi także ***Donald Tusk***: „Czy posłuchacie Putina, czy Kaczyńskiego, czy Orbána, zawsze znajdziecie teksty przeciwko mniejszościom, obsesje przeciwko LGBT+, te figury retoryczne, które mówią: »Zachód jest złem i zagrożeniem, bo deprawuje ludzi«. Znacie całą tę narrację Kaczyńskiego i PiS – ona jest nie podobna, ona jest identyczna, to jest jeden do jednego przekaz, który został zbudowany i przygotowany na Kremlu wiele lat temu. I jest multiplikowany przez tych polityków, dla których *de facto* wojna z Zachodem, z kulturą wolności, z demokracją o tych liberalnych korzeniach, z praworządnością jest najważniejszym celem". Tusk (celowo) myli pojęcia: to Kreml instrumentalnie wykorzystuje realne problemy Zachodu do swoich gier. To jednak nie Putin wymyślił szaleństwo genderyzmu czy seksualizację kilkuletnich dzieci, te zjawiska naprawdę istnieją. I żaden szantaż nie zwolni nas z obowiązku obrony Zachodu przed tymi ideologiami, które chcą uśmiercić naszą cywilizację.

Tusk zadeklarował także, że Roman Giertych nie wybiera się na stanowisko prokuratora generalnego, a on nie proponuje mu tego typu stanowiska i to się nie zmieni. Jednocześnie lider PO przyznał, że Giertych uciekł z Polski: „Trzeba też myśleć o optymalnym, możliwie najlepszym doborze ludzi, narzędzi, pomysłów. Szczególnie po tym, jak bez żadnego uzasadnienia aresztowano Giertycha, kiedy de facto *musiał uciec za granicę, jego determinacja wystarczy za pięciu". Tak, taką determinację PO zawsze ceniła, co wiele wybrzmiało na taśmach z Sowy i Przyjaciół.*

Jak wyglądałaby pomoc Polski dla Ukrainy, gdyby w Warszawie rządziła PO? Nie trzeba dociekać, my to po prostu wiemy. W lutym 2015 r., a więc już po uderzeniu Rosji na Donbas i Krym, Rafał Trzaskowski, wówczas wiceszef MSZ w rządzie Ewy Kopacz, deklarował jasno: „My w tej chwili broni nie będziemy dostarczać". Dlaczego? „Proszę pamiętać, że dostarczanie broni wiąże się z niesłychanymi konsekwencjami. To może doprowadzić przy nieobliczalności Putina do dalszej eskalacji problemu. Jeżeli Amerykanie chcieliby dostarczać tę nowoczesną broń, to musieliby przysłać swoich żołnierzy, żeby uczyli Ukraińców". Prawda jest taka, że oni się Rosji po prostu bali. To Polska Kaczyńskiego przełamała „czerwone linie", przed którymi

eprasa.pl 52ff5dafe5

drżała cała Europa. Polska Kaczyńskiego ocaliła Ukrainę i zatrzymała Rosję. Polska Tuska patrzyłaby biernie na podbój Kijowa. Kto twierdzi inaczej, ten po prostu kłamie.

Lider PO chce oczyszczać życie publiczne. „Stracimy moralne prawo do sprawowania władzy, jak zaniechamy rozliczenia tych, którzy zalali Polskę łajdactwem, bezwzględnością i pogardą" – mówił, zapewniając jednocześnie: „Jak jednak będziemy oczyszczać życie publiczne z korupcji, będziemy musieli z drugiej strony zrobić wszystko, by ten podział na dwa plemiona nienawidzące się już dzisiaj, jeśli nie zniknął, to był mniej intensywny". A wszystko po to, „byśmy mogli, i ja, i oni, żyć z sobą w jednym kraju bez nienawiści". Piękne deklaracje jak na człowieka, który myślał, że szczując na PiS i wyborców tej partii, zapewni sobie wieczne rządy. A co do walki z patologiami: w momencie, w którym Tusk potępiał korupcję, kamera najechała na twarz siedzącego na sali marszałka Senatu Tomasza Grodzkiego. Lepszej puenty nie trzeba.

PO tak bardzo walczy z podziałami politycznymi, że wychowała własnych fanatyków, zdolnych do nieświadomego powielania nazistowskich praktyk. 16-letnia Kamila z Wyszkowa opowiedziała „Gazecie Wyborczej" o potyczkach swojej rodziny z podręcznikiem do historii i teraźniejszości autorstwa prof. Wojciecha Roszkowskiego. Najpierw rodzice w rozmowie z dyrekcją szkoły domagali się, by w tej placówce nie korzystano ze wspomnianej publikacji. „Dyrektorka powiedziała, że podobno nawet nie planowała go wprowadzać, ale oni są przeczuleni. Nienawidzą PiS" – relacjonuje Kamila. A później było tak: „Mój tata kupił książkę Roszkowskiego i ją przeczytał. Ja tylko przeglądałam. Potem spaliliśmy ją w kominku jako gest protestu. Była dziwnie napisana: czytasz i nic nie zapamiętujesz. Długie, skomplikowane zdania". Chyba tylko słaba pamięć tej rodziny tłumaczy fakt, że powtarzają straszne gesty z lat 30.

Wracają straszne lata 90. W rozmowie dotyczącej rocznicy zamordowania prezydenta Gabriela Narutowicza ***Adam Michnik*** zestawił Eligiusza Niewiadomskiego, zabójcę Narutowicza, z uczestnikami Marszu Niepodległości. „To jest tak, jakby została wpuszczona do organizmu trucizna i ta trucizna do dziś działa. Jak obserwuję 11 listopada tzw. marsze niepodległości, to przed oczami mam Zachętę, gdzie endecki psychopata strzela do mojego prezydenta" – mówił naczelny „GW" w „Newsweeku", dodając: „W tych marszach są tacy jak Niewiadomski – fanatycy, z którymi się nie da rozmawiać". Już raz ta strategia doprowadziła Czerską do klęski, ale jak widać, oni też nie wyciągają wniosków z historii.









Fot. Andrzej Skwarczyński x2, Andrzej Wiktor x2

Dominika Lasota, aktywistka klimatyczna, która podczas szczytu COP27 w Egipcie zaczepiła prezydenta Andrzeja Dudę, w rozmowie z „Plusem Minusem" przekonywała, że w Polsce jest potrzebna odważna polityka klimatyczna, ale polscy politycy wciąż unikają tematu. Żaliła się także, że nikt w Polsce nie daje nadziei młodym ludziom, a rządy PiS są traumatyzujące. „Spróbuj sobie wyobrazić, jak to jest całe swoje świadome życie polityczne przeżywać za rządów PiS. Jest w tym naprawdę spory potencjał na załamanie się. Nikt nam tej nadziei w Polsce nie daje, musimy same jej szukać i często z trudem się jej trzymać, by nie zwariować". Czy jest sens tak się martwić bieżącą polityką, skoro za dekadę, najdalej dwie, świat się skończy?

Poseł KO ***Dariusz Rosati*** najpierw poinformował, że nie może stawić się w Sejmie, ponieważ złapał COVID-19, ale „duchem i sercem wspieram koleżanki i kolegów z Koalicji Obywatelskiej, którzy na sali sejmowej walczą o praworządność i demokrację". Kilka godzin później postanowił jednak wesprzeć swój klub również ciałem i pojawił się w parlamencie. Szef klubu KO Borys Budka bronił swojego posła tak oto: „Z tego, co wiem, pan poseł Rosati nie ma żadnych objawów, założył maseczkę i przyszedł tylko zagłosować. Tak jak większość Polaków chodzi do pracy". Zdaniem ministra zdrowia Adama Niedzielskiego to elementarny brak odpowiedzialności oraz narażanie zdrowia wszystkich posłów i całego rządu. Sumując, to bardzo dobra metafora istoty programowej opozycji totalnej.

W Łodzi odbył się kongres Nowej Lewicy i partii Razem, podczas którego na jednej z tablic młodzi działacze wpisali swoje postulaty programowe. Co konkretnie? Dostęp do rzetelnej opieki psychiatrycznej, legalizacja marihuany, likwidacja przemocy w szkole, klasie, poprawa w relacjach na linii nauczyciel – uczeń, przeszkolenie wojskowe niezależne od płci, penalizacja mowy nienawiści, progresywne podatki, refundacja korekty płci i antykoncepcji, uzgodnienie płci bez pozwolenia rodziców, badania na HIV w koszyku badań przesiewowych refundowanych z NFZ, obniżenie kar za przestępstwa bez ofiar, równość dla osób niepełnosprawnych bez względu na chorobę, zakaz spowiadania dzieci, dostęp do eutanazji, polepszenie opieki penitencjarnej, parytety i suwaki na listach wyborczych. W sumie mieszanina spraw słusznych i strasznych. I jedno się zgadza: w takim świecie bez opieki psychiatrycznej się nie obędzie.

eprasa.pl 52ff5dafe5

Mijanka



KRZYSZTOF FEUSETTE

Tusk: I co, rekiny wy moje polityczne, opadły szczęki?
Schetyna: A czemu?
Tusk: Mi-jan-ka!
Kierwiński: Kto?
Tusk: Mijanka! Od „mijania”!
Kierwiński: Znowu pan przewodniczący prawo jazdy stracił?
Tusk: Nie wiecie, zakute pały, co to jest sondażowa mijanka? Przegoniliśmy pisiorów!
Budka: Kim jesteś? Jesteś zwycięzcą! Kim jesteś? Zaraz, a to nie jest przypadkiem jakiś Kantar?
Tusk: Kantar srantar. Co cię sondażownia obchodzi? Znalazł się, politolog. Masz mijankę w sondażach, to ją wykorzystaj! Ty wiesz, o czym to świadczy?
Schetyna: W jednym.
Tusk: Co jednym?
Schetyna: W jednym sondażu. I to jest Kantar.
Tusk: Ho, ho, następny ekspert od wizerunku. Co wy w ogóle wiecie o polityce? Wielkie „G” i wielkie „W”! To ja wam wytłumaczę: jak jest sondaż, psia mać, w którym, psia mać, nasza partia, niech jej ziemia lekką będzie, po raz pierwszy zajmuje pierwsze miejsce...
Kierwiński: Nie pierwszy. Jużeśmy dwa razy tak mieli.
Tusk: I co?
Kierwiński: Nic, spadło.
Tusk: Nie pytam, co się stało, tylko co ma wynikać z tego, że to nie jest pierwszy taki sondaż?
Kierwiński: No, że nie można tak mówić...
Tusk: Kto nie może? Ja? Skoro mówię, że byłem antyrosyjski, a 500 plus mieliśmy w szufladzie zakopaczowane, to tego nie mogę? Kto sprawdzi? A jak sprawdzi, to się powie, że pierwszy tak ważny, pierwszy w kampanii, pierwszy od dłuższego czasu...
Kierwiński: Pan przewodniczący to zawsze potrafi tak człowieka ukierunkować, że on już potem wie, czego nie pamięta. Jak ten Sokrates.
Schetyna: No, nie wiem...
Tusk: Słucham? Co się koledze nie podoba?
Schetyna: Wszystko się podoba, tylko nie jestem pewien, czy Kantar jest wiarygodny.
Tusk: O, i to jest polska mentalność. Posiedziałbyś, Grzesiu, na zachodzie Europy, tobyś wiedział, że po pierwsze primo, z drugiego najlepiej się atakuje, a po drugie primo, jeśli ty w siebie nie wierzysz, nikt w ciebie nie uwierzy.
Budka: Ja wiem, o czym pan przewodniczący mówi. Ja byłem demokratycznie wybranym liderem partii, a potem wrócił ten ryży... No nic, w każdym razie człowiek człowiekowi stołkiem. Najczęściej w głowę. A potem ze stołka. Trzeba być twardym. Jeśli pan przewodniczący twierdzi, że nasz wzrost jest trwały, to ja tylko mogę wyrazić uznanie dla mojej skromnej osoby, że zobaczyła w panu przewodniczącym spełnienie naszych...
Schetyna: Tyle że w innych sondażowniach nie wygrywamy.
Tusk: Bo się boją! Jak w każdym reżimie!
Schetyna: Ale w jakim? W takim, w którym opozycja może wygrać wybory?
Kierwiński: O, przepraszam. Niech kolega nie podważa wiodących punktów naszego programu, bo to kolega sam wymyślił hasło tzw. totalnej opozycji.
Tusk: Proszę bez uwag personalnych. Załatwicie to po spotkaniu. Teraz trzeba się zastanowić, jak odbić się od tych sondaży jeszcze wyżej.
Schetyna: Od jednego.
Tusk: No, żeż trzymajcie mnie, bo komuś wytnę zaraz w paprotkę! Tak chcesz mówić? Że „nie wszystkie sondaże, pani redaktor, nawet nie kilka, ani nawet nie dwa...”? Co ja przed chwilą mówiłem?!
Budka: A jak ktoś zapyta, z czego to się wzięło?
Tusk: Jak z czego? Ciężka praca lidera, jego wieloletnie doświadczenie w pracy za granicą, choćby w Peru...
Budka: Tyle to wiem. Ale jak tłumaczyć, że tutaj jest tak, a u innych inaczej?
Tusk: Nie przesadzajmy. Tu o 4 proc. więcej dla nas, tam o 10 więcej dla PiS. To ile będzie? Dziesięć odjąć cztery...
Schetyna: Dodać.
Tusk: Jak dodać, jak różnicę liczę?
Schetyna: Ale tu jest plus, a tam minus.
Tusk: Tak, a w środku bateryjka. Weź, przestań się ośmieszać...
Kierwiński: Czyli wygramy, tak?
Tusk: Ale co?
Kierwiński: No, wybory. Do Sejmu, Senatu, samorządowe, europejskie, prezydenckie? À propos, czy nie znalazłby pan przewodniczący chwili po spotkaniu, żebyśmy obgadali pewne sprawy, bo ja mam kilka pomysłów...
Tusk: A ty chcesz być w sztabie?
Kierwiński: No, myślałem, prawdę mówiąc, o czymś wyżej. Może... nawet... do Belwederu...
Tusk: Przy takim ego zawadzałby kolega głową w żyrandol. Ale jeśli komuś się wydaje, że będzie coś ustalać za moimi plecami...
Kierwiński: Ale jak za plecami, jak ja otwarcie, z odsłoniętą przyłbicą...
Tusk: O, właśnie, lepiej już zasłońcie. Bo w sensie merytorycznym to nie wnosi niczego. A my potrzebujemy pomysłów.
Schetyna: To może ja. Kupmy sobie sondażownię, a potem zróbmy badanie wśród członków i ogłośmy, że Kantar to jest mały pikuś, bo w sondażu Instytutu Srutu-Tutu Majtki z Drutu – Platforma Obywatelska osiąga, bez kozery powiem: pincet.
Tusk: Odwaliło wam. Nie jesteście godni uczyć się od najlepszych, nie potraficie złapać w zęby nadarzającej się szansy. Tam, gdzieś, przy zalanych kawą biurkach bohaterscy ankieterzy starają się wymyślić coś oryginalnego, a wy to obwąchujecie jak plastelinę z dywanu? Więcej wiary! No, kto wygra wybory? Platforma! Kto?! Platforma! Czemu, psia mać, nie krzyczycie?!
Schetyna: Gardło mnie boli.
Budka: Ja mogę. Tylko nie pamiętam co.
Kierwiński: Nic się nie stało! Platformo, nic się... A, nie, przepraszam...

eprasa.pl 52ff5dafe5

Listy do M.

Zebrałam się na odwagę i zaczęłam przeglądać „listy”. Żadnego iPhone’a, laptopa, aparatu fotograficznego? „Co jest grane?” – pomyślałam

Telefon zawarczał złowieszczo. Złowieszczo, bo chwilę po tym, gdy córka mnie zapytała, czy już można składać zamówienia do św. Mikołaja i czy można to zrobić Messengerem. Łaskawie się zgodziłam. Tylko najmłodsza pisze jeszcze tradycyjne listy do świętego, choć już mocno powątpiewa w jego w istnienie, bo rok temu nieco starsza kuzynka uświadomiła ją w tej materii. Wytłumaczyła, że był taki dobry biskup dawno, dawno temu, a teraz to rodzice na jego wspomnienie udają św. Mikołajów. Jednak najmłodsza, nie mając pewności, czy to aby na pewno prawdziwa wersja zdarzeń, postanowiła jednak napisać ten list. I wręczyła mi go ze słowami: „Możesz sobie przeczytać, a potem wyślij Mikołajowi”.

Telefon zawarczał powtórnie. Rzuciłam na niego okiem, bojąc się przeczytać, jakie to tym razem posypią się zamówienia. Zebrałam się na odwagę i zaczęłam przeglądać „listy”. Pierwszy, od jednej córki, dotyczył sportowej czapki, a kwota zamówienia nie przekraczała 30 zł. Żadnego iPhone’a, laptopa, aparatu fotograficznego, nawet smartwatcha? Spojrzałam na zamówienie od drugiej i poważnie się zaniepokoiłam. Pod linkiem futrzane nauszniki w podobnej kwocie co czapka pierwszej. „Co jest grane?” – pomyślałam. Rzuciłam więc okiem na list od najmłodszej. Na pierwszym miejscu gra planszowa „Monopoly”. „Żadnego badziewia z wielkimi, wyłupiastymi oczami?” – znów niespodzianka. I wtedy pojawił się synek rodzynek.

– Mamo, ja nic nie będę pisał. Ja chcę tylko karnet na siłownię. Będę robił rzeźbę, bo masa już jest – oznajmił. I wtedy nabrałam głębokiego podejrzenia, że ktoś mógł mi podmienić dzieci. Bo czy to możliwe, żeby w tym roku mogło pójść tak gładko?

– O co chodzi z tymi zamówieniami – zapytałam kilka chwil później dziewczyn?

– Jakieś takie mało wymagające – dodałam.

– A bo wiesz, mamo, my to właściwie wszystko mamy. Jakoś tak głupio chcieć więcej, jak tam na Ukrainie dzieci umierają – powiedziała jedna. – No i tyle mówią o kryzysie i że wszystko drożeje – dodała druga.

Wyszłam z ich pokoju zaskoczona i zadumana, jak bardzo w ciągu ostatniego roku dzieciakom zmieniło się spojrzenie na życie. A może to się nawet zaczęło trochę wcześniej. Najpierw ich świat zatrząsł się w posadach, gdy wszystko opanowała pandemia. Nagle okazało się, że na każdym kroku czyha śmiercionośny wirus, który na dłuższy czas pozbawił dzieci szkoły i mocno ograniczył kontakty z przyjaciółmi. Wiele rodzin musiało pożegnać swoich najbliższych, niemal w każdym domu w ub.r. kogoś zbrakło.

Nim skończyła się pandemia, za naszą wschodnią granicą wybuchła wojna. Rosja brutalnie najechała Ukrainę, szczerząc kły do całej Europy. Codziennością w przekazach medialnych stały się czołgi, rakiety, zniszczenia, mordy, gwałty, tortury. I to nie gdzieś daleko, na końcu świata, ale tuż obok, u naszych sąsiadów. Tak blisko, że niespodzianie pod dachem naszego domu pojawiła się siódemka uciekinierów z Ukrainy, w tym aż czworo małych dzieci. Wojna stała się bliższa i bardziej namacalna niż kiedykolwiek. Na wojenną rzeczywistość niespodziewanie nałożył się wywołany wojną kryzys, rosnące ceny w sklepach i zwykły strach o to, czy będzie ciepło. Tak długo żyliśmy w bezpiecznych, dostatnich czasach, że nawet nie podejrzewaliśmy, jak szybko wszystko może się odmienić. A co dopiero mają powiedzieć dzieci, których życiem co i rusz wstrząsa jakiś kataklizm?



I tak sobie myślę, że w tym roku warto mniej trapić się tym, co będzie pod choinką, czy zdążymy wszystko posprzątać, wyszorować, ugotować, zapakować, odebrać, przywieźć. Powinniśmy podziękować za wszystko, co mamy. Powinniśmy cieszyć się obecnością bliskich, pokojem w naszym kraju. To Boże Narodzenia powinno być czasem refleksji nad tym, jak ulotne jest życie, jak często wyolbrzymiamy błahe problemy i jak wiele powodów do radości daje nam każdy dzień. I nawet jeśli nie zdążymy przygotować 12 potraw, upiec wszystkich ciast czy wyszorować wszystkich podłóg, to i tak nikt nie anuluje Bożego Narodzenia. Odetchnijmy więc z ulgą, cieszmy się tym, co mamy i nie pragnijmy tego, co nieosiągalne. Tej umiejętności sobie i Państwu życzę!

Dorota Łosiewicz

O krok od kryzysu



Rząd Viktora Orbána przedłużył do 30 kwietnia 2023 r. limity cen na podstawowe produkty żywnościowe. W ubiegłym tygodniu zdecydował jednak o zniesieniu obowiązującego od listopada 2021 r. górnego pułapu cen na paliwo. Wywołało to panikę. Węgrzy zaczęli ustawiać się w kolejkach przed dystrybutorami, by zdążyć zatankować po niższych cenach, a te natychmiast wystrzeliły do góry o 40 proc. Paliwa zaczęło brakować i wprowadzono reglamentację. Szef koncernu naftowego MOL Zsolt Hernádi ocenił sytuację jako krytyczną, przypominającą epokę kadaryzmu. Problemy spowodowała nieopłacalność sprzedaży paliw po zaniżonych cenach (ok. 5,36 zł), tankowanie na zapas, turystyka paliwowa sąsiadów, ale także nowe sankcje na import rosyjskiej ropy.

Jest jeszcze poważniejszy problem. Wskaźnik inflacji poszybował na Węgrzech do 22,5 proc., osiągając najwyższy pułap w Europie. Średni wzrost cen konsumpcyjnych wyniósł tam 24 proc. Szokują przede wszystkim wzrosty cen żywności. W listopadzie były aż o 43,8 proc. wyższe niż przed rokiem. W ciągu roku jaja zdrożały o 103 proc., chleb o 81,8 proc., przetwory mleczne o 79 proc., a ceny energii o prawie 66 proc.

Rząd Węgier za wszystko obwinia Unię Europejską i unijne sankcje nałożone na Rosję. Jednak źródłem węgierskich kłopotów zdaje się też skrajnie regulacyjna polityka, podwyżki w budżetówce i polityka socjalna. Szef Banku Centralnego György Matolcsy podczas wystąpienia w parlamencie poddał ją ostrej krytyce. Stwierdził wprost, że po 2021 r. nie podejmowano trafnych decyzji gospodarczych, a zamrażanie cen powoduje wzrost inflacji i należy się z tego wycofać. Przestrzegał również przed kryzysem. „Nie wolno nam wracać do socjalizmu, który udowodnił, że pułapy cenowe nie działają" – apelował.

Ustawa „Ár stop" (Ceny stop) weszła w życie 1 lutego na trzy tygodnie przed wybuchem wojny i miała obowiązywać trzy miesiące. Wbrew apelom Matolcsyego została przedłużona do końca kwietnia przyszłego roku. Tarcza objęła takie produkty, jak mleko, cukier, mąka pszenna, ziemniaki, olej, udźce wieprzowe i piersi z kurczaka. Ceny zamrożono, ale na półkach jest ich coraz mniej. Ludzie kupują tańsze towary na zapas, a ministerstwo rolnictwa apeluje o robienie zakupów z umiarem.

Premier Orbán nie tylko utrzymał limity na ceny żywności, ale zapowiedział też wzrost świadczeń emerytalnych o 15 proc. Węgry bardzo potrzebują pieniędzy, więc rząd węgierski wycofał weto ws. unijnej pomocy dla Ukrainy i poszedł na ustępstwa, co spowodowało odblokowanie KPO dla Węgier w wysokości 5,8 mld euro i zgodę na zamrożenie 30 proc. funduszy spójnościowych.

Maciej Walaszczyk

Fot. Menno van der Haven/Shutterstock.com

Węglowa korupcja



W Mongolii wybuchły gwałtowne protesty po tym, jak media w Mongolii ujawniły informację o gigantycznej korupcji i złodziejstwie urzędników państwowych. Wściekli demonstranci w Ułan Bator próbowali nawet zdobyć siedzibę rządu. Są to największe manifestacje od 1991 r., kiedy obalono komunistyczny reżim.

Podczas rozpędzania protestujących ucierpiało sześć osób, ale ani akcje policji, ani zapowiedź śledztwa, ani też groźba wprowadzenia stanu wyjątkowego nie uspokoiły nastrojów i demonstracje trwały przez cały ostatni tydzień mimo bardzo mroźnej pogody (nocą w Ułan Bator temperatura spada do minus 30 stopni).

Iskrą, która spowodowała wybuch zamieszek, było ujawnienie chińskiego raportu, z którego wynikało, że tamtejsi importerzy otrzymali z Mongolii znacznie mniej węgla, niż podawały to oficjalne mongolskie statystyki. Skala ubytków jest gigantyczna, media informują, że ukradziono węgiel o wartości od 12,9 do nawet blisko 18 mld dol. Proceder miał trwać kilka lat i o gigantyczny przekręt są oskarżani ludzie zarówno z kierownictwa państwowego eksportera węgla, jak i chroniący ich przedstawiciele najwyższych władz, w tym były premier.

Jednak największą wściekłość demonstrujących wzbudziła informacja, że choć władze Chin przekazały już kilka miesięcy temu precyzyjne dane na temat osób uwikłanych w proceder, to władze w Ułan Bator mimo rozpoczęcia śledztwa postanowiły utrzymać całą sprawę – w tym personalia zamieszanych osób – w sekrecie. To dlatego jednym z głównych postulatów protestujących było żądanie ujawnienia nazwisk urzędników uwikłanych w przestępczy proceder. Rządowi zarzuca się, że odmawiając upublicznienia sprawy, w gruncie rzeczy chroni mafię kontrolującą handel węglem i chce zamieść aferę pod dywan. Emocje wzrosły jeszcze bardziej, gdy wśród protestujących zaczęli pojawiać się ludzie próbujący przekupić demonstrantów i przekonać ich o tym, że warto wrócić do domu.

Manifestacje, które początkowo miały wydźwięk niemal wyłącznie antykorupcyjny, przekształciły się nieoczekiwanie w protest pokoleniowy, bo ich najaktywniejszymi uczestnikami są studenci i młodzi ludzie domagający się głębokich reform w kraju – obniżenia podatków, walki z zanieczyszczeniem środowiska i zmian politycznych.

Marek Budzisz

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 52ff5dafe5



Meksyk

Rekordowa pielgrzymka

Między 8 a 12 grudnia przebywałem w stolicy Meksyku, gdzie mogłem obserwować nieprzerwany strumień pielgrzymów napływających do sanktuarium Matki Bożej z Guadalupe. W ciągu tych dni – jak podała burmistrz miasta Claudia Sheinbaum Pardo – do bazyliki pod wzgórzem Tepeyac przybyło aż 11 mln wiernych. Nie ma drugiego ośrodka kultu chrześcijańskiego na świecie, który przyciągałby tak wiele osób jak właśnie miejsce objawień maryjnych z 1531 r.

Zdaniem komentatorów tegoroczny rekord wynikał m.in. z tego, że przez ostatnie dwa lata obowiązywały restrykcje związane z koronawirusem, które ograniczały możliwość pielgrzymowania. Gdy tylko bariery zostały zniesione, do Guadalupe ruszyła fala pielgrzymów. Przybywali tam z wszystkich zakątków kraju pieszo, rowerami, motocyklami, furgonetkami, autobusami lub ciężarówkami, udekorowanymi palmami, kwiatami, lampionami, kolorowymi obrazami lub figurami Maryi. Niezliczone rzesze nocowały na placach, ulicach, chodnikach i trawnikach w pobliżu sanktuarium. Uwagę zwracała zwłaszcza duża liczba młodych mężczyzn, nie tylko niewstydzących się swojej wiary, lecz manifestujących ją publicznie. Mimo olbrzymiego napływu przybyszów w stolicy nie zanotowano żadnych poważniejszych incydentów.

Podczas tradycyjnej „mszy różanej" w bazylice kard. Carlos Aguiar Retes zainaugurował Międzykontynentalną Nowennę Guadalupiańską, która ma potrwać dziewięć lat – do 12 grudnia 2031 r., czyli do rocznicy 500-lecia objawień w Guadalupe. Celem tej wielkiej duszpasterskiej akcji ma być powierzenie losów Kościoła i świata w ręce Maryi w tak trudnym momencie historii, w jakim obecnie żyjemy. Matka Boża z Guadalupe jest symbolem pojednania dwóch cywilizacji: chrześcijańskiej i indiańskiej, dwóch kultur: hiszpańskiej i azteckiej. Zdaniem meksykańskich biskupów dziś ich krajowi oraz światu także jest potrzebne pojednanie w głęboko podzielonym społeczeństwie. Czas pokaże, czy deklarowana w tych dniach wiara przełoży się na praktykę życia publicznego.

Grzegorz Górny

Wyścig w kosmosie

Po kilku latach budowy Chiny uruchamiają stałą stację orbitalną Tiangong (Niebiański Pałac), stając się tym samym trzecim państwem w historii – po Stanach Zjednoczonych i Rosji, które uruchomiło bazę kosmiczną.

W poprzednią niedzielę z orbity powrócił statek Shenzhou 14. Jego załoga, w której skład weszła pierwsza chińska astronautka Liu Yang, spędziła na orbicie pół roku, nadzorując montaż dwóch ostatnich modułów stacji Tiangong. Kosmonauci wykonali również kilka spacerów w otwartej przestrzeni kosmicznej, a na koniec przekazali stację załodze kolejnego statku – Shenzhou 15. Wyprawa Shenzhou 15 również potrwa pół roku i ma być ostatnią z 11 misji kosmicznych, których celem jest uruchomienie stałej bazy orbitalnej. Jej zadaniem będzie instalacja i kalibracja urządzeń na stacji Tiangong. Gdy te prace zostaną ukończone, stacja będzie mogła przyjmować dwie misje załogowe rocznie. Jej żywotność oblicza się na 10 lat.

Kosmiczne ambicje Pekinu liczą sobie pół wieku i sięgają wiosny 1970 r., gdy rakieta Długi Marsz 1 umieściła na orbicie pierwszego chińskiego satelitę. Od 2003 r. Chiny regularnie wysyłają w kosmos misje załogowe. Od kilku lat jest szykowany start pierwszej chińskiej rakiety wielokrotnego użytku, która – podobnie jak amerykański Falcon 9 firmy SpaceX – po wyniesieniu statku kosmicznego na orbitę powróci na Ziemię i wyląduje. Na razie największym wyzwaniem dla chińskich inżynierów jest opracowanie systemu precyzyjnego lądowania rakiety. Jeśli jednak zdołają go opracować, to Pekin zrobi duży technologiczny krok naprzód, a przy okazji obniży koszty swojego programu kosmicznego. Na razie trwają tajne testy nowego systemu.

Uruchomienie stałej stacji orbitalnej jest ważnym krokiem w stronę wyprawy księżycowej. W grudniu 2018 r. Chińczycy odnieśli prestiżowy sukces, gdy sonda Chang'e 4 po raz pierwszy w dziejach wypraw kosmicznych wylądowała po ciemnej stronie Księżyca. Zdaniem Amerykanów głównym zadaniem sondy było zbadanie gruntu księżycowego pod kątem możliwej eksploatacji surowców. Dwa lata później na Księżyc dotarła sonda Chang'e 5, która zebrała i dostarczyła na Ziemię próbki gruntu oraz pozostawiła na jego powierzchni chińską flagę. Ma ona poczekać na pierwszych chińskich astronautów, którzy zgodnie z planami Pekinu mieliby wylądować na Księżycu w 2030 r. Chiny nie ukrywają, że chciałyby uruchomić tam stałą bazę załogową, a potem wziąć udział w wyścigu na Marsa.

Nie chodzi tylko o prestiż czy o prężenie technologicznych muskułów. Prawdziwy bój z Amerykanami będzie się toczył o dostęp do drogich, rzadkich minerałów występujących na Księżycu. Za sprawą rywalizacji między USA i Chinami podbój kosmosu wchodzi w nową fazę.

Konrad Kołodziejski



Chiny

Fot. Shirley Preston/Shutterstock.com
Fot. Guadalupe Pollo/Shutterstock.com

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Wy nas czy my was?



Jan Pietrzak

Tyle rzeczy się dzieje w końcówce roku, że trudno nadążyć. Przypomina mi to pracę w fabryce telewizorów za młodu, kiedy w grudniu trzeba było odrabiać zaległości produkcyjne z całego roku. Czyli wykonać plan. Trzy czwarte roku produkowało się „coś", ale niezupełnie, ponieważ nie nadchodziły zaplanowane w innych fabrykach skrzynki i kineskopy. Akurat w okresie świąteczno-noworocznym dzielne załogi po 12 godzin na dobę zaklejały dziury planu centralnego.

Teraz mamy trudniej, ponieważ plany są sprzeczne. Mądre – państwowe. Głupie – opozycyjne. Tak się porobiło. Np. państwo celowo planuje powiększenie armii i niezbędnego uzbrojenia, z kolei opozycja planuje, że kiedy dojdzie do władzy, zminimalizuje armię do wymiaru sił zbrojnych Republiki San Marino. Czołgi Abrams i Black Panther bardzo się nie podobają politykom opozycji, gdyż niepotrzebnie drażnią Moskwę. Ich sojusznicy z Paryża i Berlina głównie się martwią, czy Putinowi nie stanie się krzywda w wojnie z Ukrainą. Poza tym, po co wydawać pieniądze z budżetu, które można by wyprowadzić za pomocą luki VAT-owskiej, pytają w kuluarach rozżaleni rachmistrze od Vincenta. Swoją drogą trochę żal, że nie ma już knajpy u Sowy, skąd można by usłyszeć pikantne szczegóły tych dialogów.

W najkrótszej perspektywie planowanie rządu dotyczy usunięcia kamieni milowych, blokujących wypłatę naszych pieniędzy z „naszej" UE. Sejm przegłosował ustawowy papier milowy, ale czy wrogowie nie mają planu B i nie będą rzucać kłód pod nogi, tego nie wiemy.

Wielu rzeczy nie da się dokładnie zaplanować, bo kłamstwo totalnie zalewa rzeczywistość. Nawet Putin się zirytował, że jego agenci za słabo kłamią i samopas puścił w eter wredną brednię o Polsce, która rzekomo chce odebrać Ukrainie ziemię „przyznaną" przez Stalina. Ten ostatni ma do tej pory swoich zwolenników w rodzaju prezydenta Olsztyna, który niezłomnie strzeże sowieckiego pomnika, zwanego potocznie „szubienice". Oj, żeby sobie nie wykrakał...

Zwracam uwagę na wszechobecny dualizm, bo jak to ładnie ujął premier: was jednoczy nienawiść do PiS, nas łączy miłość do Polski. Teraz chodzi o to, czy wy nas, czy my was...

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Świecki, a nieśmiertelny...



Dominik Zdort

Wiele wody w Wiśle upłynęło od wydania ważnej dla antykomunistycznej opozycji książki „Kościół, lewica, dialog". Autor, znany antykomunistyczny działacz, w 1977 r. opisał możliwości współdziałania swojego laickiego środowiska z Kościołem. Książka powstała w przyklasztornym ośrodku dla niewidomych dzieci w Laskach. Bo zakonnice przygarniały także pisarzy i aktywistów, którym nie po drodze było z systemem, choć niekoniecznie utożsamiali się z katolicyzmem.

Po latach twórca „Kościoła, lewicy, dialogu" uznał, że zawarte w tym eseju recepty z czasów komunizmu są już nieaktualne i nie da się ich stosować w wolnej Polsce. Kierowana przez niego gazeta jednak długo jeszcze nie odrzucała chrześcijaństwa totalnie, chętnie dialogowała z tymi kręgami kościelnymi, które zgadzały się nie wspierać tradycyjnych wartości.

Dziś ani autor wspomnianej książki, ani jego młodsi koledzy pola do dialogu z czymkolwiek, co kojarzy się z Kościołem, a nawet szerzej – z chrześcijaństwem, jego tradycjami i obyczajami – nie dostrzegają. To na łamach wspomnianej gazety jest prowadzona akcja zniechęcania dzieciaków do uczestnictwa w lekcjach religii, a ostatnio też są propagowane protesty przeciw szkolnym wigiliom.

To znaczy: wigilia w szkole zdaniem inicjatorów tej akcji może sobie być (uczniowie wszak lubią ten czas bez lekcji, odpytywania i klasówek, a nie można ryzykować utraty ich poparcia), ale świecka. Na pewno bez dzielenia się opłatkiem i bez kolęd, najlepiej bez choinki, a może i bez prezentów.

Ci, którzy optują za takimi obchodami, raczej nie rozumieją znaczenia słowa „wigilia". No bo wigilia to dzień poprzedzający jakieś święto czy wydarzenie – np. akcja „Dziewczynki z zapałkami" dzieje się w wigilię Nowego Roku. A owa wigilia, której zmiany domagają się niektórzy, to wigilia świąt Bożego Narodzenia.

Nawoływanie, by w sposób świecki obchodzić rocznicę narodzin wcielonego Boga, mogli wymyślić tylko satyrycy. Albo całkowici ignoranci. No ale cóż, skoro mamy wino i piwo bezalkoholowe, a nawet dżin i whisky pozbawione procentów, skoro są bezmięsne hamburgery, to może czas też na niereligijne świętowanie (świeckowanie?) urodzin Syna Bożego?

Coś czuję, że to nie koniec. Bo w kolejce już czeka msza świecka z komunią świecką. A na koniec uczestnicy odśpiewają suplikację „Świecki Boże, Świecki Mocny...".

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl

Reklama | 8/1222/F

eprasa.pl 52ff5dafe5



Mijający rok był dla wszystkich czasem burzliwych doświadczeń.
Po raz kolejny przekonaliśmy się, jak ważną rolę w naszym życiu
pełni poczucie wspólnoty i solidarności.

Z okazji nadchodzących Świąt Bożego Narodzenia
życzymy Państwu, aby rodzinna atmosfera wigilijnego wieczoru
była dla każdego z nas nieustannym źródłem siły, nadziei i miłości.

Niech Nowonarodzony Chrystus
pozwoli nam jeszcze bardziej otworzyć się na potrzeby innych,
umocni w poczuciu jedności i napełni nasze serca pokojem.

Bądźmy razem w święta.

TVP

eprasa.pl 52ff5dafe5

BRONISŁAW WILDSTEIN

Lewicowe wyznanie

Można uznać, że podział na lewicę i prawicę jest już w małym stopniu aktualny. Wywodzi się z dość przypadkowego faktu historycznego, a dziś odwołuje się wyłącznie do rodowodu walczących o władzę ugrupowań i odruchowo konserwatywnych reakcji wyborczych środowisk.

Można jednak przyjąć, że postawa lewicowa wyrasta z istniejącego w naszej kulturze nieomal od zawsze egzystencjalnego nastawienia, które odrzuca istniejący świat i kulturę oraz wierzy, że ludzie własnym wysiłkiem są w stanie osiągnąć zbawienie.

Straszne doświadczenia XX w., czyli komunizmu zrealizowanego, powinny definitywnie leczyć nas z tego typu rojeń. We wszystkich kulturach i historycznych kontekstach pod wszelkimi szerokościami geograficznymi kończyły się one podobnie: terrorem, totalitaryzmem i zniewoleniem ludzi poddanych emancypacyjnemu eksperymentowi. A jednak rewolucyjne idee i postawy żyją ciągle, a nawet nabierają wigoru, dowodząc, że ludzie z historii nie są w stanie niczego się nauczyć. Egzemplifikacją tego jest wydana niedawno książka lewicowego intelektualisty i historyka Enzo Traverso „Lewicowa melancholia".

Zaczyna się od konstatacji, że kultura lewicowa – ponieważ książka traktuje o całościowym fenomenie lewicy jako kultury – od 1989 r. jest pogrążona w melancholii. Termin ten współcześnie oswojony i rozbrojony zasadniczo oznacza coś niezwykle poważnego. To choroba duszy, niemoc życia, acedia, która w dobie medykalizacji ludzkiej egzystencji jest określana jako depresja i leczona farmakologicznie.

Zdaniem Traverso melancholia jest rewersem lewicowej kultury, wyrasta bowiem nie tylko z odrzucenia świata, ale także z klęsk, którymi kończyły się wszystkie dotychczasowe rewolucje. Mają być one uprawomocnieniem lewicowej postawy, gdyż „poprzez klęski rewolucji ich doświadczenie przekazuje się z pokolenia na pokolenie". Paradoks, który zawiera ostatnie zdanie książki, podkreśla to, co jest jej podstawowym wątkiem. Lewicowość to współczesna religia, dlatego nie obawia się paradoksów czy sprzeczności. Traverso przywołuje religijnych i filozoficznych poprzedników współczesnej dialektyki, których podejście może najlepiej streszcza formuła Mikołaja z Kuzy – *coincidentia oppositorum*, czyli zbieżność przeciwieństw, przezwyciężenie ludzkiej logiki na gruncie wyższej, boskiej wiedzy. W tym wypadku wiedzy wywiedzionej z przyszłości. To nie pomyłka, formuła taka często jest powtarzana przez lewicowych myślicieli. Klęska jest zapowiedzią zwycięstwa, gdyż przynależy do historii, która ma zostać przezwyciężona przez rewolucję przekształcającą dawne przegrane w totalne zwycięstwo.

Rok 1989 Traverso opisuje jako lewicową klęskę, sytuując ją obok stłumionych rewolucji Komuny Paryskiej czy Frontu Ludowego w Hiszpanii. Czytelnik „Lewicowej melancholii" nie dowie się, że ten „smutny" rok to moment wyzwalania się narodów z sowieckiej tyranii. Nie przeczyta, co złego działo się w komunizmie zrealizowanym. Traverso interesuje się wyłącznie martyrologią buntowników. Ze wzruszeniem opisuje męczeństwo komunardów, hiszpańskich rewolucjonistów czy Che Guevary. Ich ofiary tak jak komunistyczne ludobójstwo nie interesują go. Z pogardą pisze o „pozytywistycznej historii". W lewicowym ujęciu jest ona żywa w tym sensie, że za każdym razem reaktywuje się ją dowolnie na nowo w służbie rewolucji. Nie ma więc znaczenia, że wszystkie zrealizowane utopie okazały się koszmarami. Lewicowość nie istnieje bez utopii, a więc: „Utopie XXI w. przyjdzie jeszcze wymyśleć". Zimny dreszcz chodzi po krzyżu.

Lewicowość to wiara, pisze wprost Traverso, a słowo to jest przywoływane w jego książce niezwykle często. Można wnosić, że tradycyjne religie, zwłaszcza chrześcijaństwo, są dla niego (a reprezentuje on znaczący nurt myślowy) antenatem rewolucyjnej lewicowości. Ewolucyjny skok ma polegać na zastąpieniu Boga człowiekiem. Naturalnie nie tym, który uwięziony w okowach wyalienowanej cywilizacji nie potrafi rozwinąć skrzydeł. Człowiek przyszłości, którego zapowiedzią są rewolucjoniści, nie istnieje jeszcze, a jego obecne wcielenie lewicowcy opisują z obrzydzeniem. Traverso nie zajmuje się wnioskami, które wynikają z tego podejścia. Wie, że alienującą człowieka kulturę należy zdekonstruować. A zniewolonego przez nią człowieka?

Chrześcijaństwo jest rozpięte między opozycjami: ziemski – transcendentny, doczesny – wieczny, ułomność człowieka i jego powołanie do świętości. Złożoność religii powoduje, że może się w niej odnaleźć racjonalizm o metafizycznych korzeniach i mistycyzm, teologia i polityka. Sprowadzenie chrześcijaństwa do społecznej utopii przekształca je w karykaturę.

Co bardziej świadomi lewicowcy godzą się, że ich postawa to świecka religia. Wydaje się im, że jest ona rewolucyjnym skokiem człowieczeństwa. Lekceważą doświadczenie jako takie, a więc i to, które za każdym razem dowodzi, że jest to skok w przepaść.



Fot. Andrzej Wiktor

Reklama | 17/12/22/F

eprasa.pl 52ff5dafe5



Wesołych Świąt!

Niech wyjątkowy czas Bożego Narodzenia będzie przepełniony spokojem, radością i atmosferą rodzinnego ciepła

życzy

Zespół LINK 4

eprasa.pl 52ff5dafe5



Walizka Ewy Wachowicz

Miss Polonia'92, producentki i dziennikarki telewizyjnej, autorki książek kulinarnych, restauratorki, prowadzącej program „Ewa gotuje"

Bardzo kocham podróże, ponieważ poznaję świat dzięki ludziom i ich kuchni. Przywożę z wypraw mnóstwo inspiracji kulinarnych do swoich programów, książek i potraw. Nierzadko z krańca świata. Może to być odkrycie cudownej pasty z awokado i ryżem na pustyni Atakama po zdobyciu siedmiotysięcznika Ojos del Salado – najwyższego wulkanu świata. Z kolei wizyta w Tajlandii podsunęła mi pomysł na rosół z siekanymi algami. Ale oryginalne smaki mamy też na wyciągnięcie ręki, w wielu polskich regionach. Jednym z moich ukochanych kierunków są góry. Często łączę je ze swoją pasją narciarską, bo nie ma nic lepszego niż wyprawa górska z jazdą na nartach. Uwielbiam szusować poza trasami, na miękkim śnieżnym puchu, nierzadko między drzewami. Do takich zjazdów jest wskazany specjalny skitourowy sprzęt o szerszej desce. A że właśnie rozpoczęłam już sezon narciarski, wyprawa z nartami jest już zaplanowana.

KOSMETYKI



Podczas podróży zmienia się nie tylko klimat, ale i woda. Dlatego dla pewności, że nie pojawi się żadne uczulenie, zmywam twarz ulubionym wygładzająco-nawilżającym płynem micelarnym Technologia Wieku 5 Repair. Zwłaszcza że na wyjazdach robię mnóstwo zdjęć i reportażowych filmików. Dla mnie dbanie o skórę i jej prawidłowe nawilżenie to absolutna podstawa, dlatego też kremy na dzień, na noc i pod oczy, muszą się znaleźć w podręcznej walizce.

OKULARY MAKIJAŻOWE



Na wyjazdach nie robię makijażu, dlatego moim must-have są duże, lekko, przydymione okulary i podkład ze wspomnianej wcześniej serii, trójeczka. Po nałożeniu go na krem, pięknie pracuje z mimiką przez cały dzień. I dodatkowo lepiej wygląda się na zdjęciach.

CZOŁÓWKA



Uważam, że każdy powinien mieć ją na wyjeździe. Zazwyczaj zabieram więcej niż jedną. Raz zdarzyło mi się, że w nocy, daleko od wszelkiej cywilizacji, musiałam zmienić koło. I czołówka uratowała mi życie.

eprasa.pl 52ff5dafe5





MOJE KSIĄŻKI

Zawsze zabieram jedną z książek, bo nieraz się zdarzyło, że posłużyła przepisami nie tylko mnie, ale i osobie, która dostała ją jako prezent.



KASK

Poza funkcją ochronną dzięki czerwieni jest dobrze widoczny z daleka, tak jak i reszta kolorowej narciarskiej garderoby*. W górach na śniegu, na zboczu, na skałach człowiek musi być zauważalny, a bezpieczeństwo to podstawa. Dlatego odradzam używanie czarnych kombinezonów, zwłaszcza że nie wyszczuplają.



CZAPKA Z DASZKIEM

Mam ich pokaźną kolekcję. W górach czapka z daszkiem jest niezbędna, bo chroni oczy przed słońcem. Jej druga zaleta to zapewnienie anonimowości. Nie tylko w górach.

KARTY

Doskonała rozrywka dla umysłu po dniu pełnym fizycznych wyzwań. Ulubione gry to garibaldka i poker. Ale potrafię też zagrać w blackjacka. Nie pogardzę też tysiącem. Remik z kolei, gdy jestem z dzieciakami, większą grupą.



SUKIENKA CEKINOWA

Mimo że to wyjazd narciarski, w góry czy na koniec świata, najlepsza sukienka to taka niemnąca, a robiąca efekt. Zwłaszcza że przed nami sylwester. Ta na zdjęciu jest autorstwa krakowskiego domu mody Fulara & Żywczyk.





TERMOS

Unikam picia z plastiku. Jeżeli piję wodę, to przegotowaną. Lubię zaparzać swoje mieszanki ziół, a czasem w termosie jest tylko woda z cynamonem, goździkami, imbirem. Od zaprzyjaźnionej zielarki mam „kobiece zioła", poprawiające kondycję hormonów.



„SOPHIE"

Zawsze staram się mieć przy sobie coś od moich bliskich. A to jest płyta bliskiej mi osoby pt. „Sophie" Ivo Morskiego, na której też zaśpiewałam.



CIENKA PUCHÓWKA

Jest tak sprytnie skonstruowana, że jej kieszeń może być woreczkiem na całą złożoną kurtkę!



„DOBRISSIMO!"

Prezent od mojej przyjaciółki Marzeny Rogalskiej, która napisała książkę wraz ze słynną polską śpiewaczką – Aleksandrą Kurzak. Lektura jest pełna smakowitych kąsków operowych z kuchnią w tle. Nie brak w niej przepięknych historii związanych z samą artystką i jej mężem, również światowej sławy śpiewakiem – Roberto Alagną. Obydwoje są gwiazdami m.in. Metropolitan Opera.

ZALIPIANKI

Podróżując do krajów mniej rozwiniętych turystycznie, obowiązkowo zabieram smalczyk lub konfiturę z mojej krakowskiej restauracji Zalipianki, a do tego np. chrupkie pieczywo. Nieraz się zdarzyło, że po przyjeździe w nocy lub nad ranem na miejscu nie ma nic do zjedzenia. Taki wysokoenergetyczny zestaw ratuje życie.



Wysłuchał i zapisał Michał Korsun

** Na potrzeby sesji użyliśmy białej kurtki, ale na stok wkładam niebieską – E.W.*

Fot. Leszek Ogrodnik, make-up: Paulina Brzostowska

eprasa.pl 52ff5dafe5

OGNIEM NA WPROST

Moskiewskie razgawory



Moskiewscy propagandyści nie odpuszczają. W przemyśle kłamstwa pracującego dla Kremla wyróżnia się Władimir Sołowjow. Ta medialna kukła (oficjalna ksywa „medialny żołnierz Putina") leningradzkiego żula, zwanego przez swoich prezydentem, często spotyka się osobiście z capo di tutti capi. Cały czas pozostaje z nim w zażyłych relacjach. W czasie popołudniowych razgaworów przyjmuje od niego wytyczne dotyczące programów i kłamstw, które obecnie powinny znaleźć się w przestrzeni publicznej. Propagandysta przekazuje je na kanale Rossija 1 w swoim politycznym talk-show „Wieczór z Władimirem Sołowjowem". Jak już nie mają o czym gadać, to wrzucają temat okręgu królewieckiego. „Czy wojna z NATO jest nieuchronna? – pytał ostatnio swojego gościa prowadzący. – Tak! – padła zdecydowana odpowiedź jakiegoś przedstawiciela kacapskich elit. – Istnieje wysokie prawdopodobieństwo ataku Polski na Kaliningrad. Polska otwarcie przygotowuje się do ataku" – podsumował Sołowjow. W jego programie nie omieszkano wspomnieć, że nie tak dawno na Białorusi zarządzono nagłą kontrolę gotowości bojowej. Wojsko kładzie mosty na Niemnie i Berezynie. Nawiasem mówiąc, prace saperskie armii Łukaszenki potwierdzają źródła amerykańskie. Był taki jeden, którego armia niegdyś budowała mosty na Niemnie i Berezynie. Finalnie nie najlepiej mu to wyszło. Nazywał się Napoleon Bonaparte.

Kadijiwka to miasteczko na Ukrainie oddalone o mniej więcej 45 km w linii prostej od frontu i leżące na terenie kontrolowanego przez moskiewskich okupantów bantustanu Ługandy (Ługańskej Republiki Ludowej). Stoi tam hotel pełen zakwaterowanych wagnerowców. To członkowie najemnych oddziałów sformowanych za pieniądze prokremlowskiego biznesmena Jewgienija Prigożyna. Są podzieleni na dwie grupy. Kadrowcy to najbardziej doświadczona część wagnerowców. Są dowódcami oddziałów, sztabowcami, zwiadowcami, logistykami, operatorami artylerii oraz uzbrojenia specjalistycznego. Podczas walk pod Bachmutem rzadko angażuje się ich w bezpośrednie walki. Są świetnie wyposażeni i zmotywowani. Drugą kategorię stanowi mięso armatnie. W jego skład wchodzą głównie zeki, czyli osoby zwerbowane w więzieniach, zdolne do mordowania. Łącznie udało się pozyskać ok. 23 tys. skazańców, z czego większość padła pod Bachmutem podczas trzymiesięcznych szturmów na miasto i okolicę. W Kadijiwce mieszkali głównie kadrowcy, i to z dowództwa. „Coś huknęło w siedzibę wagnerowców" – napisał na Telegramie ukraiński szef Ługańskiej Obwodowej Administracji Wojskowej Serhij Hajdaj i dodał, że w wyniku wybuchu zabrakło wielu wagnerowców. Oprócz tego ukraińskie siły uderzyły na zgrupowanie rosyjskich wojsk w Gorłowce w Donbabwe (Donieckiej Republice Ludowej). Zginęło ponad 100 moskiewskich bojców. Im więcej, tym lepiej. Świat bez nich będzie przyjemniejszy.

Globtroter, podróżnik, polityczny komentator, człowiek orkiestra w jednej osobie – Wojciech Cejrowski, wypowiedział swoje zdanie w rozmowie z dorzeczy.pl na temat konfliktu na Ukrainie. „Bardziej prawdopodobna wydaje mi się możliwość, że Ukraina się podda w którymś momencie albo okaże się, że był to teatr, oligarchowie zaś, którzy mają firmy po obu stronach granicy... może się okazać, że to wielki teatr" – stwierdził. Jako dowód na prawdziwość swoich słów dodał: „Cały czas obserwuję nieścisłości na scenie, jakby to była źle napisana sztuka. Jeśli bomby leciały na Kijów, a Rosjanie byli blisko Kijowa, a jednocześnie Johnson przyjeżdża do Kijowa i spaceruje z Zełenskim. Nie zgadza mi się to w ogóle". Nie wiem. Śmiać się czy płakać? Zaobserwowałem pewne zjawisko. Już od jakiegoś czasu redakcja tygodnika „Do Rzeczy" udziela swoich łamów osobom, które mają poważne problemy z logicznym i zdroworozsądkowym myśleniem. Ludzie ci, często znani publicyści i komentatorzy, mają jedną wspólną cechę. W zasadzie 90 proc. tego, co przewidują, nie sprawdza się. W kwestiach ukraińskich liczba ta sięga nawet 100 proc. Razem z Konfederacją tworzą zaklęty krąg zwolenników sprzyjających Moskwie teorii spiskowych. Są z niego tylko dwa wyjścia. Kierunek jeden: Wschód–Zachód, a zwroty dwa: Moskwa albo Mazowieckie Specjalistyczne Centrum Zdrowia im. prof. Jana Mazurkiewicza przy ul. Partyzantów 2/4 w Tworkach, oddział półzamknięty.

Andrzej Rafał Potocki

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 52ff5dafe5

Siedziba muzeum gotowa



Marta Kaczyńska-Zielińska

Osiemdziesiąt trzy lata temu przejrzyste lustro piaśnickich wód było świadkiem jednej z najokrutniejszych zbrodni XX w. Zbrodni, o której w czasach PRL się powszechnie nie słyszało.

W lasach piaśnickich w pobliżu Wejherowa Niemcy przeprowadzali masowe egzekucje. To największe na Pomorzu – po obozie koncentracyjnym Stutthof – miejsce kaźni Polaków, określane mianem pomorskiego Katynia. W ogarniętej wojną Europie nie było drugiego takiego miejsca, w którym zastrzelono tak wiele cywilnych ofiar. Dokładna liczba nie jest znana, bowiem w 1944 r. Niemcy niszczyli dokumentację swoich zbrodni, ale według ustaleń polskich historyków ofiar mogło być nawet 14 tys.

Egzekucje były prowadzone od października 1939 r. zgodnie z poleceniem Himmlera, by „sprzątnąć polską inteligencję" w ramach wcześniej opracowanego planu obejmującego całe terytorium okupowanej RP (Intelligenzaktion, w ramach której zamordowano 100 tys. Polaków). Niemcy na kilka lat przed atakiem na Polskę tworzyli tzw. listy proskrypcyjne, na których umieszczali dane zaangażowanych patriotycznie Polaków – mieszkańców Pomorza, którzy w pierwszych tygodniach wojny mieli podlegać eksterminacji. Celem Niemców było maksymalne osłabienie polskiego oporu przez wyeliminowanie tej części społeczeństwa, którą charakteryzuje najlepsze wykształcenie, ugruntowana pozycja społeczna, opiniotwórczość i determinacja, by bronić swojej ojczyzny. Wytypowani przez Niemców Polacy byli transportowani do Wejherowa pociągami lub samochodami ciężarowymi, by następnie trafić do pilnie strzeżonego lasu piaśnickiego. Wśród oprawców byli nie tylko członkowie niemieckich oddziałów specjalnych, lecz także Niemcy zamieszkujący Puck i Wejherowo. Przed rozstrzelaniem ofiary były torturowane, niektórych grzebano żywych. Najbardziej drastyczne relacje świadków dotyczą dzieci, które zabijano, m.in. uderzając ich główkami o drzewa.

Na wiosnę 1940 r. Niemcy, podobnie jak czynili to w podwarszawskich Palmirach, usiłowali ukryć miejsca zbiorowych pochówków ofiar, sadząc na nich drzewa i krzewy. Następnie, próbując zatrzeć ślady tego makabrycznego procederu, zmuszali więźniów obozu Stutthof do wykopania szczątków ofiar i spalenia ich. Ludzi wykonujących te potworne rozkazy zabito i spalono.

Większość niemieckich katów z Piaśnicy nie poniosła kary, a rodziny ofiar nie otrzymały zadośćuczynienia. Okupacyjny burmistrz Wejherowa po wojnie został wiceburmistrzem Hanoweru, a szefowie tamtejszego komanda egzekucyjnego nigdy nie zostali skazani. W czasach PRL trudno było o upamiętnienie ofiar. Pochodzący z nadania ZSRS rządzący Polską czynili wiele przeszkód w wyjaśnianiu zbrodni i kultywowaniu pamięci. W pierwszych dekadach po obaleniu komunizmu kolejne rządy nie zabiegały w sposób dostateczny o odpowiednie nagłośnienie prawdy o piaśnickiej zbrodni, pozostawiając ją bez należnego wsparcia instytucji państwa polskiego. Zdaje się, że przez lata pamięć o tysiącach zabitych przetrwała przede wszystkim staraniem lokalnych społeczników, rodzin ofiar, duchownym i kombatantom.

Dopiero w 2011 r. w gdańskim oddziale IPN wszczęto śledztwo w sprawie niemieckiej zbrodni w Piaśnicy. Muzeum Piaśnickie w Wejherowie zostało powołane 16 grudnia 2015 r. – w pierwszych tygodniach funkcjonowania rządu Zjednoczonej Prawicy, zarządzeniem ministra kultury i dziedzictwa narodowego prof. Piotra Glińskiego. Jeszcze w tym samym roku zakupiono willę w Wejherowie, której adaptacja na potrzeby muzeum została ukończona na początku grudnia br.

Przed wojną Villa Musica, należąca do polskiego lekarza dr. Franciszka Panka, pełniła funkcję domu rodzinnego i zarazem lokalnego salonu kulturalnego. W 1939 r. została zajęta przez Niemców i przekształcona w siedzibę gestapo, z której zarządzano masowymi egzekucjami w pobliskim lesie, a w jej piwnicach i ogrodzie przechowywano przedmioty ukradzione ofiarom. Wśród pomordowanych były dwie córki dr. Panka – nauczycielki i działaczki społeczne, Stanisława i Kazimiera, które wraz z 300 innymi polskimi patriotami zostały stracone 11 listopada 1939 r.

Z głębokim żalem żegnamy

śp.
prof. nadzw. dr. hab.
Zbigniewa Wawra

wybitnego historyka wojskowości, muzealnika,
autora licznych publikacji naukowych i popularyzatorskich,
dyrektora Muzeum Wojska Polskiego w latach 2012-2016,
dyrektora Muzeum Łazienki Królewskie od 2017,
odznaczonego Krzyżem Oficerskim Odrodzenia Polski,
członka Rady ds. Muzeów i Miejsc Pamięci Narodowej
oraz Rady Ochrony Zabytków przy MKiDN,
a także laureata Nagrody Instytutu De Republica w 2022.

Rzetelnego badacza oraz popularyzatora historii,
a przy tym człowieka skromnego i życzliwego.

Rodzinie składamy najszczersze wyrazy współczucia.

Dyrekcja i pracownicy
oraz Rada Naukowa Instytutu De Republica

34/1222/F

eprasa.pl 52ff5dafe5

Karty na stół, Iustitio!



Samuel Pereira

Stowarzyszenie Sędziów Polskich „Iustitia” deklaruje się jako niezależne, apolityczne i samorządne. Jak jest w praktyce, widać choćby po tym, co wyprawiają prominentni członkowie tej organizacji, którzy zamiast skupić się na pracy i dobru obywateli – zajmują się ochroną swoich interesów, występowaniem w TVN i na manifestacjach czy też produkcją politycznych spotów (jeden z nich zrealizował jawny współpracownik PO) w czasie kampanii wyborczych.

Ci przedstawiciele „nadzwyczajnej kasty ludzi” swoją energię wykorzystują również do walki z innymi sędziami, a dokładnie z tymi, którzy zostali wybrani po zmianie władzy w Polsce, co było wydarzeniem w optyce obozu politycznego będącego dziś w opozycji już w samym założeniu sprzeczne z demokracją. W końcu nie po to dano Polakowi wolność wyboru, żeby ten wybierał sobie jak chce. Obywatele w naszym kraju, owszem, mogą głosować w wyborach, ale pod warunkiem, że zagłosują odpowiednio. Wystarczy, że wybiorą „źle” i rozpętuje się wspierane zza granicy piekło nad Wisłą. Zgodnie z tą logiką status sędziów powołanych przez urzędującego już drugą kadencję prezydenta Andrzeja Dudę jest przez wspomnianą Iustitię w bezczelny sposób negowany i podważany, mimo że powoływanie sędziów jest jego konstytucyjnym (art. 179 KRP) prawem.

Dlaczego ci sędziowie, napiętnowani przez bliskich opozycji kolegów, których dziś w Polsce jest tysiące, nie protestują? Dlaczego nie zbiorą się i nie wystosują listu otwartego pod hasłem „Dajcie nam pracować”, który dzięki liczbie podpisów nie będzie mógł zostać zignorowany? Szczerze mówiąc – nie wiem. Wiem za to, że jedna grupa sędziów („nowi”) jest przez polityków opozycji, ich media i uległych sędziów szykanowana, a lista członków Iustitii jest wciąż opinii publicznej nieznana. Prawo do informacji, wolnego wyboru i uczciwych sądów to główne fundamenty demokracji, zapisane w konstytucji, a skoro tak jest, to obywatele mają prawo wiedzieć, czy w sprawie, której są stroną, sądzi ich obiektywny sędzia czy członek tej organizacji. I jest to prawo, o które warto walczyć.

Autor jest szefem portalu tvp.info

Zaopiekujmy się sobą nawzajem

Z Marią Niklińską, aktorką, piosenkarką, autorką tekstów, rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Kiedy marzenie o byciu księżniczką zamienia się w plan zostania królową?

Maria Niklińska: Nigdy nie marzyłam, by być księżniczką. Jako dziewczynka chciałam być aktorką, i to marzenie zrealizowałam [uśmiech]. Jeśli chodzi o tytuł piosenki „Królowa”, to jest to historia kobiety, która uczy się nie uzależniać swojego poczucia wartości i stanu ducha od partnera. Mówi o samostanowieniu i dojrzałości. Oczywiście ta opowieść może dotyczyć również mężczyzn.

Bardziej muzycznie czy lirycznie kończy pani 2022 r.?

Zdecydowanie i muzycznie, i lirycznie, bo tytuł „Marlen” nosi i płyta (druga w moim dorobku), i tomik wierszy – tekstów, które pisałam przez lata. Marlen to historia pokonywania lęków (po staropolsku „mar”) i wychodzenia ku większej radości i lekkości. Utwory pisałam i nagrywałam podczas swoich podróży po Polsce, Szwecji i Stanach Zjednoczonych. To muzyczny indie pop, czyli pop niezależny, z inspiracjami soulowymi, nowoczesne i często energetyczne brzmienia. Wiersze z kolei niosą w sobie więcej liryzmu, autorefleksji, mają też formę pamiętnika.

Jakim cytatem z wiersza lub piosenki złożyłaby pani świąteczne i noworoczne życzenia?

Na piosenkę promującą album wybrałam „I’ll take Care of You”, czyli „Zaopiekuję się tobą”. Święta potrafią być czasem radosnym, ale wtedy też widać mocniej, czego lub kogo nam brakuje. Samotność... Nie bądźmy na nią obojętni. Życzę nam, żebyśmy się sobą nawzajem opiekowali. Nie jesteśmy sami.



Fot. VIPHOTO/EAST NEWS

Reklama | 22/1222/F

eprasa.pl 52ff5dafe5

POLSKIE KOLEJE PAŃSTWOWE
Spółka Akcyjna
GRUPA PKP

Niech magiczna moc wigilijnego wieczoru

przyniesie Państwu dobro i nadzieję.

Każda wspólnie spędzona chwila Świąt Bożego Narodzenia

niech żyje własnym pięknem,

a nowy rok obdaruje Wszystkich zdrowiem,

pomyślnością i szczęściem.



Wesołych Świąt

Bożego Narodzenia

eprasa.pl 52ff5dafe5

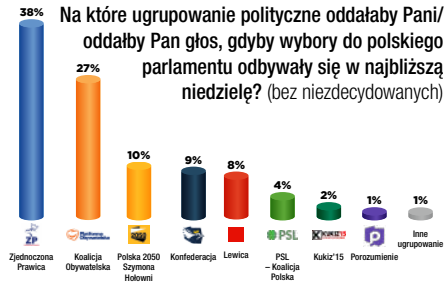
Rysują Mr Donk & dr Fish



pracownia Social Changes dla wPolityce.pl

nasz sondaż

Na które ugrupowanie polityczne oddałaby Pani/oddałby Pan głos, gdyby wybory do polskiego parlamentu odbywały się w najbliższą niedzielę? (bez niezdecydowanych)



Czy wzięłaby Pani/wziąłby Pan udział w wyborach do polskiego parlamentu, gdyby odbywały się one w najbliższą niedzielę?



Badania zrealizowane metodą CAWI (Computer Assisted Web Interview) na panelu internetowym. Badania przeprowadzone na ogólnopolskiej, reprezentatywnej (pod względem: płci, wieku, wielkości miejsca zamieszkania) próbie Polaków. W badaniu wzięło udział N=1076.

Zakres czasowy badania 9–12 grudnia 2022 r.

SIECI

ISSN 2544-2694

www.wSIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 616 36 00, (22) 255 93 32; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: ŁUKASZ ADAMSKI, GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWIŃSKI, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, JAROMIR KWIATKOWSKI, JAKUB MACIEJEWSKI, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, SAMUEL PEREIRA, JAN PIETRZAK, JAN POSPIESZALSKI, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, WOJCIECH STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIETLIK, ROBERT TEKIELI, MACIEJ WALASZCZYK, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO

PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCIKOWSKA, MARIOLA.BARCIKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY: MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK), ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL, LIDIA SŁOWIKOWSKA-SMOLIŃSKA, KATARZYNA LASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL,
OBRÓBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 9.00 – 17.00), (22) 255 93 32
PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.WSIECIPRAWDY.PL

WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL.

EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL: PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH" POD NUMERAMI: 22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE W GODZINACH 7^{00} – 17^{00}.
KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93
PAULINA KĄKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT. NA OKŁADCE: ART IMAGES VIA GETTY IMAGES, LESZEK OGRONIK, MATERIAŁY PRASOWE TVP, STANLEY KRAMER CO./UNITED ARTISTS / ALBUM/EAST NEWS. SHUTTERSTOCK

Reklama | 35/1222/F

eprasa.pl 52ff5dafe5

Radosnych Świąt Bożego Narodzenia,
spotkań pełnych ciepła i miłości,
pachnących choinką, roziskrzonych kolędami,
okraszonych dobrymi wspomnieniami,
a w Nowym Roku spełnienia marzeń
i dużo pozytywnej energii

życzy

Energa

GRUPA ORLEN



eprasa.pl 52ff5dafe5



Nie wiadomo, ilu ich było, choć tradycja głosi, że trzech. Choć nazwano ich Kacprem, Melchiorem i Baltazarem, to tak naprawdę nie znamy ich imion. Nie byli też królami, mimo że tak się ich określa. Kim więc byli i co wiemy o nich na pewno?

Sekretna historia trzech magów



GRZEGORZ GÓRNY

eprasa.pl 52ff5dafe5



Fot. Adam Jan Figiel/Shutterstock.com

Ewangelia św. Mateusza podaje, że wkrótce po narodzeniu Jezusa zjawili się w Betlejem trzej niespodziewani przybysze z dalekich stron, by oddać hołd Dziecięciu. Wbrew rozpowszechnionym mniemaniom nie byli wcale władcami. Biblia nazywa ich „mędrcami ze wschodu", po grecku: „magoi apo ton anatolon".

EGZOTYCZNI PRZYBYSZE

W Nowym Testamencie grecki wyraz „magos" pojawia się tylko pięć razy. W tamtych czasach miał on kilka znaczeń. Mogły mieć one charakter zarówno pozytywny, jak i neutralny i negatywny. Tym mianem obdarzano mędrców, członków perskiej kasty kapłańskiej, znawców nauk tajemnych, czarowników, magów, astrologów i tłumaczy snów, a także oszustów i uwodzicieli. Św. Łukasz w Dziejach Apostolskich nazwał tak fałszywego proroka Elimasa z Pafos.

> Według najstarszej tradycji chrześcijańskiej tajemniczy goście mieli być Persami

Ponieważ przybysze z daleka spostrzegli na niebie gwiazdę, która zmusiła ich do wyruszenia w drogę, musieli zajmować się astrologią. W ówczesnym świecie kulty astralne, związane z obserwacją nieba, odgrywały dużą rolę w życiu religijnym całych społeczeństw. Dla mieszkańca starożytnego Wschodu słońce, księżyc, gwiazdy i planety były odzwierciedleniem wyższego, boskiego porządku, emanacją nadprzyrodzonych mocy, panujących nad ludzkością i określających jej przeznaczenie.

Wśród antycznych ludów istniał jednak jeden, który odnosił się do astrologii z wielką nieufnością, traktując ją jako bałwochwalstwo. Był to naród Izraela, który postrzegał ciała niebieskie tak jak inne dzieła stworzone przez Boga. W pieśni trzech młodzieńców w piecu ognistym w Księdze Daniela, słońce, księżyc i gwiazdy oddają hołd Najwyższemu tak samo jak góry i pagórki, morza i rzeki czy rosy i szrony. Przypisywanie im nadprzyrodzonych atrybutów było uważane za idolatrię. Poza tym Żydzi otrzymali od Boga nakaz, by trzymać się jak najdalej od wszelkiej maści czarowników, wróżbitów czy astrologów.

To tłumaczy, dlaczego pojawienie się trzech przybyszów ze wschodu opowiadających o gwieździe zwiastującej narodziny Pomazańca Bożego wywołało w Jerozolimie dezorientację. Były to czasy, w których zgodnie z proroctwem zawartym w Księdze Daniela oczekiwano pojawienia się Mesjasza, jednak żaden z Żydów nie spodziewał się, że podpowiedź może przyjść od astrologów obserwujących znaki na niebie.

Z ZIEMI PERSKIEJ

Skąd przywędrowali? Św. Mateusz pisze, że „ze wschodu". Dla Greków oznaczało to Anatolię, czyli Azję Mniejszą, a dla Izraelitów – Mezopotamię, Arabię lub Persję. W obu przypadkach chodziło o miejsce, gdzie wschodzi słońce. Według najstarszej tradycji chrześcijańskiej tajemniczy goście mieli być Persami. Persowie w odróżnieniu od Arabów i Żydów nie byli Semitami. Podobnie jak Słowianie, Germanie czy Anglosasi należą oni do ludności pochodzenia indoeuropejskiego. Przez długie wieki mieli oni bliski kontakt z Żydami oraz ich religią i kulturą.

W annałach historii Izraela złotymi zgłoskami zapisała się postać perskiego króla Cyrusa II Wielkiego, który stoczył wiele zwycięskich wojen, m.in. z Medami, Partami, Lidyjczykami i Babilończykami. W 538 r. przed Chrystusem zdobył Babilon – stolicę najpotężniejszego wówczas imperium świata. Tam zetknął się z Żydami, przebywającymi prawie pół wieku w niewoli babilońskiej. Tych ostatnich uprowadził z ich ojczyzny w 586 r. p.n.e. król Nabuchodonozor II, który podbił Judeę, zdobył Jerozolimę i zniszczył świątynię.

Cyrus II zezwolił Izraelitom na powrót do domu, a nawet na odbudowę

eprasa.pl 52ff5dafe5

świątyni jerozolimskiej. Z tego powodu jego imię stało się synonimem nieżydowskiego polityka, który pomaga Żydom. Po II wojnie światowej Harry Truman, gdy uznał państwo Izrael, porównał sam siebie właśnie do Cyrusa. Tak jak perski władca doprowadził do powrotu Żydów do Ziemi Obiecanej po niewoli babilońskiej, tak prezydent USA miał zakończyć nowy okres wygnania narodu wybranego.

Wiele wskazuje na to, że w trakcie swojego panowania król Persji miał okazję zetknąć się z Izraelitami, którzy na skutek wcześniejszej fali deportacji znaleźli się na terenie Mezopotamii. Przed niewolą babilońską była bowiem niewola asyryjska. Zaczęła się ona w 722 r. przed Chrystusem, gdy Asyryjczycy uprowadzili ok. 50 tys. Żydów. Ci ostatni, żeby zachować swoją tożsamość na wygnaniu, skoncentrowali się wokół religii, czego skutkiem stało się spisanie ksiąg Starego Testamentu. Księga Estery czy Księga Tobiasza świadczą też o tym, iż odgrywali oni znaczącą rolę w państwie Persów.

Nie wszyscy Izraelici skorzystali z okazji powrotu do ojczyzny. Część z nich dobrowolnie pozostała na obczyźnie, ponieważ dorobili się tam sporych majątków, osiągnęli wysoką pozycję społeczną i nie chcieli porzucać tego wszystkiego, by zaczynać życie od nowa. Przez kolejne stulecia mieszkali więc nadal w Persji i Mezopotamii, tworząc liczną diasporę i pozostając wiernymi swojej religii. Nawet gdy czyta się wspomnienia żołnierzy z armii Andersa, można znaleźć opisy, jak przechodząc w 1943 r. przez Iran, spotykali ludność żydowską, zamieszkującą od wieków tamte tereny.

Była to tak silna wspólnota, że wywarła wpływ na kształt całej religii żydowskiej. To właśnie tam m.in. powstał Talmud. Dzięki temu – jak zauważa ks. prof. Waldemar Chrostowski – „Persowie mieli możliwość przez kilka stuleci zetknięcia się z religią Izraelitów. Mieli możliwość poznania tej religii biblijnego Izraela. Mieli u siebie tysiące Izraelitów. Można to porównać do sytuacji, która istniała w I i II Rzeczypospolitej, kiedy na terenach naszej ojczyzny mieszkały miliony Żydów. I nawet jeżeli między jednymi i drugimi, między Polakami a Żydami, Ukraińcami a Żydami, Białorusinami a Żydami, istniała separacja, to jednak oczywiście ta koegzystencja owocowała także tym, że obie wspólnoty, obie społeczności się znały. Każdy miejscowy chrześcijanin miał jakąś podstawową znajomość tego, czym jest judaizm. I odwrotnie, wyznawcy religii żydowskiej mieli pojęcie o chrześcijaństwie dlatego, że na co dzień spotykali się z sobą i o siebie się ocierali".

Tak więc dzięki licznym pokoleniom Izraelitów w Persji i Mezopotamii judaizm był znany i zgłębiany nie tylko w diasporze żydowskiej, lecz także w kręgu ówczesnych mędrców, kapłanów i prozelitów, wywodzących się z miejscowych ludów. Szczególne zainteresowanie budził wśród Persów, którzy w większości byli wyznawcami zoroastryzmu. Uczniów Zoroastra (Zaratustry), czyli tamtejszych kapłanów, nazywano właśnie magami.

Włoski historyk Giulio Firpo zwrócił uwagę na tradycję zachowaną od Zaratustry, według której „książę dobra zatriumfuje nad złem dzięki sprzymierzeńcowi, wcielonej prawdzie, który miał narodzić się z dziewicy, do której nie zbliży się żaden mężczyzna". Ten sprzymierzeniec (saushyant), będący prawdą wcieloną (Astwat-ereta) i mający doprowadzić do zmartwychwstania zmarłych oraz sądu nad ludzkością, wykazywał wiele podobieństw z figurą żydowskiego Mesjasza.

Na słynnej VI-wiecznej mozaice w bazylice św. Apolinarego w Rawennie magowie są przedstawieni w tradycyjnych strojach perskich kapłanów z charakterystycznymi czapkami frygijskimi. W podobny sposób zostali również ukazani na wizerunku z VI w. w bazylice Narodzenia Pańskiego w Betlejem. Kiedy w 614 r. najechała Judeę armia perska pod wodzą Chosroesa, zniszczyła wiele kościołów, m.in. bazylikę Grobu Pańskiego w Jerozolimie. Świątynia w Betlejem została jednak oszczędzona, ponieważ najeźdźcy zdobywcy zobaczyli znane sobie obrazy magów w perskich szatach. Zaskoczeni czcią, którą byli otaczani w tym miejscu ich rodacy, pozostawili bazylikę w spokoju.

ODKRYCIE KEPLERA

Na początku naszej ery ziemie Babilonii i Persji słynęły z prestiżowych szkół astrologicznych, w których na podstawie układu gwiazd interpretowano bieg ziemskich zdarzeń. Tamtejsi magowie z jednej strony obserwowali nieboskłon, z drugiej zaś znali religię żydowską z jej proroctwami mesjańskimi. Te ostatnie mogły być dla nich szczególnie interesujące, ponieważ zapowiadany w Księdze Izajasza Mesjasz miał być wybawicielem nie tylko dla Izraelitów, ale i dla całego świata.

Św. Mateusz napisał, że mędrcy wyruszyli w drogę do Judei, gdy dostrzegli znak na niebie. Czym było zjawisko, które zobaczyli? Dziś większość naukowców badających tę sprawę przychyla się do opinii jednego z najwybitniejszych astronomów w dziejach, Johannesa Keplera, który jako pierwszy wpadł na trop rozwiązania tej zagadki 17 grudnia 1603 r. w swoim obserwatorium w Pradze. Zauważył on wówczas na niebie niezwykle intensywne zjawisko świetlne: koniunkcję Jowisza i Saturna w konstelacji Ryb. Cóż to takiego? Otóż koniunkcja oznacza takie ułożenie dwóch ciał niebieskich, że znajdują się one w jednej linii prostej – z punktu widzenia obserwatora. W przypadku zaobserwowanym przez niemieckiego astronoma doszło do takiego ustawienia dwóch największych planet w naszej galaktyce. W efekcie wyglądały one jak jedna wielka nowa gwiazda, która znikła, gdy planety oddaliły się od siebie.

Kepler, który był także matematykiem, obliczył, że to zjawisko można zaobserwować bardzo rzadko. Są jednak takie lata, gdy koniunkcja między Jowiszem a Saturnem w konstelacji Ryb jest widoczna aż trzy razy w ciągu roku. Dzieje się tak jednak tylko raz na 794 lata. Tak było m.in. w 7 r. p.n.e., gdy ów niezwykły fenomen astronomiczny pojawił się na niebie 29 maja, 1 października i 5 grudnia. Był to więc czas bezpośrednio poprzedzający narodziny Chrystusa, który zdaniem historyków przyszedł na świat w 6 r. p.n.e.

Kepler natknął się też na komentarz biblijny rabina Abarbanela, który pisał o pradawnych żydowskich wierzeniach, iż Mesjasz pojawi się wówczas, gdy Jowisz i Saturn spotkają się w gwiazdozbiorze Ryb. To sprawiło, że praski

eprasa.pl 52ff5dafe5

astronom w 1606 r. ogłosił publicznie swoje odkrycie, twierdząc, iż odkrył gwiazdę betlejemską.

Jego tezę wzmocniły odkrycia dokonane w XX w. W 1902 r. opublikowano treść egipskiego papirusu zwanego „Stołem planetarnym". Zawierał on obliczenia astronomiczne oparte na obserwacjach egipskich kapłanów, którzy badali ruchy ciał niebieskich między 17 r. przed Chrystusem a 10 r. po Chrystusie. Okazało się, że w 7 r. p.n.e. dostrzegli oni niezwykle intensywne zjawisko świetlne wynikające z koniunkcji Jowisza z Saturnem.

Potwierdzenie tych obserwacji przyniosło kolejne odkrycie. W 1925 r. niemiecki orientalista Paul Schnabel odczytał neobabilońskie napisy na kalendarzu gwiezdnym pochodzącym ze słynnej szkoły astrologów w Sippar nad Eufratem. Okazało się, że na małej terakotowej tabliczce z pismem klinowym odnotowano z dużą precyzją trzykrotną koniunkcję dwóch największych planet Układu Słonecznego w gwiazdozbiorze Ryb w 7 r. p.n.e. Zjawisko wyglądało niczym rozbłysk nowej gwiazdy na niebie.

W tamtych czasach astrologowie przypisywali poszczególnym ciałom niebieskim konkretne znaczenia. Nieprzypadkowo planetom nadawano nazwy będące imionami bogów. Jowisz, czyli Jupiter, był symbolem ludzi rządzących światem, Saturna uznawano za obrońcę Izraela, a konstelacja Ryb uchodziła za znak końca czasów i początek nowej ery. Nic więc dziwnego, że niezwykłe zjawisko, które trzykrotnie pojawiło się na niebie w 7 r. p.n.e., mogło zostać zinterpretowane przez magów jako zwiastun narodzin żydowskiego króla, który odmieni losy świata.

W tym kontekście staje się zrozumiałe, dlaczego mędrcy nie udali się bezpośrednio do Betlejem, tylko do Jerozolimy. Skoro wyczytali z mapy nieba, że narodzi się król żydowski, to logicznie przypuszczali, że musi stać się to na dworze królewskim. Dlatego zawitali do Heroda. Dopiero tam żydowscy uczeni w piśmie wskazali im na starotestamentowe proroctwa, że Mesjasz urodzi się w Betlejem. Dla Ojców Kościoła była to ilustracja prawdy, że na podstawie obserwacji natury możemy dojść jedynie do przekonania o istnieniu Boga, ale żeby naprawdę Go odkryć, musimy uznać objawienie.

POSZUKIWACZE PRAWDY

Ilu było mędrców? Św. Mateusz nie wymienia żadnej liczby. W pierwszych wiekach chrześcijaństwa snuto domysły, że mogło być ich 12 – jak 12 plemion Izraela. Na malowidłach z II i III w. zachowanych w rzymskich katakumbach widzimy dwóch, czterech lub sześciu magów. Z kolei w Kościele koptyjskim w Egipcie do dziś żywa pozostaje tradycja mówiąca, że przybyło ich aż 60, a więc cały orszak. Na początku III w. jeden z najbardziej wpływowych znawców Pisma – Orygenes – postawił jednak tezę, która z czasem rozpowszechniła się jako obowiązująca w świecie chrześcijańskim: „Mędrców było trzech, ponieważ trzy były ofiarowane dary: złoto, kadzidło i mirra".

> Ks. prof. Waldemar Chrostowski mówi: „Przybycie mędrców do Betlejem nie jest z historycznej perspektywy niemożliwe. Byli tam ludzie, którzy byli otwarci na Boga jedynego. Ale ponieważ w tym epizodzie jest tyle niewiadomych: liczba, znaczenie, imiona, to potem chrześcijańska pobożność i wyobraźnia to uzupełniły"

Nie wiemy, jak się nazywali. W VI w. narodziła się tradycja, która nadała im konkretne imiona: Kacper, Melchior i Baltazar. Każde z nich oznaczało władcę, ale w innym języku. Kacper pochodził od łacińskiego „Caesar", Melchior od hebrajskiego „melech", a Baltazar od greckiego „basileus".

Nadanie tych imion wiązało się z faktem, że w VI w. chrześcijańska pobożność ludowa zamieniła owych magów w królów. Zdaniem historyków wynikało to z nowego zinterpretowania Psalmu 72, w którym znajduje się mesjańskie proroctwo: „Królowie Tarszisz i wysp przyniosą dary, królowie Szeby i Saby złożą daninę. I oddadzą Mu pokłon wszyscy królowie. [...] Przeto będzie żył i dadzą Mu złoto z Saby". To właśnie na podstawie tego tekstu powstała tradycja, że mędrcy ze wschodu byli monarchami. Mieli symbolizować cały niemal ówczesny świat, ponieważ Tarszisz leżało w Hiszpanii, a Szeba to dawna nazwa królestwa Abisynii, czyli Etiopii.

Ks. prof. Waldemar Chrostowski mówi: „Przybycie mędrców do Betlejem nie jest z historycznej perspektywy niemożliwe. Byli tam ludzie, którzy byli otwarci na Boga jedynego. Ale ponieważ w tym epizodzie jest tyle niewiadomych: liczba, znaczenie, imiona, to potem chrześcijańska pobożność i wyobraźnia to uzupełniły".

W miarę upływu czasu do historii przybyszów ze wschodu dodawano kolejne detale, np. zaczęto wywodzić ich rodowód genealogiczny z Księgi Rodzaju od trzech potomków Noego: Sema (praojca Azjatów), Chama (praprzodka Afrykańczyków) i Jafeta (praszczura Europejczyków). Zgodnie z tym podziałem przedstawiano więc trzech królów jako reprezentantów trzech kontynentów.

Przez wieki ich postacie oraz wędrówka w nieznane, którą podjęli, inspirowały wielu artystów i myślicieli. Tak pisał o nich Benedykt XVI: „Mamy prawo powiedzieć, że reprezentują oni drogę religii ku Chrystusowi, a także drogę nauki, która z myślą o Nim przekracza siebie samą. Są oni w pewnym sensie naśladowcami Abrahama, który na wezwanie Boże rusza w drogę. Na inny sposób są naśladowcami Sokratesa i jego pytania o większą prawdę od tej głoszonej przez oficjalną religię. W tym sensie postacie te są poprzednikami, pionierami, poszukiwaczami prawdy, którzy mają znaczenie dla wszystkich czasów".

eprasa.pl 52ff5dafe5



Debata obuchem



Bezpośrednia rozmowa Kaczyńskiego z Tuskiem nie ma sensu, bo szef PO chce tylko mordobicia. Ale merytoryczna debata trwa – korespondencyjnie



STANISŁAW JANECKI

Piłkarskie mistrzostwa świata w Katarze dowodzą, że nic nie jest pewne. Zresztą nie tylko w futbolu, o czym świadczą choćby obfite opady śniegu w czasie, gdy wedle np. Grety Thunberg śnieg nie powinien padać w ogóle. Wyjątkiem jest Donald Tusk. On jest pewny, a właściwie ma tupet nieporównywalny z nikim w Polsce. Jest przekonany, że w publicznej debacie nikt z nim nie wygra. Dlatego co jakiś czas wyzywa Jarosława Kaczyńskiego na pojedynek, który nazywa debatą.

Tupet Tuska bierze się z tego, co się wydarzyło 12 października 2007 r., gdy w Telewizji Polskiej spotkali się przed wyborami liderzy PO i PiS. Wtedy obecni w studiu sympatycy Kaczyńskiego, ówczesnego premiera i prezesa PiS, zachowali się grzecznie, a zwolennicy szefa PO tak jak kibole. I już to pokazało, na czym polega debatowanie z Tuskiem. A polegało na tym, żeby „kibole" stworzyli atmosferę mordobicia, a Tusk ją podtrzymał. Żeby nieprzyzwyczajony (z powodów kulturowych) do dzikiej formy debaty Kaczyński zachował się jak klasyczny bokser walczący z zawodnikiem MMA. W to wszystko włączone były zaprzyjaźnione z szefem PO internetowe portale, które zaraz zorganizowały głosowanie, narzucając przekonanie, że chodziło o walkę MMA, a nie klasyczny boks. I wynik był oczywisty. W sondzie Onetu 83 proc. głosujących uznało zwycięstwo Tuska, a 15 proc. Kaczyńskiego. W sondzie gazeta.pl za Tuskiem było 89 proc., za Kaczyńskim – 8 proc. W wp.pl – na Tuska wskazało 79 proc., na Kaczyńskiego – 16 proc., a w Interii 78 proc. na Tuska i 22 proc. na Kaczyńskiego.

Wprawdzie Tusk już był znany ze swoich metod, gdy od początku do końca oszukiwał podczas rozmów o koalicji PO-PiS, ale obóz PiS nie spodziewał się, że uzgodnienia i reguły nie będą miały żadnego znaczenia, że w studiu znajdzie się bojówka, a nie sympatycy, że debata i sondy, które po niej nastąpiły, to była wielka operacja dyskredytująca i dyfamująca. I Tusk jest pewien, że obecnie, wyzywając Kaczyńskiego na pojedynek, przeprowadzi podobną operację jak w 2007 r. Tym bardziej że znowu miałby za sobą zdecydowaną większość mediów, w tym te same portale, które ponad 15 lat temu ogłosiły go zwycięzcą.

Operacja specjalna zwana debatą to jedno, a czym innym jest sens rozmowy z Tuskiem, który wbrew zapewnieniom nie będzie przestrzegał żadnych reguł, a wręcz nie chce żadnej debaty, tylko mordobicia. Paradoksem jest to, że bez debaty w cztery oczy, która jest Tuskowi potrzebna jako kulminacja jego seansów nienawiści do Kaczyńskiego i PiS, toczy się realna i rzeczowa dyskusja między liderami. Tym bowiem są ich spotkania z wyborcami i sympatykami oraz treści, które tam można usłyszeć. I to jest debata bez porównania wartościowsza i bardziej merytoryczna niż każde spotkanie w cztery oczy. Ta korespondencyjna debata nie może być zamieniona w mordobicie, mimo że przewodniczący PO robi wiele, by tak się stało.

MORDOBICIE ZAMIAST DEBATY

„Panie Kaczyński, wyjdź z tej swojej jaskini. Stań ze mną twarzą w twarz na udeptanej ziemi wymienić się argumentami. Nie bój się, nie wstydź" – mówił Donald Tusk 19 lipca 2021 r. w Gdańsku. „Jaskinia", „udeptana ziemia", „strach", „wstyd" – trzy zdania i ujawniona cała strategia Tuska. Kaczyński odpowiedział m.in. 16 października 2021 r. w RMF FM: „Jeśli Tusk powie »przepraszam«, to się

Fot. Alexandros Michailidis/Shutterstock.com; Andrzej Wiktor

eprasa.pl 52ff5dafe5



z nim spotkam". Tusk zareagował natychmiast: „Przepraszam, Jarku. A teraz datę i miejsce debaty poproszę. Z góry dziękuję". Cały Tusk: kpina i dążenie do mordobicia, a nie debaty. Gdy jesienią 2022 r. Tusk kilkakrotnie powtórzył, że chce konfrontacji z Kaczyńskim, ten odpowiedział 5 grudnia 2022 r.: „Jeżeli to będzie debata w uczciwych warunkach i jednocześnie, jeżeli przedtem Donald Tusk da jakieś sygnały, że to nie będą z jego strony obrzucanie wyzwiskami czy pogróżki, że nie będzie szedł tym tropem, którym idzie dotychczas, to tak. Jeżeli to będzie dyskusja na ten temat, ile lat będę siedział za to, że służyłem dobrze Polsce, to takiej dyskusji nie będę prowadził. Być może po wyborach, dla nas zwycięskich, takie dyskusje, ale to już inni będą prowadzili z panem Tuskiem, bo wiele tych jego wypowiedzi już zbliża się do gróźb karalnych" – mówił prezes PiS w Radiu Wrocław. Tusk odpowiedział następnego dnia na Twitterze: „Jestem gotowy do debaty w dowolnym czasie i miejscu, panie prezesie. Będę czuły i delikatny, chociaż amnestii obiecać nie mogę". To „czuły" i „delikatny" nie wymaga komentarza, tak żenujące jest to, co Tusk chciał przez to insynuować.

A w debacie byłoby jeszcze gorzej, gdyż od lipca 2021 r. Tusk nie zakreśla już sobie żadnych granic. Przedsmak tego mieliśmy zresztą już w 2007 r. Gdy Kaczyński mówił: „Ja niezmiernie lubię jeździć po Polsce i rozmawiać ze zwykłymi ludźmi, także tymi w moherowych beretach, jak to pan przewodniczący był łaskaw powiedzieć", Tusk odpowiedział: „Jak byłem ostatnio w Kielcach, skąd pochodzi rodzina mojej żony, to tam ludzie powiedzieli: »Przyjechał pan, jak zwykły człowiek. Kilka dni temu był pan prezes Kaczyński z całą swoją świtą i całe Kielce zablokowane«". Wszystko tu było kłamstwem albo manipulacją. Jarosław Kaczyński był wtedy urzędującym premierem i nie było mu wolno (takie są procedury) przyjechać jak „zwykły człowiek". To samo obowiązywało Donalda Tuska, gdy był szefem rządu i też wtedy jeździł „z całą swoją świtą". Lider PO jest niepoważny, gdy uderza w reguły obowiązujące szefów rządów, ktokolwiek by to był.

Gdy w 2011 r. PiS proponowało PO cykl przedwyborczych debat na neutralnym gruncie, Jarosław Kaczyński zadeklarował gotowość do rozmowy, jeśli ówczesny szef rządu zrezygnuje z polityki uległości, i to zarówno w polityce krajowej, jak i zagranicznej. Warunkiem było „zwinięcie białej flagi zarówno w stosunkach wewnętrznych wobec możnych w Polsce i zwinięcie białej flagi wobec możnych poza Polską". Donald Tusk tak na to odpowiedział w programie Tomasza Lisa: „Na moim przysłowiowym podwórku, jak się człowiek umawia »na solo«, to staje i nie udaje, że mama woła na kolację". Jarosław Kaczyński ripostował w „Rozmowie Rymanowskiego": „Z Donaldem Tuskiem rozmawiałbym na temat straszenia go pistoletem przed 20 laty (w jego mniemaniu, bo ja go nigdy nie straszyłem) albo też na temat aresztowania autostrad, bo to jest z jego przemówienia. Otóż to są opary absurdu".

> Jeśli Tusk chce być premierem, powinien się domagać debaty z Morawieckim. Tusk jednak takiej debaty nie chce, bowiem Morawiecki – jak spodziewają się zwolennicy Schetyny – zrobiłby z kandydata na premiera „wiatrak"

W 2016 r. w reakcji na deklarację Kaczyńskiego, że polski rząd nie poprze Tuska na drugą kadencję przewodniczącego Rady Europejskiej, ten odpowiedział na Twitterze: „To może debata, panie prezesie? O Europie, Polsce i Pana insynuacjach. Jestem do dyspozycji". Prezes PiS odparł: „Nie jestem w stanie rozmawiać z panem Tuskiem ani o tym, żeby został świadkiem koronnym, małym albo dużym, albo o zgodzie na karę. No, krótko mówiąc: nie ma o czym rozmawiać. On nie jest partnerem politycznym". To sedno sprawy: Tusk *de facto* nie mówi o polityce, bo bardzo słabo rozumie metapolitykę. On każdą debatę sprowadza do pyskówki o takie kwestie jak ceny chleba. Albo do straszenia, kto i za co będzie siedział. Realnie z Tuskiem o polityce w cztery oczy debatować się nie da. Dlatego znacznie ważniejsza jest debata korespondencyjna, choć ona też się mija, bo Kaczyński ma spójną wizję Polski w przyszłości i tego, co w związku z tym rząd powinien zrobić, z kolei Tusk wszystko sprowadza do odsunięcia PiS od władzy. A potem wszystko samo się zrobi. A jeśli nie samo, to z pomocą Berlina.

STRACH PRZED MORAWIECKIM

Jeśli Donald Tusk chce być premierem, powinien się domagać debaty z Mateuszem Morawieckim. Wtedy urzędujący szef rządu rozmawiałby z kandydatem na to stanowisko. Tusk jednak takiej debaty nie chce, bowiem Morawiecki – jak spodziewają się zwolennicy Grzegorza Schetyny w Platformie – zrobiłby z kandydata na premiera „wiatrak". Bo Tusk jest ignorantem, gdy chodzi o mechanizmy państwa i gospodarki, nie rozumie procesów i narzędzi, a nawet nie wie, co rząd realnie może zrobić. Pod tym względem Tusk nie miałby też szans z Kaczyńskim. Tyle że szef PO nie chce o takich sprawach rozmawiać. Tusk jest takim populistą (w sensie wczuwania się w jakieś nastroje i wymyślania, co sądzą Polacy), jakich w PiS nigdy nie było, i nikt nie mógłby konkurować z przewodniczącym Platformy, nawet gdyby jacyś byli. Tusk po powrocie do polskiej polityki w 2021 r. może nawet w 99 proc. składać się z populizmu, a 1 proc. to pamięć sprawowania funkcji premiera. Z kimś takim nie da się rzeczowo rozmawiać, a mordobicie może sobie urządzać np. z Grzegorzem Braunem (choć może jednak nie, bo to potencjalny koalicjant), a nie z Jarosławem Kaczyńskim. Ten nigdy nie wejdzie do klatki, by się naparzać. Wystarczy, że praktycznie w każdym swoim wystąpieniu prezes PiS obnaża ignorancję Tuska w sprawach państwa. A Tusk sam ją też pokazuje.

eprasa.pl 52ff5dafe5



Polska była najbardziej świadoma zagrożenia ze Wschodu wśród wszystkich państw NATO. Ciągle mówiliście: „Nie śpijcie, Rosja wciąż tam jest i ma agresywne plany". Nie przestaliście tego robić nawet wówczas, gdy wszyscy naprawdę spali i patrzyli na was dziwnie. Macie to we krwi. Jestem Polakiem z pochodzenia i moja babcia zawsze mówiła: „Nigdy nie ufaj Rosjanom". Wiedziała, co mówi

Ukraina wygra tę wojnę

Jacek i Michał Karnowscy rozmawiają z Ripleyem „Rip” Rawlingsem, podpułkownikiem wojsk amerykańskich w stanie spoczynku, prezesem organizacji Ripley's Heroes, pisarzem, autorem bestsellerów z gatunku fikcji militarnej na rynku amerykańskim

Czy Ukraina może wygrać tę wojnę?

Ripley Rawlings: Na pierwszy rzut oka demokracje, zwłaszcza jeśli są osamotnione, są w trudniejszej sytuacji niż autokracje. Dotyczy to zwłaszcza pierwszych etapów wojny. Reżimy szybciej mobilizują żołnierzy, w czasie pokoju mogą więcej wydać na sprzęt, na uzbrojenie, nie muszą oglądać się na nastroje obywateli. Demokracje z kolei rzadko utrzymują potężne armie w czasie pokoju, choć oczywiście Stany Zjednoczone są tu wyjątkiem.

A demokracje pieniądze wydają na wzrost poziomu i jakości życia.

My, demokraci, wydajemy pieniądze na to, by stać się bogatszymi. Inwestujemy kapitał w rozwój naszych przemysłów, naszego handlu, naszej nauki. Szukamy nowych rozwiązań, nowych wynalazków.

Jaka jest pana odpowiedź na to wyzwanie?

Odpowiedź jest prosta: sojusze, współpraca, koalicje. Demokracje po prostu muszą dbać o siebie nawzajem, muszą sobie pomagać. Dlatego tak ważne jest NATO, sojusz naprawdę wyjątkowy w dziejach świata. I dlatego tak ważne jest zaangażowanie obywateli w sprawy państwa, w obronność. Mogę tu przywołać książkę Victora Davisa Hansona pt. „Zachodni sposób walki”, którą cenię i zawsze polecam oficerom. On to doskonale opisuje. Pokazuje, dlaczego demokracje ostatecznie wygrywają.

Nas, Polaków, nie trzeba przekonywać co do wartości NATO.

Dziś, po rosyjskich klęskach na Ukrainie, nasze spojrzenie się zmieniło, ale 10 czy 5 lat temu mało kto wątpił, że Rosja pokonałaby Polskę, gdybyście walczyli samotnie. Ale nawet NATO-wskie plany zakładały, że sojusz cofa się do Niemiec i tam buduje siłę uderzeniową – Ground Response Force. Założenia mówiły, że zjawiamy się w Europie po 18 dniach. Dziś już wiemy, że Rosja okazała się papierowym tygrysem na wielu polach.

Tygrysem, który jednak morduje, niszczy, terroryzuje niewinnych na skalę znaną z II wojny światowej. Na frontach Rosjanie wypadają jednak słabo. Dlaczego?

Rosjanie mają w sobie pewien rodzaj wytrwałości w walce, ale – tak jak w czasie II wojny światowej – wynika on z pogardy dla życia żołnierzy, z terroru stosowanego wobec własnego wojska. To jest sowiecki sposób walki. Do tego ich armia nie ma współczesnego wyposażenia albo jest ono niekompletne. Widziałem zdjęcia czołgów T-80, które w środku mają optykę z czasów sowieckich. To jest coś, w co nigdy bym nie uwierzył.

Jak to się stało, że Rosja oszukała cały świat? Wszyscy, włącznie z analitykami i wywiadami, wierzyli, że to jest naprawdę druga armia świata.

Na pewno duże znaczenie miała potężna korupcja. Miałem dobrą opinię o rosyjskim sprzęcie. Gdy w Iraku i Afganistanie stykaliśmy się z karabinami AK-47, widzieliśmy, że są doskonałej jakości, w przeciwieństwie do tych produkowanych w innych krajach. To samo dotyczyło granatników i moździerzy. To, co stało się na Ukrainie, zaskoczyło także mnie. Ukraińcy, dysponujący jeszcze starszym sprzętem, czasem czołgami T-55, byli w stanie stawić czoła Rosjanom. W sumie Zachód popełnił ten sam błąd co w latach 80. Wówczas też pojawiali się uciekinierzy z ZSRS, którzy mówili CIA, jak jest naprawdę. Jeden opowiadał, że okręty wojenne pozorują sprawność silników w ten sposób, że żołnierze rozpalają ogniska z drewna. Nikt im nie wierzył.

Tuż przed wybuchem wojny i w czasie samego konfliktu mogliśmy się przekonać, jak wielka jest przewaga Stanów Zjednoczonych w sferze wywiadu, zwłaszcza satelitarnego i elektronicznego. Amerykanie wiedzieli, kiedy Moskwa uderzy, a później śledzili ruch każdej rosyjskiej jednostki. To dobry znak dla zachodniego świata?

W pełni się zgadzam, to bardzo ważne. Ukraińcy wygrywają dzięki pomocy w sprzęcie i informacji, ale także dlatego, że mają w sobie prawdziwie demokratycznego ducha. Widziałem to na każdym kroku, także w tym, jak oficerowie traktują żołnierzy, jakie stosunki panują w armii. Przejmują zachodnie standardy w tej sferze, od 2014 r. szkolą się w bazach treningowych NATO, na Ukrainie i poza nią. Zależało nam, by nauczyć Ukraińców, jak walczyć, a nie tylko w jaki sprzęt się wyposażyć. Kluczową rolę odgrywają oficerowie niezawodowi, awansowani spośród żołnierzy, w stopniu od kaprala do sierżanta. Oficerowie zawodowi dostarczają ogólnych wskazówek i rad, ale także słuchają. Wskazują cel i sposób działania, ale sierżant może powiedzieć: „Szefie, mam na to lepszy pomysł”. A szef odpowiada: „Zrób to i zwyciężaj!”.

Ukraińcy walczą tak, jak walczą armie zachodnie?

Są bardzo blisko tego modelu. Oficerowie są blisko żołnierzy, blisko frontu. Po stronie rosyjskiej rzecz wygląda inaczej. Jeńcy rosyjscy niemal zawsze mówią to samo: „Nie widziałem swojego oficera od chwili, gdy wyruszyliśmy na front, czy to z Białorusi, czy to z Rosji właściwej”. Opowiadają, że dostają jeden posiłek dziennie, co z kolei wymusza na nich zdobywanie pożywienia samodzielnie i sprowadza do roli rabusiów. Ten brak nadzoru sprawia, że jednostki zdemoralizowane dopuszczają się zbrodni. Ukraińcy walczą w sposób zdecentralizowany, a Rosjanie po staremu, pchając masy wojska do przodu.

Czy Rosja jest w stanie sięgnąć po broń nuklearną?

W czasie mojej służby w Pentagonie byłem oficerem nuklearnym Korpusu Piechoty Morskiej Stanów Zjednoczonych. To była bardzo cenna lekcja dla kogoś, kto wcześniej głównie

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 52ff5dafe5



Fot. Andrzej Wiktor

walczył w terenie, w Iraku, Afganistanie i Afryce Północnej. Dla USA broń atomowa to wyłącznie broń strategiczna. Rosja traktuje zaś atom jako broń taktyczną, do tego w swojej strategii zakłada, że w razie kłopotów zawsze będzie eskalowała konflikt. Dziś Rosja jest pod ścianą. W każdym razie Stany Zjednoczone powiedziały bardzo jasno: jeśli to zrobicie, pierwszą odpowiedzią będzie zatopienie Floty Czarnomorskiej. I nie sądźcie, że nie wiemy, gdzie znajdują się wasze okręty podwodne. NATO nie uderzy na terytorium Rosji, ale i poza jej granicami może zadać Kremlowi bardzo dotkliwe ciosy. Ale czy to przesądza sprawę? Dziś Putin jest jak szczur zapędzony do rogu. A to oznacza, że będzie kąsał.

> Ukraińcy wygrywają dzięki pomocy w sprzęcie i informacji, ale także dlatego, że mają w sobie prawdziwie demokratycznego ducha. Widziałem to na każdym kroku, także w tym, jak oficerowie traktują żołnierzy, jakie stosunki panują w armii

Mówi pan, że Rosja jest pod ścianą. Może rosyjska elita usunie Putina, ratując swoje majątki i wpływy?

W ostatnich dwóch latach II wojny światowej wielokrotnie próbowano zabić Hitlera, niemieckie elity wiedziały, że prowadzi kraj w przepaść. Dziś w Rosji co chwilę słyszymy o tym, że ktoś ważny zmarł na zawał serca albo wypadł z okna. Sądzę, że te zdarzenia są echem prób pozbycia się Putina, zemstą albo uderzeniem prewencyjnym. Tam naprawdę dużo się dzieje. Kiedyś jakiś pocisk może trafić i wtedy świat wróci do stanu sprzed 2014 r. W wielu obszarach Putin już przegrał. Rozmawiałem z mieszkańcami czysto rosyjskojęzycznych regionów Ukrainy. I ci ludzie mówili mi: „Mamy krewnych w Rosji, ale nas już z Rosją nic nie łączy. Nie mamy nic wspólnego z tymi zbrodniami, z tym całym barbarzyństwem, które Kreml sprowadził na Ukrainę".

Putin widzi jednak, jak wielka jest przewaga Zachodu w sferze technologicznej. NATO, gdyby weszło do gry, zdobyłoby panowanie nad ukraińskim niebem w ciągu godzin. Przekonaliśmy się także, że przekroczenie „czerwonych linii" nie wywołuje reakcji, której Zachód się obawiał. Polska dostarczyła ciężką broń, choć wiele krajów bało się nawet o tym pomyśleć.

To jest wielka zasługa Polski. Wasz kraj był najbardziej świadomy zagrożenia ze Wschodu wśród wszystkich państw NATO. Byliście i jesteście oczami sojuszu w odniesieniu do Białorusi i Rosji. Ciągle mówiliście: „Nie śpijcie, Rosja wciąż tam jest i ma agresywne plany". Nie przestaliście tego robić nawet wówczas, gdy wszyscy naprawdę spali i patrzyli na was dziwnie. Macie to we krwi. Jestem Polakiem z pochodzenia i moja babcia zawsze mówiła: „Nigdy nie ufaj Rosjanom". Wiedziała, co mówi.

Czy fakt, że zdaliśmy ten egzamin, będzie stanowił w przyszłości element polskiego kapitału? Czy będziemy słuchani w NATO w kwestiach bezpieczeństwa?

Na pewno, to już się dzieje. Ale ja podziwiam Polskę i Polaków także za pomoc udzieloną uchodźcom. Byłem pierwszym Amerykaninem, który dotarł po wybuchu wojny na przejście graniczne do Hrebennego. Widziałem siostry zakonne pracujące 24 godziny na dobę, widziałem nieprawdopodobnie ofiarnych młodych ludzi, którzy nie

eprasa.pl 52ff5dafe5

spali przez kilkadziesiąt godzin, widziałem niekończący się strumień darów. Przez granicę przechodziły niemal wyłącznie kobiety, dzieci i starsi ludzie. Wielu doświadczyło już ostrzału, widziało śmierć, niektórzy szli piechotą dziesiątki kilometrów. Jestem weteranem i miałem wrażenie, że to, co widzę, jest bardzo podobne do tego, co widziałem w Iraku i Afganistanie, ale skala tego wszystkiego była wielokrotnie większa.

> Jeńcy rosyjscy niemal zawsze mówią to samo: „Nie widziałem swojego oficera od chwili, gdy wyruszyliśmy na front". Opowiadają, że dostają jeden posiłek dziennie, co z kolei wymusza na nich zdobywanie pożywienia samodzielnie i sprowadza do roli rabusiów

Czym konkretnie zajmuje się pana organizacja – Ripley's Heroes?

Dostarczamy na Ukrainę karetki, sprzęt medyczny, leki, środki opatrunkowe, samochody potrzebne na froncie, sprzęt ochronny, optyczny, ubrania dla żołnierzy. Wszystko poza bronią, rzeczami, które niosą śmierć. Jesteśmy bardzo młodą organizacją, działamy ledwie sześć miesięcy, ale w sumie nasza pomoc jest już warta kilkaset milionów dolarów. Szybko się uczymy, także w kwestiach prawnych, często skomplikowanych, wymagających współdziałania z władzami.

Dlaczego pospieszyliście na pomoc Ukrainie? Inni nie chcieli?

Na Ukrainie wielkie międzynarodowe organizacje humanitarne są stosunkowo mało obecne. W części wynika to z niebezpieczeństw, które niesie wojna, a w części z faktu, że oznacza to narażenie się Rosji. W tę przestrzeń wchodzą więc organizacje średniej wielkości takie jak nasza. Wiemy, że jeśli będziemy dobrze zorganizowani, będziemy ciężko pracowali i dostaniemy wsparcie rządów, to uda nam się zrobić bardzo wiele. Opieramy się na aktywności oddolnej. Na mieszkańcach Ohio, którzy dają nam po 5 dol. Na polskiej szkole, której uczniowie zebrali 500 zł. Na kanadyjskiej parafii, która podarowała nam 100 kurtek. Jednocześnie obiecujemy: będziemy tak uczciwą i przejrzystą organizacją, jak to tylko możliwe. Nasze księgi są otwarte, można je sprawdzać i analizować. Bardzo pilnujemy, by nasze własne koszty były minimalne. Zawsze też prosimy najstarszego rangą oficera o potwierdzenie odbioru konkretnych ilości sprzętu. Teraz tworzymy Komitet Czterech Narodów, złożony z przedstawicieli szeroko rozumianych władz USA, Kanady, Ukrainy i Polski oraz oczywiście z organizacji charytatywnych z tych państw.

Dostarczacie sprzęt, który nie zabija, ale który jednak wspomaga wysiłek wojenny Ukrainy. Nie chcecie być neutralni?

Nie, stanęliśmy po jednej ze stron tej wojny. To nas łączy, to nas motywuje. Chcemy zatrzymać tę agresję. Wysyłamy to, co jest potrzebne i cywilom, i żołnierzom. Pozyskujemy także sprzęt, który pochodzi z magazynów amerykańskich, np. drony obserwacyjne czy wykrywacze min.

Ile razy był pan na Ukrainie?

Spośród 10 ostatnich miesięcy pięć spędziłem w Polsce lub na Ukrainie. Jestem byłym żołnierzem i wciąż mam nawyk sprawdzania na miejscu, jak wszystko działa, jak wygląda logistyka. Muszę podkreślić, że ukraińska wola walki jest zdumiewająca. Walczą sprzętem, którego nasz rząd nigdy nie pozwoliłby nam użyć. Walczą sprzętem nie tylko 10- czy 20-letnim, ale także 30-letnim. To się na szczęście zmienia, na Ukrainę płynie zachodnia broń. Walczą, choć mierzą się z niebywałymi zbrodniami. Byłem w Buczy i Irpieniu kilkanaście dni po odparciu Rosjan, więc wiem, o czym mówię. W pewnym momencie powiedziałem, że mam już dość, nie chciałem słuchać więcej, to było ponad moją wytrzymałość. Nie widzieliśmy takiej skali, takiego poziomu zbrodni od czasów II wojny światowej.

REKLAMA



71/1122/F

eprasa.pl 52ff5dafe5

Nawet jeśli Ukraina wygra, czasy będą niepewne. Polska jest w NATO, ale własne siły zbrojne to zawsze atut. Sojusz też nie ma własnej armii, nie wiadomo, jak będzie odpowiadał na podobne wyzwania w przyszłości. Ufajcie NATO, ale budujcie własne siły zbrojne

O co walczą Ukraińcy?

Walczą o swoją ojczyznę, walczą o wolność. Walczą o demokrację, walczą w sposób demokratyczny. A ja wierzę w demokrację. Wpuszczają dziennikarzy, niczego nie ukrywają. A przecież mogli zasłonić się stanem wojny i trzymać media daleko od frontu. Myślę, że to obawa przed ukraińską demokracją była jedną z przyczyn rosyjskiej agresji. Kreml bał się zaraźliwego przykładu.

W jakim punkcie tej wojny jesteśmy? Jeżeli myślimy o I czy II wojnie światowej, to widzimy, że zwycięstwo długo się ważyło, wydawało się niepewne. Dopiero z naszej perspektywy jest raczej oczywiste, że alianci musieli wygrać, bo dysponowali znaczącą przewagą gospodarczą.

Odpowiem tak: w naszej erze ci, po których stronie była racja moralna, zawsze ostatecznie odnosili sukces. Nie zawsze wygrywali pierwsze bitwy, ale ostatecznie zwyciężali. A kto ma dziś rację na Wschodzie, jest jasne. Rosja stała się wyjątkowo okropną, wojskową dyktaturą, jedną z najgorszych przez ostatnie dekady. Ukraina jest ofiarą, po jej stronie jest dobro i dlatego tak wielu decyduje się, by nieść jej pomoc. To ważny atut Kijowa.

A militarnie? Jak pan ocenia działania Sił Zbrojnych Ukrainy z fachowego punktu widzenia?

Prezydent Wołodymyr Zełenski zrobił rzecz niesamowitą: w połowie sierpnia zapowiedział ukraińskie kontruderzenie, całkiem konkretnie je opisując. Wielu myślało, że to tylko sztuczka. We wrześniu natarcie ruszyło i odniosło duże sukcesy. Jeśli w czasie wojny ktoś zapowiada atak i odnosi sukces, to naprawdę dokonuje wielkiej rzeczy, udowadnia wszystkim, że ma lepszą armię. Zełenski działa trochę w napoleońskim stylu, przywołując znaną zasadę cesarza Francuzów: atakujcie, atakujcie, atakujcie. Jeśli dodamy do tego wysokie morale żołnierzy, ducha całego narodu, to obraz staje się jasny: Ukraina wygra tę wojnę.

Czy Ukraińcy są już dobrze wyposażeni? Nie chodzi tylko o broń ciężką, ale także o osobisty ekwipunek żołnierzy, o lekką broń i drobne wyposażenie.



Fot. Cortney D Photography/riprawlings.com

Na pewno są lepiej wyposażeni niż ci, z którymi walczą. Są też lepiej wyszkoleni i lepiej dowodzeni. Nie walczą też w przeciwieństwie do Rosjan wszystkimi dostępnymi środkami, nie bombardują na oślep cywilnych budynków, miast i wsi. Cele dobierają starannie. Kluczowe znaczenie dla ukraińskich sukcesów miały HIMARS i inne systemy artyleryjskie. One spowodowały, że sowiecka metoda ataku za pomocą zmasowanego ognia artyleryjskiego stała się bezużyteczna. HIMARS pozwalają strzelać na zaplecze, niszczyć stanowiska ogniowa, linie zaopatrzenia i centra dowodzenia. Osobiście sądziłem, że USA one nie dadzą Ukrainie HIMARS, to jest przecież bardzo skomplikowana, precyzyjna broń, której nie można używać tak, jak używało się „organów Stalina". Na szczęście myliłem się. Teraz ta broń uderza również na terytorium Rosji, mimo że wciąż USA nie uznały tego kraju za sponsora terroryzmu, co zresztą moim zdaniem powinno nastąpić.

Rosja jeszcze stoi na nogach, wykorzystuje proste rezerwy, skuteczność sankcji rośnie wraz z upływem czasu. Pytanie, kiedy przyjdzie załamanie?

Stany Zjednoczone wraz z sojusznikami były w stanie załamać irański program atomowy za pomocą sankcji oraz wirusa komputerowego, który podrzuciły służby specjalne. Długoterminowe sankcje w końcu uderzą w Rosję z całą mocą i zapłaci ona za swoje działania. Wielka w tym rola Polski. Bez waszego kraju tyrania odległości, jak to mówimy w wojsku, uniemożliwiłaby niesienie tak skutecznej pomocy Ukrainie. Nie dałoby się tego zrobić ani przez Słowację, ani przez Węgry, ani przez Rumunię, ponieważ tam są wysokie Karpaty. Naprawdę macie powody do dumy.

Polska realizuje ambitny program zbrojeniowy. Jak silną powinniśmy mieć armię?

Tak silną, jak się tylko da. Tak silną, na jaką tylko was stać. Nawet jeśli Ukraina wygra, czasy będą niepewne. Polska jest w NATO, ale własne siły zbrojne to zawsze atut. Sojusz też nie ma własnej armii, nie wiadomo, jak będzie odpowiadał na podobne wyzwania w przyszłości. Ufajcie NATO, ale budujcie własne siły zbrojne.

eprasa.pl 52ff5dafe5



Fot. Wojciech Olkusnik/East News

Bezkompromisowi

Jeszcze nigdy polski rząd nie był tak blisko otrzymania środków z unijnego funduszu odbudowy jak w minioną środę. Dlaczego więc do historycznego porozumienia jeszcze nie doszło?

eprasa.pl 52ff5dafe5



MAREK PYZA MARCIN WIKŁO

Jedni mówili o historycznym kompromisie, inni o kapitulacji obozu władzy. Przez chwilę wydawało się, że mimo różnic w koalicji w parlamencie uda się przyjąć dotyczące wymiaru sprawiedliwości rozwiązania wynegocjowane z Komisją Europejską. Opozycja nie mówiła „nie", nawet marszałek Senatu był otwarty na zwołanie nadzwyczajnego posiedzenia izby wyższej, by jak najszybciej zaakceptować nowelizację prawa.

Jednak w całej tej skomplikowanej układance jakby zapomniano o roli prezydenta w procesie legislacyjnym. Ostatecznie został wciśnięty hamulec, zrezygnowano z błyskawicznej pracy Sejmu, a rozpoczęła się kolejna partia szachów w Zjednoczonej Prawicy.

Majaczące na horyzoncie odblokowanie środków z Krajowego Planu Odbudowy zostało zawieszone równie szybko, jak się pojawiło. Czy zatem wciąż można mówić o przełomie? Wydaje się, że tak. Mamy bowiem na stole konkretną propozycję, którą wypracowali nasi negocjatorzy w Brukseli i decyzję głównego ośrodka politycznego: robimy krok w tył w sprawie sądów, by osiągnąć cel wyższy: pozyskać pieniądze, które są Polsce niezbędne.

O CO TEN SPÓR?

Powodem zdjęcia ustawy z porządku obrad Sejmu było oświadczenie prezydenta, który wysłał jasny sygnał, że nie zamierza podpisać nowelizacji w zaproponowanym kształcie. „Nie zgodzę się na żadne rozwiązania, które będą godziły w konstrukcję konstytucyjną i ustrojową Rzeczypospolitej. Będę wspierał za to rozwiązania, które pomogą nam korzystać z naszych praw wynikających z członkostwa w UE" – mówił Andrzej Duda.

Wątpliwości prezydenta musiały wzbudzić przede wszystkim dwa punkty wynegocjowanego z Brukselą porozumienia. Pytanie o zgodność z konstytucją pojawia się przy kwestii przeniesienia spraw dyscyplinarnych i testu niezależności sędziego do NSA. Sąd administracyjny miałby *de facto* odebrać kompetencje zaproponowanej przez prezydenta i wprowadzonej ustawą Izby Odpowiedzialności Zawodowej oraz rozstrzygać sprawy sędziów, którzy częścią administracji nie są. Za tym pomysłem może przemawiać to, że do tej pory NSA raczej dystansował się od sporu politycznego dotyczącego reformy wymiaru sprawiedliwości (choć w grudniu zrecenzował skład Trybunału Konstytucyjnego, określając go zainfekowanym bezprawnością) i nie ma żadnych wyroków trybunałów europejskich podważających niezależność zasiadających w nim sędziów. Można by zatem liczyć na wyciszenie sporów z UE dotyczących postępowań dyscyplinarnych.

Prezydencka nowelizacja ustawy o Sądzie Najwyższym z lata br. wprowadziła tzw. test niezawisłości i bezstronności sędziego, który miał zażegnać spór wokół podziału na sędziów z poparciem tzw. starej i nowej Krajowej Rady Sądownictwa. Kwestionowanie statusu kolegów i odmowa wspólnego orzekania z tzw. nowymi sędziami stały się bowiem nieznośną praktyką i nagradzaną aplauzem opozycji manifestacją polityczną. Po przejściu testu status sędziego nie może być kwestionowany. Obecna nowelizacja mogłaby przywrócić w pewnej mierze problem, podstawą testu znów mogłyby się stać tzw. okoliczności towarzyszące powołaniu sędziego. Jest co prawda zapis, że przy takim teście jest konieczne odwołanie się do okoliczności konkretnej sprawy, ale i tak można go rozumieć jako podważanie kompetencji prezydenta, którego wyłączną prerogatywą jest nominowanie sędziów.

W obecnym sporze można zauważyć także warstwę ambicjonalną. „Projekt ustawy, nad którą Sejm będzie pracował, nie był ze mną konsultowany ani nie uczestniczyłem w pracach nad nim" – powiedział prezydent, wprawiając opinię publiczną w zdumienie, bowiem zaledwie dzień wcześniej przedstawiciele rządu zapewniali, że konsultacje z pałacem się odbyły. Jaka była ich forma? Kto i z kim konkretnie rozmawiał? Czy rozmowa Andrzeja Dudy z ministrem Szymonem Szynkowskim vel Sękiem podczas powrotu z Berlina w ubiegły poniedziałek nie odbyła się zbyt późno, by nazwać ją konsultacjami?

„Prezydent nie czuł się wystarczająco konsultowany. Przyjmuję z pokorą stanowisko prezydenta. Zaangażuję się w to, by prezydent dysponował wszelkimi szczegółowymi informacjami w trakcie prac parlamentarnych. Jeżeli będzie życzył sobie informacji z procesu negocjacyjnego, jestem do pełnej dyspozycji" – powiedział w Sejmie minister ds. UE.

FAŁSZYWA TROSKA

„Apeluję do parlamentu, by spokojnie i konstruktywnie nad tym pracować. Wszystkim zależy na tym, by środki z KPO trafiły do Polski, ale pamiętajmy, że fundamentalne jest zapewnienie praworządności. W pracach w Sejmie i Senacie będą brali udział moi przedstawiciele" – zapowiedział Andrzej Duda.

Do tej pory spokoju w tej sprawie nie było. Ale naprawdę spora nerwowość wkradła się teraz przede wszystkim w szeregi znacznej części opozycji, szczególnie tej totalnej. Niczym żaba ze znanego powiedzenia podstawiająca nogę do podkucia Donald Tusk uznał, że zbliżający się kompromis to jego zasługa. Ale nie był to głos ulgi, wręcz przeciwnie. Bo akurat ten polityk doskonale rozumie, że gdyby jakiekolwiek pieniądze z KPO popłynęły do naszego kraju (choćby tylko pierwsza transza), to nie tylko pomogłoby to budżetowi (czyli rządowi), ale przede wszystkim załamałoby narrację o wychodzącej z Europy i marginalizowanej Polsce.

eprasa.pl 52ff5dafe5

To dlatego po ogłoszeniu informacji o konsensusie wajcha medialna została przestawiona i jak myśliwi ruszyli po korytarzach sejmowych reporterzy mediów sprzyjających opozycji. Niczym w amoku naskakiwali na posłów PiS, żądając tłumaczenia, dlaczego Zjednoczona Prawica... kapituluje przed Brukselą. Tak się zatroskali o polską suwerenność!

Cały ten spektakl rozegrał się tuż po głosowaniu nad odwołaniem ministra sprawiedliwości. Zbigniew Ziobro zachował stanowisko, zresztą po raz kolejny, ale tym razem opozycja naprawdę myślała, że się to może udać. Dlatego w Koalicji Obywatelskiej zaordynowano pełną mobilizację. W jej efekcie poseł Dariusz Rosati, który jeszcze we wtorek rano poinformował na Twitterze, że jest zakażony koronawirusem (na dowód wstawił zdjęcie wyniku testu), po południu jak gdyby nigdy nic zjawił się w Sejmie, by głosować za odwołaniem ministra. Mowa o tym samym Rosatim, który przed dwoma laty stanowczo twierdził, że „wolność kończy się tam, gdzie chory na covid nieświadomie zaraża innych, bo się nie szczepi i nie izoluje". Choć w tym przypadku poseł narażał zdrowie i życie innych w pełni świadomie.

Ostatnie operacje polityczno-medialne przeciwników rządu są wyraźnie obliczone na podsycanie konfliktu w obozie władzy. Po to m.in. był cyrk w TVN z opiniami biegłych w sprawie katastrofy smoleńskiej, którymi Ziobro miał rzekomo podważać hipotezę o wybuchu w tupolewie. Minister sprawiedliwości nie miał nic wspólnego z tymi ekspertyzami ani nie można z nich wyciągać takich wniosków, jakie chcieli szyć medialni funkcjonariusze z Wiertniczej.

Nie można więc wykluczyć, że i teraz w planie Brukseli (oraz żyjącej z nią w symbiozie polską opozycją) oraz jej zgodzie na wypłatę KPO mieścił się element wypchnięcia Solidarnej Polski ze Zjednoczonej Prawicy.

WĘZEŁ GORDYJSKI

Batalia o pieniądze z KPO to neverending story rozgrywające się na wielu poziomach. Pierwszym są od dawna napięte relacje polskiego rządu ze strukturami unijnymi. Wywołało je uzurpowanie sobie przez brukselskich urzędników prawa do łamiącej traktaty europejskie ingerencji w polski wymiar sprawiedliwości. Równie bezprawny jest szantaż stosowany przez eurokratów: albo przystaniecie na nasze ultimatum, albo możecie zapomnieć o tym, co się wam należy.

> Spora nerwowość wkradła się teraz przede wszystkim w szeregi znacznej części opozycji, szczególnie tej totalnej. Niczym żaba ze znanego powiedzenia podstawiająca nogę do podkucia Donald Tusk uznał, że zbliżający się kompromis z Brukselą to jego zasługa

Nie chcąc się zgodzić na ten zamordyzm, rząd odwlekał sprawę. Poszedł na ustępstwa, przyjmując latem nowelizację ustawy o Sądzie Najwyższym przygotowaną w Pałacu Prezydenckim. I choć szefowa Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen przekonywała w Warszawie (na wspólnej konferencji z Andrzejem Dudą i Mateuszem Morawieckim), że osiągnięto porozumienie, po jej powrocie do Brukseli usłyszeliśmy, że wcale tak nie jest. Prezydent mówił w wywiadzie dla tygodnika „Sieci", że czuje się oszukany i więcej w żadne negocjacje z Unią nie będzie się angażował.

Drugim obszarem utrudniającym zamknięcie tej sprawy jest różnica zdań w koalicji. Solidarna Polska nie chce słyszeć o kolejnych koncesjach dla Unii w naszym wymiarze sprawiedliwości. Na to nakłada się osobisty konflikt między Zbigniewem Ziobrą a Mateuszem Morawieckim. Nie pomaga coraz bliższa perspektywa wyborów, przed którymi szyki Zjednoczonej Prawicy powinny być zwarte, a nie balansować na granicy przetrwania.

Jest wreszcie napięcie między głową państwa a jej zapleczem politycznym. W Pałacu Prezydenckim można usłyszeć, że Andrzej Duda nie przez wszystkich w obozie władzy był traktowany z należytą powagą. I takie myślenie pokutuje do dziś. W każdym razie część środowiska Zjednoczonej Prawicy nie chce mu zapomnieć zawetowania ustaw sądowych w 2017 r.

Nad tym wszystkim unosi się kwestia zasadnicza – pieniądze, bez których będzie kłopot z realizacją wszystkich planowanych wydatków budżetowych, zwłaszcza w roku wyborczym.

Czy jest możliwe przecięcie tego węzła gordyjskiego? – Musimy się z tym uporać. Jeśli tego kompromisu nie zrealizujemy, kto weźmie na siebie ciężar oddania władzy Tuskowi? – mówi nam wpływowy polityk PiS. W jego słowach nie bez racji pobrzmiewa obawa, że brak miliardów na KPO znacznie osłabia szanse Zjednoczonej Prawicy na kontynuację rządów.

Słyszymy też, że tych pieniędzy nie da się już pożyczyć na rynku. Przed wojną było to jeszcze możliwe. Ale dziś o korzystnych warunkach gigantycznego kredytu dla państwa przyfrontowego możemy zapomnieć.

Pragmatyzm wskazywałby więc na konieczność dogadania się. Dodatkowo działa presja czasu, bo przecież od przyjęcia ustaw, przez wypełnienie wszystkich unijnych procedur, do wypłaty pierwszych pieniędzy minie kilka miesięcy. A obóz władzy nie może sobie pozwolić, by nierozwiązana kwestia brukselskich pieniędzy stała się jednym z głównych tematów kampanii.

eprasa.pl 52ff5dafe5



Bilet do wojska

Zapowiedź wysyłania wezwań na szkolenia wojskowe wywołała niemałą panikę. Wolnościowi liberałowie nagle uznali, że – byleby nie iść do wojska – mogą płacić wyższe podatki. Z kolei ci tęczowi są tak przerażeni perspektywą powoływania gejów, że najwyraźniej zapomnieli o równości praw i obowiązków dla wszystkich obywateli



KONRAD KOŁODZIEJSKI

Wojna na Ukrainie wyrwała nas ze słodkiego snu o bezalternatywnie szczęśliwej przyszłości. Historia gwałtownie przyspieszyła i zmusiła nas do tego, by przygotować się do różnego rozwoju wydarzeń. W opublikowanym niedawno projekcie rozporządzenia MON napisano, że w 2023 r. przewiduje się powołanie do 200 tys. osób na ćwiczenia wojskowe. Ma to oczywiście związek z napiętą sytuacją za naszą wschodnią granicą.

Informacja o szkoleniach wojskowych – ze względu na towarzyszące jej okoliczności – może wywoływać niepokój. Jednak ten niepokój w wielu środowiskach liberalnych przerodził się w panikę, umiejętnie podgrzewaną przez prorosyjskich trolli twierdzących, że Polska szykuje mobilizację, która prędzej czy później zakończy się masową wysyłką polskiej młodzieży na front wschodni.

NIE DAĆ SIĘ ZABIĆ

Fakty są zupełnie inne. Nikt oczywiście nie ogłasza mobilizacji, nie ma nawet mowy o poborze. Chodzi o to, że w obliczu rosyjskiej agresji jest konieczne wzmocnienie polskich zdolności obronnych. Zbrojenia, na które wydajemy dziś miliardy, to tylko jedna strona medalu, drugą jest przeszkolenie możliwie dużej liczby rezerwistów.

Doświadczenie wojny na Ukrainie pokazuje bowiem wyraźnie, że kluczem do powstrzymania agresora jest odpowiednio przygotowana armia. Ukraińcy ogłosili mobilizację dopiero po wybuchu wojny, jednak mieli wyszkolone rezerwy. Często byli to ludzie, którzy doświadczyli już warunków bojowych na froncie w Donbasie, gdzie od 2014 r. trwały walki z separatystami. To tam rotacyjnie trafiały kolejne oddziały ukraińskiej armii. W momencie wybuchu wojny Ukraina dysponowała więc dziesiątkami tysięcy ostrzelanych żołnierzy, którzy dzięki swoim umiejętnościom zdołali zatrzymać agresora.

Polacy na szczęście nie byli zmuszeni do tego, by sprawdzać swoje zdolności w warunkach realnej wojny. Nie oznacza to jednak, że możemy spać spokojnie. Wiadomo, że od czasu zawieszenia poboru do wojska w 2010 r. liczba przeszkolonych rezerwistów ciągle spada. Według szacunków fundacji Ad Arma, zajmującej się walką o powszechny dostęp do broni, Polska w ogóle nie posiada takich rezerwistów w grupie wiekowej 21–30 lat. Najliczniejszą grupę stanowią osoby w wieku 51–60 lat (ok. 870 tys.) oraz ci w wieku 41–50 lat (ok. 570 tys.). Jak tak dalej pójdzie, to za kilkanaście lat w polskiej armii całkowicie zabraknie przeszkolonych rezerw albo pozostaną w niej wyłącznie osoby w wieku przedemerytalnym.

Co należy podkreślić, rezygnacja z przymusowego poboru nie oznacza – jak niektórym mogłoby się wydawać – że zlikwidowano obowiązek służby wojskowej. Jeśli ktoś więc liczy na to, że ma armię całkiem z głowy, to jest w grubym błędzie. Ten obowiązek istnieje i podlega mu każdy do ukończenia 55 lat (w przypadku oficerów – 63 lat), a to oznacza, że nawet jeśli ktoś nie przeszedł szkolenia i nie trafił nigdy do wojska, to i tak dostanie wezwanie w przypadku zagrożenia i ogłoszenia mobilizacji. Tyle że będzie wtedy kompletnie nieprzygotowany i – co za tym idzie – bardziej zagrożony. Dlatego – jakkolwiek może to zabrzmieć brutalnie – w interesie każdego potencjalnego rezerwisty powinna

eprasa.pl 52ff5dafe5

być choćby pobieżna znajomość broni i procedur wojskowych. Choćby po to, by nie dać się zabić.

TO NIE BĘDZIE 200 TYS.

Nic więc dziwnego, że armia szuka wyjścia z tej sytuacji. Sporo możliwości dała uchwalona w marcu ustawa o obronie Ojczyzny. Obok zwiększenia finansowania zakupów zbrojeniowych wprowadziła ona dobrowolną zasadniczą służbę wojskową. Rząd liczy, że tego rodzaju służba wraz z rozwojem Wojsk Obrony Terytorialnej pozwoli na zwiększenie liczebności armii z obecnych 170 tys. do – docelowo – 300 tys. Na to jednak potrzeba czasu. Co więcej, nie rozwiązuje to problemu z kurczącą się rezerwą.

Na mocy ustawy osoby, które dobrowolnie zgłosiły się do wojska, a więc byli żołnierze zawodowi, żołnierze WOT oraz ci, którzy ukończyli dobrowolną służbę zasadniczą, stanowią aktywną rezerwę. Wszyscy pozostali, którzy kiedykolwiek trafili przed komisję uzupełnień i otrzymali na niej kategorię przydatności do służby wojskowej oraz są w ustawowym przedziale wiekowym, zostali zaliczeni do rezerwy pasywnej. I to właśnie ta zdecydowanie liczniejsza grupa rezerwistów jest słabo przygotowana albo wręcz – jeśli chodzi o młodsze roczniki – w ogóle nieprzeszkolona.

Wspomniany projekt rozporządzenia MON zakłada, że w przyszłym roku mają być zorganizowane szkolenia dla maksymalnie niecałych 100 tys. osób wchodzących w skład aktywnej rezerwy oraz dla maksimum 200 tys. osób wchodzących w skład rezerwy pasywnej. Przy czym słowo „maksimum" oznacza, że przeszkolonych może być mniej. I zapewne będzie ich mniej. W przypadku rezerwy pasywnej prawdopodobnie chodzi głównie o osoby, które nie miały styczności z wojskiem, za to mają kwalifikacje przydatne w wojsku: lekarzy, informatyków, kierowców, specjalistów od logistyki. Zwłaszcza ci ostatni, co pokazuje wojna na Ukrainie, odgrywają niesłychanie ważną rolę w skutecznym powstrzymywaniu agresji, zapewniając i organizując sprawne dostawy na front. Według zapewnień MON większość szkoleń dla rezerwy pasywnej ma mieć charakter weekendowy.

Co więcej, liczba 200 tys. nie jest żadną niespodzianką. Taką samą liczbę rezerwistów przewidywały dwa poprzednie rozporządzenia, przy czym do szkoleń w praktyce w ogóle nie doszło, m.in. z powodu pandemii. Tym razem może być zresztą podobnie, bo według płk. Mirosława Brysia z Centralnego Wojskowego Centrum Rekrutacji szkolenie może ograniczyć się do zaledwie 3 tys. osób z rezerwy pasywnej. „Ćwiczenie będzie polegało na zapoznaniu się ze sprzętem wojskowym, nadaniu przydziału mobilizacyjnego do konkretnej jednostki wojskowej i po dwóch dniach osoba zostanie zwolniona" – poinformował płk Bryś.

> Rezygnacja z przymusowego poboru nie oznacza, że zlikwidowano obowiązek służby wojskowej. Jeśli ktoś więc liczy na to, że ma armię całkiem z głowy, to jest w grubym błędzie

PRAWA I OBOWIĄZKI

Warto podkreślić, że plany ćwiczeń są regularnie ustalane od kilku lat, jednak dopiero teraz, gdy z powodu wojny na Ukrainie zaczęły one nabierać konkretnego kształtu, wybuchła panika. Oczywiście nikt nie oczekuje powszechnego entuzjazmu na wieść o wezwaniu na ćwiczenia wojskowe. Tym bardziej że dla większości ludzi wojsko to obowiązek, a nie przyjemność – zwłaszcza w kontekście wojny za naszą wschodnią granicą. Można zrozumieć niepokój wywołany sytuacją lub złość z powodu oderwania od codziennych zajęć, jednak dojrzali ludzie – przynajmniej teoretycznie – powinni być świadomi tego, że czasem przychodzi czas, w którym trzeba coś poświęcić, by nie stracić całego świata wokół. Skoro przez 30 lat tak wielu zachwycało się wolnością, demokracją i bezpieczeństwem, to może teraz powinni udowodnić, że te słowa mają dla nich jakąś wartość.

Tymczasem najwięksi obrońcy wolności okazali się nagle najmniej do niej przywiązani. Podziały nie szły tu zresztą według klasycznych linii politycznych, ale wzdłuż osi dzielącej wspólnotowość od liberalnego indywidualizmu.

Jeden z działaczy korwinowskiej partii Nowa Nadzieja stwierdził na Twitterze, że niechęć do obrony państwa wynika z tego, że to państwo jest słabe – czego dowodem jest jakość usług pocztowych czy służby zdrowia. Jeszcze trochę, a ortodoksyjni miłośnicy wolnego rynku, pomstujący codziennie na wysokie podatki, nagle odkryją, że od wysokości tych podatków zależy siła państwa i ich własne bezpieczeństwo. Niektórzy zresztą już to odkryli, deklarując, że mogą zapłacić wyższe podatki, byleby tylko nie iść do wojska.

Głos zabrali także aktywiści LGBT+. Wśród nich znaleźli się tacy, którzy wprost zażądali zwolnienia ze służby wojskowej i szkoleń, tłumacząc to ryzykiem dyskryminacji, która ich czeka w armii. A zatem z jednej strony mamy postulat całkowitego równouprawnienia – czyli zrównania w prawach i obowiązkach z wszystkimi obywatelami (śluby, adopcje itd.), a z drugiej żądanie przywilejów, bo właśnie tym jest zwolnienie z wojska.

Pojawiły się nawet próby wpisania protestów przeciwko wojsku w hasło aborcjonistek: „Moje ciało, moja sprawa". Przy czym tutaj „obrona ciała" miała odnosić się do mężczyzn próbujących uniknąć – jak rozumiem – fizycznych okaleczeń podczas służby w armii.

Być może warto było wyjść naprzeciw tym postulatom, w końcu na siłę nie zrobi się z nikogo żołnierza. Jednak w zamian należałoby – jak zaproponował Rafał Ziemkiewicz – pozbawić osoby uchylające się od obowiązków na rzecz państwa części ich praw publicznych (np. wyborczych). Wtedy byłoby równo i sprawiedliwie.

Nie wszyscy przecież zdali test z powinności wobec własnego państwa. Sporo nam to niestety mówi o dziedzictwie ostatnich 30 lat.

Fot. Marcin Bielecki / PAP

eprasa.pl 52ff5dafe5



Puste miejsce dla przyjaciół Ukraińców

Politycy od prawa do lewa, przez centrum, przy wspólnym świątecznym stole? W dodatku bez kłótni? Niemożliwe? A jednak! Takie rzeczy w świątecznym programie telewizji wPolsce.pl



DOROTA ŁOSIEWICZ

Kto zgubił świąteczne prezenty, kto ulepił 400 uszek, kto z rozrzewnieniem wspomina drewnianego konia na biegunach, kto pierwszy zestaw Lego, a kto znalazł pod choinką nuty – o tym wszystkim opowiedzieli mi politycy Prawa i Sprawiedliwości (Barbara Socha, wiceminister rodziny i polityki społecznej), Polskiego Stronnictwa Ludowego (Urszula Pasławska, posłanka, wiceprezes PSL), Polski 2050 (senator Jacek Bury) i Nowej Lewicy (Marcin Kulasek, poseł, sekretarz generalny tej partii) w programie „Święta z wPolsce.pl”.

Każdy, kto odwiedził studio wPolsce.pl, wie, że u nas zawsze panuje rodzinna atmosfera i każdy jest tu mile widziany. Przed wejściem do studia – zakulisowe rozmowy. Nagle poseł Nowej Lewicy Marcin Kulasek, wczuwając się w atmosferę świąt, wyciąga z plecaka i wkłada czapkę św. Mikołaja. – Mogę w niej wystąpić – śmieje się. – Niedługo na rynku Starego Miasta w Olsztynie będę rozdawał choinki, szykuję się do roli – żartuje.

– Nie wiedziałem, że wy na lewicy tak się wczuwacie w klimat świąt – rozluźnia się senator Jacek Bury. – Mar-

eprasa.pl 52ff5dafe5

> To na pewno będą inne święta. Uświadamiające nam, jak wiele mamy i że nie wszyscy będą mogli spędzić te święta tak jak do tej pory. Mam tu na myśli oczywiście naszych sąsiadów zza wschodniej granicy – mówiła wiceminister Barbara Socha

cin już tak ma, jest bardzo koncyliacyjny – komentuje Urszula Pasławska z PSL. A wiceminister Barbara Socha zastanawia się, co jeszcze musi ugotować przed Wigilią.

Kto by pomyślał, że na mównicy sejmowej i w mediach ci politycy toczą zażarte spory. Tymczasem w naszym studiu w atmosferze zgody i pojednania chętnie opowiadali o świątecznych tradycjach panujących w ich rodzinach i o tym, jak przygotowują Boże Narodzenie. Zaczęliśmy jednak poważnie. Od świąt w cieniu kryzysu i wojny na Ukrainie.

– To na pewno będą inne święta. Uświadamiające nam, jak wiele mamy i że nie wszyscy będą mogli spędzić te święta tak jak do tej pory. Mam tu na myśli oczywiście naszych sąsiadów zza wschodniej granicy. To będą dla nich bardzo trudne święta. W każdym polskim domu te myśli będą biegły w stronę Ukrainy. Także życzenia i pomoc. Pewnie te święta będą skromniejsze niż co roku, bo mam nadzieję, że bardziej pomyślimy o tych, których gościmy w Polsce, a mniej o tym, jaką kolejną zabawką rozpieścić nasze dzieci – mówiła Barbara Socha.

– To, co najważniejsze, będzie z nami i jest z nami: potrzeba spotykania się, potrzeba cieszenia się z narodzin Pana Jezusa. Na pewno problemy związane z kosztami życia są większe niż rok czy dwa lata temu i o tym na pewno będzie mowa przy wigilijnym stole. Mam jednak nadzieję, że w wielu polskich domach znajdzie się miejsce dla naszych przyjaciół i gości z Ukrainy. I z tego powodu będą to wyjątkowe i niezapomniane święta – nie miała wątpliwości Urszula Pasławska.

– Jestem pewny, że w te święta będziemy mieli więcej refleksji na temat tego, jak świat się zmienia, jak wszystko przemija. Może warto się zastanowić, czy wszystkie te rzeczy, o które zabiegaliśmy, w ogóle były tego warte. Wojna na Wschodzie przypomina nam, że także nasz kraj ze stabilnego i spokojnego może wpaść w większe problemy. Dlatego chciałbym, żeby przy stołach nie zabrakło tej refleksji, by cieszyć się tym, co mamy, bo życie jest jedno i ono jest bardzo ulotne – zamyślał się Jacek Bury.

– Te święta będą inne i ze względu na wojnę, i ze względu na pandemię, która jeszcze niedawno męczyła cały świat. Potrzebujemy tych spotkań, potrzebujemy bliskości ludzi. Podczas pandemii wszyscy się pozamykali, odsunęli od siebie i teraz będzie okazja, żeby te relacje odbudować. Nawiązując do tego, co dzieje się za wschodnią granicą, to w br. tradycyjne puste miejsce powinno zostać wypełnione naszymi przyjaciółmi z Ukrainy, którzy walczą nie tylko o swoją wolność, ale i o naszą – zaapelował Marcin Kulasek.

> Nagle poseł Nowej Lewicy Marcin Kulasek, wczuwając się w atmosferę świąt, wyciąga z plecaka i wkłada czapkę św. Mikołaja. – Mogę w niej wystąpić – śmieje się

O tym, co jeszcze powiedzieli politycy przy wigilijnym stole w telewizji wPolsce.pl, przekonają się państwo 24 grudnia o godz. 16.00 i podczas świątecznych powtórek programu. Zapraszamy na „Święta z wPolsce.pl".

Fot. Andrzej Skwarczyński

WYJAŚNIENIE

W artykule „Antypolska pętla" (tygodnik „Sieci" nr 44/2022) zostały zamieszczone i przytoczone błędne informacje co do statusu pana Piotra Osieckiego w postępowaniu karnym oraz postawionych mu zarzutów. W rzeczywistości w postępowaniu karnym wspomnianym w artykule pan Piotr Osiecki ma status podejrzanego, a postawione mu zarzuty dotyczą działania na szkodę GetBack SA i Idea Bank SA.

Przepraszamy pana Piotra Osieckiego za zamieszczenie i przytoczenie w ww. artykule błędnych informacji co do jego statusu w postępowaniu karnym oraz zarzutów postawionych mu w tym postępowaniu.

Marcin Wikło – autor
Jacek Karnowski – redaktor naczelny
Fratria Sp. z o.o. – wydawca

eprasa.pl 52ff5dafe5



Nie wygumkują mnie z historii polskiej reprezentacji

Niesmak jest duży, bo pierwszy raz od 36 lat nie graliśmy meczu o honor, a odbiór jest taki, jakbyśmy ponieśli jakąś klęskę. Dobrze się stało, że żadnych dodatkowych pieniędzy nie będzie

Z Czesławem Michniewiczem, selekcjonerem reprezentacji Polski w piłce nożnej, rozmawia Cezary Kowalski (Polsat Sport)

Po powrocie z Kataru powiedział pan, że czuje się jak Krystyna Janda w „Przesłuchaniu". Odetchnął już pan?

Czesław Michniewicz: Tak, bo dużo podróżuję i spotkałem mnóstwo szczęśliwych ludzi, którzy byli dumni z tej reprezentacji. Dla wielu była to pierwsza w życiu możliwość oglądania drużyny narodowej na mundialu, która wychodzi z grupy, zagrała cztery mecze. Mam satysfakcję, oddzielam to całe zamieszanie wokół. Nie pozwolę sobie odebrać radości, którą miałem na mistrzostwach. Kiedy jest pokazywana drabinka, jak Argentyna i Francja szły do finału, to my tam zawsze jesteśmy. Nie pozwolę, by myśli, że coś zrobiłem źle, mnie zdominowały.

Rozumie pan krytykę ludzi, którzy odczuwają inaczej niż pan?

Słyszę krytykę, ale myślę inaczej, odbieram to inaczej. Teraz jak wychodzę z psem i idę w lewo, to będę krytykowany za wybór kierunku. Taka jest rola selekcjonera drużyny piłkarskiej. Nie ubolewam nad tym. Na świecie jest podobnie, z jednym zastrzeżeniem. My wyjątkowo lubimy umniejszać sukcesy, a uwypuklać porażki. Ja staram się myśleć pozytywnie, lubię ludzi, jestem uśmiechniętym facetem. I naprawdę duża część Polaków też taka jest. Na ulicy, rozmawiając ze zwykłymi ludźmi, spotykam się z sympatią. Podchodzą, gratulują, rzucą miłe słowo, zainteresowanie Polaków futbolem jest bardzo duże. Zwłaszcza teraz, kiedy za oknem szybko robi się ciemno, można było pożyć trochę wielkimi emocjami w Katarze.

Pierwszy mecz z Meksykiem nie porwał, delikatnie mówiąc.

Widziałem ten mecz już kilka razy. Mogliśmy go wygrać, nie wykorzystaliśmy rzutu karnego. Zawsze jest niedosyt. Sposobu gry jednak nie żałuję, bo był on adekwatny do pierwszego spotkania na turnieju. Proszę sobie przypomnieć, co nasze drużyny robiły na mundialach w Korei, Niemczech czy Rosji. Po pierwszym meczu już było bardzo źle, po drugim się pakowaliśmy. My nie chcieliśmy się tak szybko pakować. Wielu zawodników miało świadomość, że to dla nich ostatnia szansa, by poczuć, jak to jest wyjść z grupy. Spotkaliśmy się jeszcze przed zgrupowaniem listopadowym i rozmawialiśmy na temat tego, co chcemy osiągnąć w Katarze. Wszyscy mówili jednym głosem, że chcą wyjść z grupy. Powiedziałem, że są dwa sposoby na to. Jeden to taki, nad którym nie będziemy mieli kontroli i różnie może być, a drugi to dobra gra taktyczna, perfekcyjne ustawienie pod każdego przeciwnika. I wszyscy się za tym opowiedzieli. Mówili, że przed mundialem w Rosji zmienili taktykę na grę trójką obrońców i nie czuli się w tym dobrze. Byłem na to wyczulony, pytałem o ich doświadczenie, korzystałem z niego.

Jak pan chciał grać konkretnie?

Wiedzieliśmy, że Meksyk bardzo dobrze pressuje, że czekają na właściwy moment i wtedy siedmiu zawodników idzie do pressingu, a tylko trzech zostaje z tyłu. Wiedzieliśmy, że jak będziemy grali krótkimi podaniami, to za chwilę oni będą mieli sytuację bramkową. Chcieliśmy to ominąć. Są na to dwa sposoby. Albo krótkimi podaniami na ryzyku, albo podaniem, która mija ten pressing. I tak robiliśmy, mecz był pod kontrolą. Po meczu rozmawiałem z zawodnikami. Byli zadowoleni, wiedzieli, co się wydarzy, chwalili sztab za przygotowanie pod każdym względem.

Złośliwi twierdzili, że ten styl to laga na Roberta Lewandowskiego i nic więcej.

Z głupimi mi nie pod drodze. Nie będę głupocie nadawać rangi. Szkoda czasu.

Arabia Saudyjska miała sporo sytuacji, rzut karny, momentami dominowała.

A jaki był wynik? 2:0 dla nas. Każdy ma sytuacje. Maroko z Francją nie miało w półfinale? Nie rozumiem tej histerii ludzi. Zwłaszcza z branży. Zwykli kibice byli szczęśliwi, że wygraliśmy ten mecz, wcale w nie najgorszym stylu i w sumie bardzo pewnie. Patrzę na to, z kim przegraliśmy i kto zagrał w wielkim finale. Wtedy gorycz tych porażek jest nieco osłodzona.

Nie sądzi pan, że meczem, który mocno wpłynął na postrzeganie naszego występu w całości, było starcie z Argentyną? Naprawdę graliśmy słabo...

Gdybyśmy wygrali, też media powiedziałyby, że jest słabo. Jeśli masz mecz, ostatni w fazie grupowej, i do przerwy jest 0:0, a w równoległym spotkaniu, które może zdecydować, też jest remis, to nie ma możliwości, by nie zrobiło się nerwowo. Mieliśmy mnóstwo niewymuszonych strat, zaraz po przerwie władowali nam gola, a słyszeliśmy, że tam Meksyk prowadzi i ma mnóstwo okazji na kolejne gole, które mogły nas wykluczyć. Mieliśmy w głowie taki mętlik, że trudno było go opanować. To był stres. Owszem, to nie był nasz dobry mecz, sami zawodnicy powiedzieli, że już nigdy tak nie zagrają, ale warto patrzeć także na kontekst. Ważyły się losy awansu. A nie graliśmy z byle kim. Jadąc na mistrzostwa, zagrałem 13 meczów jako selekcjoner. Przegraliśmy tylko z zespołami, które były w pierwszej 10 rankingu FIFA. Drugą, trzecią, czwartą i ósmą.

Nie było tak, że na pierwszy mecz na mundialu wystawił pan zbyt wielu zawodników z minimalnym doświadczeniem w reprezentacji, bo nawet nie na turniejach? Kiwior, Kamiński, Zalewski, Cash, Szymański stawiają w kadrze dopiero pierwsze kroki.

Fot. JUAN MABROMATA/AFP

eprasa.pl 52ff5dafe5



Fot. Andrzej Iwańczuk/REPORTER

A bramkarz Meksyku Ochoa rozgrywał piąty mundial. Jasne, że trema i brak doświadczenia miały znaczenie. Ale ułożyliśmy optymalny zespół, nie było nerwowych ruchów, paniki. Skład na pierwszy mecz i ostatni różnił się tylko jednym zawodnikiem.

Może trzeba było wystawić więcej zawodników o dużym doświadczeniu?

Ale kogo?

Choćby Grosickiego.

Kamil nie był gotowy, by grać od początku i tak intensywnie, jak byśmy chcieli. Wiedzieliśmy, że może być fantastycznym zmiennikiem.

W meczu z Francją okazało się, że możemy całkiem przyjemnie dla oka grać w piłkę.

Wiedzieliśmy, że nie będziemy już biegać w gipsowych butach, biegaliśmy z psychiczną świeżością, mając świadomość, że nie będziemy kolejnym pokoleniem, które nie potrafi wyjść z grupy na turnieju. Francja w przeciwieństwie do Meksyku czy nawet Arabii to nie jest ekipa, która tak wysoko pressuje. Mają Mbappe, Dembele, wiedzą, że jak przeciwnik się otworzy, to będą mieli więcej miejsca, by z nich skorzystać. Jak jest więcej miejsca, to nie są aż tak bardzo groźni. Dlatego wycofali się ok. 30 minuty na własną połowę i powiedzieli nam: grajcie. I pokarali nas w ten sposób jak większość przeciwników. Mieliśmy dużo miejsca, ale rywal dawał nam je świadomie, by uwypuklić swoje atuty.

To czemu tak łatwo zostawiliśmy Mbappe przy drugim golu?

Bo chcieliśmy strzelić bramkę, poszliśmy do przodu, ryzykowaliśmy, wpuściłem drugiego napastnika, robiliśmy wszystko, by wrócić do gry z mistrzami świata. Nie mieliśmy czego bronić. Odpadliśmy, ale nie wstydzę się tego meczu. Ta reprezentacja ma przyszłość, jest wielu fantastycznie rokujących młodych graczy, którzy zyskali tym występem ogromny kapitał.

Lewandowski był słabszy niż zwykle.

Na niego też jest wywierane ogromne ciśnienie. Musi strzelać gole, z tego rozlicza go cały świat. Okazuje się, że na mundialu nie jest o to łatwo. Niech pan mi uwierzy, ten turniej to jest coś wyjątkowego. To jest inna adrenalina niż choćby Liga Mistrzów. Mnie serce biło bardzo mocno, jak wyszedłem na ten pierwszy mecz i puścili muzykę. Zawodnicy też to czuli. Zespoły grają zachowawczo w pierwszych meczach, by nie stracić szansy na wyjście z grupy. Argentyna pierwszy przegrała, a skończyła, jak skończyła, ale przypomnijmy sobie ich mecz z Meksykiem, mieli galaretę. Niewiele brakowało, a Messi nie wyszedłby z grupy. Słabsze 15 minut Niemców spowodowało ich klęskę. A następny turniej za cztery lata. Nie ma rewanżu. Świadomość rangi każdego spotkania i tego, że nie możesz się pomylić, paraliżuje.

Jak pan interpretuje słowa Roberta zaraz po meczu z Francją? Powiedział, że musi czuć radość z gry, a ma ją tylko wtedy, gdy gramy ofensywnie.

Odsłuchałem tę wypowiedź po powrocie do domu. Nie odbieram tego jako wotum nieufności wobec mnie, co wmawiają media. Nic złego nie powiedział. Rozmawiałem z nim wiele razy, akceptował taktykę, później mówił, że nie miał żadnych złych intencji.

Wyniki sportowe przykryły pieniądze...

Właśnie. I jest mi z tego powodu bardzo przykro. Bo nie jechaliśmy na mundial dla pieniędzy. Gdyby trzeba było zapłacić za swój pobyt czy przelot, to zapewniam, że każdy chętnie by zapłacił, żeby być w tym miejscu. Niesmak jest duży, bo pierwszy raz od 36 lat nie graliśmy meczu o honor, a odbiór jest taki, jakbyśmy ponieśli jakąś klęskę. Dobrze się stało, że nie będzie żadnych dodatkowych pieniędzy.

Nie można było dyskusji o premiach przesunąć na czas po mistrzostwach?

Pewnie, że tak trzeba było zrobić. Z premierem spotkaliśmy się tuż przed wylotem do Kataru. Było sympatycznie, nie taka była intencja, by oczekiwać od szefa rządu jakichś pieniędzy. Życzył nam dobrej gry, powiedział, że naród będzie kibicować.

Ale jednak temat rzekomej obietnicy 30 mln zł za wyjście z grupy ktoś poruszył po meczu z Argentyną.

Były jakieś drobne dyskusje, czy premier będzie na meczu, czy przyjedzie. Ale ani intencją premiera, ani na-

eprasa.pl 52ff5dafe5

szą nie było wprowadzanie jakiegoś fermentu. Całość jego wypowiedzi można odsłuchać na związkowym kanale Łączy Nas Piłka. To nie było nic wiążącego, luźna rozmowa, premier powiedział, że jak będzie dobrze, to się pomyśli o jakiejś nagrodzie, a chłopaki żartowali na temat kwoty i w jakiej walucie. W Katarze dyskusja na ten temat trwała pięć minut, ustaliśmy, że zamykamy temat i wrócimy do niego, jeśli w ogóle jakieś pieniądze się pojawią. To jest jednak nauczka na przyszłość. Bardzo żałuję, że dziś rozmawiamy o tym, a nie o piłce.

> Z niedźwiedziem nie można grać jeden na jednego z otwartą przyłbicą, na niedźwiedzia trzeba się zaczaić, ukąsić go sposobem. Ja tego sposobu szukałem

O spotkaniu miał nie widzieć prezes PZPN Cezary Kulesza, co mogło nie być dobrze odebrane.

My się z premierem nie spotkaliśmy w tajemnicy, gdzieś w nocy pod garażem, ale oficjalnie w miejscu publicznym. To nie była żadna tajemnica, BOR wcześniej wszystko badał i ustalał, przy jakim stoliku kto ma siedzieć. Nie miałem wtedy głowy, by dzwonić do prezesa, spotkaliśmy się chwilę później na lotnisku. Nie miałem pojęcia, że nie został poinformowany. Tu nie było żadnych złych zamiarów.

Piłkarze wyszli na chciwców. Dzielili wirtualną premię, choć są milionerami. Źle to wyglądało.

Źle wyszło, ale w moim odczuciu sprawa jest mocno przejaskrawiona.

W marcu przed objęciem reprezentacji dostał pan zadanie awansować na mundial, utrzymać się w najwyższej dywizji Ligi Narodów, być losowanym do następnych eliminacji Euro z pierwszego koszyka i wyjść z grupy na mundialu. Udało się wszystko, a jednak trwa dyskusja, czy powinien pan zostać. Kontrakt, który wygasa z końcem roku, nie został automatycznie przedłużony [rozmawialiśmy w czwartek, 15 grudnia – przyp. red.].

Jeśli prezes uzna, że dalej powinienem prowadzić zespół, będę zaszczycony. Wiele rzeczy trzeba będzie oczywiście poprawić, ale wierzę, że ze mną ten zespół może zrobić postęp.

Będziemy grać bardziej ofensywnie?

Kadra musi grać inaczej w zbliżających się eliminacjach Euro, bo nie będziemy mierzyć się z czołówką światową tak jak dotychczas. Z tymi w naszym zasięgu wygrywaliśmy. Szwecja, Walia, Chile, Arabia... Teraz będziemy grać z ekipami w naszym zasięgu i teoretycznie słabszymi. Pewnie częściej w ataku pozycyjnym. Z niedźwiedziem nie można grać jeden na jednego z otwartą przyłbicą, na niedźwiedzia trzeba się zaczaić, ukąsić go sposobem. Ja tego sposobu szukałem. Od marca do mistrzostw miałem z kadrą w sumie dopiero 20 treningów. To jest proces.

Czuje pan, że dostanie kolejną szansę?

Nie wiem, jak będzie, ale wierzę w siebie, wierzę w tę drużynę. Pytają mnie: „Co pan taki optymista?", „Czemu się pan ciągle śmieje?", „Dlaczego pan jest taki wesoły?". Zawsze powtarzam: „Więcej wiary!". Wierzę w Boga, wierzę w ciężką pracę. Dzisiaj nie jest modne, by w coś wierzyć, być patriotą, spotykać się i rozmawiać ze zwykłymi ludźmi, zachowywać się normalnie. Nawet jak nie będzie mi dane dłużej pracować z tą reprezentacją, to będę miał satysfakcję, że coś zrobiłem. Nie wygumkują mnie z historii polskiej reprezentacji. Nikt mi tego nie odbierze. Będę tego bronić jak Rocky Balboa. Jestem szczęśliwym człowiekiem i życzę wszystkim Polakom, żeby w takim stanie przeżyli święta Bożego Narodzenia.



Autopromocja

eprasa.pl 52ff5dafe5

To żadna wymiana, t

Zapewne niedługo będzie jasne, do czego Władimirowi Putinowi jest potrzebny Wiktor But. Handlarz bronią, po latach spędzonych w amerykańskim wiezieniu, wrócił do Rosji wymieniony za koszykarkę USA Brittney Griner



Wiktor But

Fot. VGTRK / AFP



MAREK BUDZISZ

Demokratyczny senator Bob Menendez, polityk stojący na czele komisji spraw zagranicznych, decyzję o wymianie koszykarki Brittney Griner na Wiktora Buta, rosyjskiego handlarza bronią, określił mianem głęboko niepokojącej decyzji. W jego opinii nie było w niej równowagi, bo trudno porównywać sprawę amerykańskiej koszykarki i Buta, aresztowanego w 2008 r. po misternej akcji amerykańskich służb, określanego mianem handlarza śmiercią. Politycy republikańscy nie byli tak ogłędni w słowach. John R. Bolton, były doradca ds. bezpieczeństwa Donalda Trumpa, który ma zamiar startować w nadchodzących wyborach prezydenckich, komentując sprawę powiedział: „To nie jest żadna wymiana, to jest poddanie się". W podobny sposób ocenił sytuację Mike Pompeo, mówiąc telewizji Fox News, że to, co się stało, nie jest dobre dla bezpieczeństwa narodowego, a tym bardziej dla Amerykanów podróżujących po całym świecie. Wymiana „naprawdę złego faceta na celebrytkę" będzie zdaniem Pompeo tylko zachęcało reżimy w rodzaju rosyjskiego do brania zakładników, co w przyszłości przyniesie więcej złego niż dobrego.

Były prezydent Donald Trump, który za czasów, kiedy sprawował urząd, miał publiczny konflikt z Griner, po tym jak ta wystąpiła z propozycją, by przed meczami koszykówki nie grać amerykańskiego hymnu, powiedział mediom, że on nie wymieniłby Wiktora Buta nawet za setkę osób i kiedy pełnił urząd, odrzucał konsekwentnie regularnie powtarzane rosyjskie propozycje negocjacji na ten temat. Wówczas Kreml proponował w zamian za Buta zwolnienie Paula Whelana, 52-letniego byłego żołnierza marines, który został aresztowany przez Rosjan w 2018 r. i skazany na podstawie sfingowanych – jak się uważa – zarzutów za szpiegostwo na 16 lat więzienia. Teraz Moskwa, jak deklarowali przedstawiciele administracji Bidena, nie chciała zgodzić się na wymianę But – Whelan plus Griner, lecz jedynie dopuszczała wymianę w takim formacie, jaki ostatecznie został zatwierdzony przez Joe Bidena.

WYMIANA NIEEKWIWALENTNA

Jednak komentatorzy są zdania, że w gruncie rzeczy przedstawicielom obecnej amerykańskiej administracji mogło chodzić o coś zupełnie innego niż tylko wyciągniecie z rosyjskich kazamatów obywateli Stanów Zjednoczonych, tym bardziej że wiadomo, iż Biały Dom bardzo chciał, by operacja zakończyła się jeszcze przed niedawnymi wyborami. Powrót do domu ciemnoskórej, homoseksualnej i znanej z lewicowych wystąpień popularnej koszykarki mógłby przysporzyć demokratom dodatkowych punktów, zwłaszcza wśród wyborców z mniejszości etnicznych. W świetle tej interpretacji ekipa Bidena od początku stawiała raczej na uwolnienie Griner, a nie Whelana, co zresztą wykorzystali Rosjanie, odczytując postawę Białego Domu jako słabość i doprowadzili do jawnie nieekwiwalentnej wymiany, zostawiając sobie byłego marines na inną okazję.

Putin zadeklarował gotowość kolejnej wymiany, tym razem Whelana na Wa-

eprasa.pl 52ff5dafe5

o poddanie się

dima Krasikowa, skazanego na dożywocie zabójcę w Berlinie czeczeńskiego opozycjonisty Zelimchana Changoszwilego. W tym przypadku Rosjanie mogą ugrać coś jeszcze, bo Amerykanie będą musieli naciskać na Niemców, by – na co ci nie mają wielkiej ochoty – zgodzili się na wypuszczenie rosyjskiego kilera. Tak zresztą całą sprawę przedstawia rosyjska propaganda, akcentująca zarówno to, że „nie zostawiamy naszych", jak i podkreślając fakt słabości Amerykanów.

Joe Biden wykorzystał wymianę Griner do zorganizowania publicznego show. Kiedy koszykarka znajdowała się w samolocie, połączył się z nią telefonicznie z Gabinetu Owalnego, gdzie przebywał z jej żoną Cherelle oraz wiceprezydent Kamalą Harris. Tydzień po tym, jak amerykański prezydent poinformował opinię publiczną o osiągnięciu porozumienia z Rosjanami w sprawie wymiany i dwa dni po powrocie Griner do domu Biden podpisał ustawę federalną chroniącą małżeństwa jednopłciowe, co też skłania do spekulacji, że obydwie sprawy, uwolnienie Griner i federalna ochrona małżeństw jednopłciowych, są z sobą powiązane.

W całej sprawie jest jeszcze co najmniej jeden dodatkowy wątek. Wymiana odbyła się dzięki pośrednictwu rządów Arabii Saudyjskiej i Zjednoczonych Emiratów Arabskich, które w specjalnym oświadczeniu podkreśliły swoje zasługi w przeprowadzeniu całej operacji. Karine Jean-Pierre, rzeczniczka Białego Domu, w wypowiedziach publicznych starała się umniejszać rolę przedstawicieli tych dwóch autokratycznych królestw. Jednak dziennik „New York Post" cytuje wypowiedź Ibrahima Almadiego, syna Saada Almadiego, 72-letniego obywatela Stanów Zjednoczonych, skazanego w październiku w Arabii Saudyjskiej na 16 lat więzienia za umieszczenie tweeta z łagodną krytyką saudyjskiego następcy tronu Muhammada bin Salmana, któremu media nadal wytykają udział w zamordowaniu dziennikarza Jamala Khashoggiego. Saad Almadi powiedział mediom, że korzystając z takich pośredników, „Biden sprzedał mojego ojca w zamian za ropę naftową" po to, by zdobyć kilka głosów w ostatnich midterm elections.

> Były prezydent Donald Trump powiedział mediom, że nie wymieniłby Wiktora Buta nawet za setkę osób i kiedy pełnił urząd odrzucał konsekwentnie regularnie powtarzane rosyjskie propozycje negocjacji na ten temat

O tym, że Brittney Griner nie posiedzi długo w rosyjskim więzieniu, wiadomo było już od dnia jej zatrzymania, a oczywiste stało się to w lipcu, kiedy sąd w podmoskiewskich Chimkach skazał ją za posiadania niedozwolonych substancji na dziewięć lat kolonii karnej. Cała sprawa od początku wyglądała na dętą, zorganizowaną przez rosyjskie służby tylko po to, by Kreml, mając taką zakładniczkę, dwukrotną medalistkę olimpijską, jedną z gwiazd amerykańskiej koszykówki żeńskiej, mógł dobrze ją wymienić. Już w lipcu relacjonujący jej proces dziennikarze niezależnej „Nowej Gaziety" pisali, że bardzo prawdopodobne jest, iż Griner zostanie wymieniona na Wiktora Buta, tym bardziej że już w maju Departament Stanu ogłosił, że Griner została niesłusznie zatrzymana, co umożliwiało rozpoczęcie rozmów o wymianie nawet bez prawomocnego wyroku sądu.

AMERYKANKA DORABIAŁA W ROSJI

31-letnią koszykarkę zatrzymano na moskiewskim lotnisku Szeremietiewo 17 lutego br. Przyleciała wówczas z Nowego Jorku, by przesiąść się na samolot do Jekaterynburga, gdzie grała w drużynie UMCC, sześciokrotnego zdobywcy Pucharu Euroligi. Rozgrywki koszykarskie w Stanach Zjednoczonych odbywają się w innych terminach niż w Rosji, co daje możliwość wielu graczom, w tym Griner, dorobić sobie grą w Europie. Amerykańska koszykarka grała od sześciu lat w UMCC, przyczyniając się do zdobycia przez klub sześciu tytułów mistrza Rosji i trzykrotnego triumfu w Eurolidze, co oznacza, że jej przylot do Moskwy nie był ani przypadkowy, ani – przynajmniej dla służb specjalnych – niespodziewany. Na lotnisku w jej bagażu ujawniono dwa waporyzatory, w których rosyjscy specjaliści odkryli śladowe ilości (0,702 g) oleju z zawartością marihuany. Griner twierdziła, że zapomniała o nich, w pośpiechu pakując bagaże, a ponadto jest to marihuana medyczna, która pomaga uśmierzyć jej ból związany z licznymi dolegliwościami i kontuzjami sportowymi. Z kolei jej obrońcy argumentowali, że ekspertyza przedstawiona przez prokuraturę nie jest wiarygodna, bowiem nie obliczono, jaka ilość narkotyku znajdowała się w znalezionych pojemnikach, a to posiadanie narkotyków, a nie oleju jest w Rosji karane.

Sąd w Chimkach nie przejął się jednak tą argumentacją i ostatecznie zasądził Griner dziewięć lat kolonii karnej. Może dlatego tyle, że już w czasie procesu – a połowę niewielkiej sali zapełniali przedstawiciele amerykańskiej ambasady – było jasne, że negocjacje w sprawie jej wymiany są bardzo prawdopodobne. Tym bardziej że w kwietniu br. miała miejsce inna wymiana. Trevor Reed, były żołnierz amerykańskiej piechoty morskiej, który w Moskwie wdał się w bójkę z policjantami i został skazany na dziewięć lat (przypadek?) kolonii karnej, został wymieniony na Konstantina Jaroszenkę, rosyjskiego pilota odbywającego karę 20 lat więzienia za udział w przemycie kokainy do USA.

eprasa.pl 52ff5dafe5


Brittney Griner

Fot. Russian State Media/AFP

Wątki związane z kokainą jeszcze wrócą, ale teraz trzeba nieco uwagi poświęcić drugiemu bohaterowi tej wymiany, czyli Wiktorowi Butowi, handlarzowi śmiercią, jak określa go światowa prasa.

HANDLARZ ŚMIERCIĄ WRACA DO GRY

Wiktor But swoją barwną karierę rozpoczął w 1988 r., kiedy po ukończeniu specjalnej wojskowej szkoły dla tłumaczy został wysłany do Mozambiku i do Angoli, krajów, w których ZSRS rozbudowywał swoje wpływy. Co ciekawe, w tym samym czasie w Mozambiku pracował również w charakterze tłumacza Igor Sieczin, później sekretarz Putina za petersburskich czasów, a obecnie wszechmocny szef największego rosyjskiego koncernu naftowego Rosnieft. Czy się znają? Nie wiadomo, ale to może być jedno z wyjaśnień zarówno źródeł zawrotnej kariery Buta w świecie handlarzy bronią, jak i faktu, że władze Rosji od dnia jego aresztowania przez ostatnie kilkanaście lat robiły wszystko, aby wyciągnąć go z więzienia.

But po upadku ZSRS wydzierżawił za grosze nieużywane samoloty w republikach postsowieckich i zaczął rozkręcać biznes transportowy głównie w krajach afrykańskich, gdzie od czasów swojej służby miał rozbudowane kontakty w resortach siłowych i specsłużbach. Woził wszystko – kwiaty, lekarstwa, żywność, ale wkrótce pojawiły się informacje, że Wiktor But zajmuje się przede wszystkim handlem bronią, i to na wielką skalę, oferując czołgi, rakiety, amunicję, transportery opancerzone, głównie z państw postkomunistycznych. Miał kontraktować i wysyłać na Bliski Wschód i do Afryki produkcję z bułgarskich, ukraińskich i rumuńskich fabryk broni. To notabene jest jeden z wątków wyjaśniający, do czego But może się teraz przydać Putinowi.

Jak wspominał nieżyjący już Aleksandr Litwinienko, Wiktor But prowadząc interesy na Ukrainie, był związany z synem Leonida Derkacza, byłego szefa służby bezpieczeństwa, miał też rozbudowane kontakty w świecie przestępczości zorganizowanej. Może zatem chodzić o odświeżenie tych relacji, zwłaszcza że rosyjscy emisariusze na całym świecie poszukują i skupują postsowiecką broń i amunicję. Chodzi w tym przypadku przede wszystkim o to, by z krajów afrykańskich czy azjatyckich nie ściągnęli jej Ukraińcy lub sojusznicy Kijowa, tak jak to było kilka tygodni temu, kiedy to Brytyjczykom udało się kupić dużą partię amunicji kalibrów używanych za czasów ZSRS z Pakistanu. Kontakty Buta zarówno w Afryce, jak i na Bliskim Wschodzie, a także na Ukrainie, w Rumunii czy Bułgarii mogą okazać się bardzo pomocne.

Innym wyjaśnieniem kwestii, dlaczego Rosjanom tak bardzo zależało na odzyskaniu Wiktora Buta, który – co warto przypomnieć – w czasie swojego procesu w Nowym Jorku zachował milczenie, może być wątek kolumbijski. Rosyjski handlarz bronią został aresztowany w stolicy Tajlandii, po tym jak negocjował z amerykańskim agentem, podającym się za emisariusza kolumbijskiej organizacji terrorystycznej FARC, duże dostawy broni. Chodziło o setki rakiet i broń pancerną. But doradzał nawet rzekomym Kolumbijczykom kupno banku, bo w ten sposób łatwiej prać pieniądze. Te kontakty Wiktora Buta z FARC miały miejsce już wcześniej, a skądinąd wiadomo, że organizacja ta finansowała swoją wieloletnią wojnę partyzancką z władzami Kolumbii, handlując kokainą. Dziś krajem rządzi Gustavo Petro, polityk przez lata związany z Ruchem 19 Kwietnia, założonym przez dysydentów z FARC. Handel kokainą przechwycili zaś wojskowi z Wenezueli, z którymi tysiącami nici są powiązani Rosjanie. Do tej międzynarodówki handlującej bronią i narkotykami należą też handlarze korzystający z gościnnego azylu w Zjednoczonych Emiratach Arabskich – kraju, w którym swoje „oszczędności" trzymają zarówno Ramzan Kadyrow, jak i najprawdopodobniej Aleksandr Łukaszenka.

A może Rosjanom po prostu tak bardzo zależało na odzyskaniu Buta, że nagłaśniając sprawę na użytek wewnętrznego audytorium, chcieli pokazać zarówno to, że „swoich nie zostawiamy", jak i to, że Amerykanie nie są tak silni i wszechmocni? Z pewnością Wiktor But jest przyjmowany jak bohater. Już wcześniej jego rysunki sporządzone w więzieniu wystawiano w Dumie Państwowej, a Leonid Słucki, następca Żyrinowskiego, zapowiedział zaproszenie go na uroczyste posiedzenie rosyjskiego parlamentu. But oficjalnie wstąpił zresztą w szeregi LDPR, co może oznaczać, że niedługo zostanie posłem. Poszedłby w ten sposób drogą wytyczoną przez innych rosyjskich agentów, np. Marii Butiny, którzy uwolnieni z amerykańskich więzień trafili ostatecznie do rosyjskiego parlamentu.

Zapewne niedługo będzie jasne, do czego Wiktor But jest potrzebny Putinowi. Na razie dyktatorzy na całym świecie otrzymali czytelny sygnał, że jeśli uda im się pojmać obywatelkę Stanów Zjednoczonych, najlepiej lewicową aktywistę LGBT+, a jeszcze lepiej – jeśli będzie się ona wywodzić z mniejszości etnicznych i będzie sławna, to wówczas niezłomna postawa administracji, przynajmniej obecnej, okaże się miękka niczym wosk. Nie jest to dobry sygnał.

Reklama | 68/1122/F

eprasa.pl 52ff5dafe5

ALIOR BANK

KONTO JAKŻE OSOBISTE

WSZYSTKICH KRĘCI 2% ZWROTU ZA PŁATNOŚCI MOBILNE



www.aliorbank.pl

Oferta specjalna „Zwrot za zbliżeniowe płatności mobilne do 2%" trwa od 1 grudnia 2022 r. do 28 lutego 2023 r. i jest skierowana do klientów, którzy posiadają lub otworzą Konto Jakże Osobiste z aktywną korzyścią Zwrot za Zbliżeniowe Płatności Mobilne. Zwrot za zbliżeniowe płatności mobilne w trakcie trwania oferty specjalnej wynosi 2% wartości płatności bezgotówkowych wykonanych w sklepach stacjonarnych z użyciem Google Pay, Apple Pay, Fitbit Pay, Garmin Pay, SwatchPAY!, Xiaomi Pay oraz usługi BLIK, nie więcej jednak niż 50 zł w miesiącu kalendarzowym. Do płatności zbliżeniowych Apple Pay, Google Pay, SwatchPAY!, Garmin Pay, Xiaomi Pay lub Fitbit Pay jest wymagane urządzenie obsługujące tę funkcję. BLIK zbliżeniowy jest dostępny w telefonach z Androidem 6.0 (lub nowszym) oraz aktywną usługą NFC. Szczegółowe warunki oferty znajdują się w regulaminie oferty specjalnej „Zwrot za zbliżeniowe płatności mobilne do 2%" dostępnym na stronie www.aliorbank.pl. Aplikację Alior Mobile można pobrać bezpłatnie na telefon ze sklepów App Store (iOS), Google Play™ (Android™) lub AppGallery (dla urządzeń Huawei). Android, Google Pay i Google Play to znaki towarowe Google Inc. Nie pobierzemy opłaty 10 zł za prowadzenie konta, jeśli w danym miesiącu kalendarzowym na konto wpłynie jednorazowo min. 1500 zł z innego banku lub z konta firmowego w naszym banku (jako wpływ nie są traktowane przelewy z rachunków Kantoru Walutowego Alior Banku należących do klientów indywidualnych i biznesowych) lub jeśli nie masz ukończonych 26 lat. Dwie korzyści są bezpłatne, każda kolejna kosztuje 3,50 zł miesięcznie. Korzyść wybrana do konta będzie aktywna od następnego dnia. W przypadku rezygnacji z korzyści przestaje być ona aktywna pierwszego dnia kolejnego miesiąca kalendarzowego. Szczegółowe informacje znajdują się w Taryfie Opłat i Prowizji Alior Banku SA dla Klientów Indywidualnych, Regulaminie rachunków oszczędnościowo-rozliczeniowych, oszczędnościowych i terminowych lokat oszczędnościowych, Regulaminie kart płatniczych Alior Banku SA, Regulaminie korzyści do Konta Jakże Osobistego oraz w Regulaminie korzystania z kanałów elektronicznych dla Klientów Indywidualnych. Zastosowane w niniejszym materiale pojęcia oznaczają zgodnie z wykazem usług reprezentatywnych: prowadzenie konta – prowadzenie rachunku płatniczego, Alior Mobile – usługa bankowości elektronicznej. Stan na 1.12.2022 r.

eprasa.pl 52ff5dafe5

Niedoszły cesarz Niemiec

Grupa tzw. Obywateli Rzeszy miała planować obalenie niemieckiego rządu. Puczyści zostali zatrzymani, zanim zdążyli zrealizować swój plan. To brzmi groźnie, ale złośliwcy twierdzą, że obława była kolejnym tematem zastępczym, mającym wyciszyć potknięcia rządu



ALEKSANDRA RYBIŃSKA



Fot. EastNews/BORIS ROESSLER

Cotygodniowy targ w Herzbergu, mieście położonym 100 km na południe od stolicy Niemiec, Berlina. Mężczyzna jest po 40, ma wysokie czoło i nosi wąskie okulary. Kartonowa tabliczka zwisa z jego ramion jak zbroja, zakrywając brzuch i plecy. Napisano na niej flamastrem: „Republika Federalna Niemiec jest spółką handlową". Mężczyzna pojawia się w tym stroju punktualnie co czwartek. Zaczepia przechodniów, coś wykrzykuje. Większość ludzi mija go obojętnie. Mężczyzna ten nie płaci podatków ani mandatów i odłączył swój dom od sieci kanalizacyjnej. Od ponad 20 lat zalewa ratusz politycznymi pamfletami. Na jego domu widnieje tablica z napisem: „Uwaga, nieruchomość podlega samorządowi i terytorialnym zabezpieczeniom Federacji Rosyjskiej! Wjazd, przejazd i przebywanie na tej nieruchomości wbrew woli właściciela i bez pisemnej zgody Federacji Rosyjskiej jest uważane za nielegalne przekroczenie granicy terytorium Rosji". Za domem widać przykrytą płachtą brezentu własnoręcznie zbudowaną oczyszczalnię ścieków.

ŚWIATOWY SPISEK

Ten mężczyzna nazywa się Frank Wolfgang Richter, jest z zawodu stolarzem, a z przekonania tzw. Obywatelem Rzeszy i samorządcą, czyli członkiem luźnego ruchu ludzi negujących legalność istnienia Republiki Federalnej Niemiec i uznających nieprzerwaną egzystencję przedwojennej Rzeszy Niemieckiej, w granicach sprzed 1871, 1915 lub 1937 r. Członkowie ruchu nie uznają systemu szkolnictwa, przepisów niemieckiego prawa, w tym podatkowego, wyroków sądowych czy orzeczeń administracyjnych, a swoje domy traktują jak enklawy eksterytorialne. Jest ich ok. 20 tys. i cechuje ich brak struktur organizacyjnych.

Bundesrepublika z jej parlamentarną demokracją nie ma ich zdaniem żadnej legitymacji, jest tylko firmą, skrawkiem terytorium na mapie Europy pod okupacją USA i żydowsko-masońskiej finansjery. Od tego skrawka terytorium się odcinają, zakładając państwa, królestwa czy komuny, włącznie z własną walutą i paszportami. Jedni są monar-

eprasa.pl 52ff5dafe5

chistami, inni ezoterykami, kolejni wyznawcami teozofii, inni znów szukają wsparcia w Rosji, państwie, które ich zdaniem także padło ofiarą światowego spisku. Ale jest na tyle potężne, by się mu przeciwstawić. Powstali w latach 80., a może nawet 70. XX w. Wtedy pojawiły się pierwsze pamflety samozwańczego „kanclerza Rzeszy" i byłego pracownika kolei Wolfganga Ebela, który uchodzi za nieformalnego założyciela ruchu. Ebel podobnie jak jego naśladowcy marzył o ustanowieniu rządu komisarycznego w Niemczech we współpracy z dawnymi aliantami z Rosją na czele. Potem miałby rządzić nową Rzeszą jako kanclerz albo cesarz.

Ruch szybko się rozproszył i dziś konkuruje z sobą ok. 30 królów, kanclerzy, prezydentów i książąt. Dlatego przez długi czas wyśmiewano Obywateli Rzeszy jako dziwacznych obstrukcjonistów. Ludzi nieradzących sobie ze złożoną rzeczywistością i uciekających przed nią do własnego, surrealistycznego świata. To się zmieniło 7 grudnia, gdy Federalna Policja Kryminalna (BKA) dokonała obławy w środowisku Obywateli Rzeszy w 11 krajach związkowych oraz za granicą – we włoskiej Perugii i w austriackim kurorcie narciarskim Kitzbühel, zatrzymując 25 osób, w tym księcia Henryka XIII Reuss, arystokratę z Turyngii, który w przeszłości z sukcesem handlował nieruchomościami i szampanem.

Do terrorystycznej komórki księcia mają należeć 52 osoby – pisze tygodnik „Der Spiegel", a nalot był największą akcją przeciwko ekstremistom w historii BKA. Przez wiele miesięcy grupa zgromadzona wokół księcia była obserwowana przez kontrwywiad. Mieli planować pucz, czyli siłowe obalenie rządu. Jak twierdzi prokurator generalny, gromadzili w tym celu broń i środki wybuchowe.

EKSCENTRYCZNI PUCZYŚCI

Na pierwszy rzut oka 71-letni książę Reuss nie wygląda na puczystę. Obowiązkowy w kręgach arystokracji tweedowy żakiet oraz sztruksowe spodnie w ziemistym kolorze znakomicie współgrają ze starannie zaczesanymi do tyłu, siwymi włosami oraz okularami w złotych oprawkach. Enrico – jak nazywają go bliscy – od lat jest skłócony z własną, liczącą 60 osób rodziną oraz państwem. Większość majątku wydał na koszty procesowe. Dyplomowany inżynier uchodził w młodości za rozrywkowego miłośnika motoryzacji. Lokalne gazety pisały, że ma benzynę we krwi. Poślubił córkę irańskiego bankiera i podróżował po świecie. Ale to przeszłość. „Nieprzystosowany, zagubiony, zgorzkniały" – tak opisali go krewni w rozmowie z tygodnikiem „Stern".

Ród Reussów panował przez 800 lat w Turyngii, aż w 1918 r. skończyło się Cesarstwo Niemieckie. W 1200 r. król Henryk IV zrobił z Reussów książęta, od tego czasu wszyscy męscy potomkowie otrzymują jego imię. Obecnie w rodzinie jest 30 Henryków. Enrico miał się nigdy nie pogodzić z końcem monarchii. Walczył z państwem o odzyskanie odebranego za czasów NRD mienia, czasem z sukcesem, ale częściej bezskutecznie. W pałacyku myśliwskim Waidmannsheil w Bad Lobenstein na południowym wschodzie Turyngii, zbudowanym w połowie XIX w., zamieszkały we Frankfurcie nad Menem książę spotykał się ze swoimi współspiskowcami, równie ekscentrycznymi jak on. Są to m.in. byli członkowie sił specjalnych Bundeswehry (KSK), żołnierz, zawieszony w obowiązkach służbowych policjant, adwokat, kucharz, tenor operowy, pilot, lekarka oraz była posłanka Alternatywy dla Niemiec (AfD). Większość jest w podeszłym wieku. Mieli oni planować krwawy przewrót, włącznie z porwaniem i zabiciem polityków, oraz szturmem na Bundestag. Niektórzy z nich to tzw. Querdenker, którzy protestowali przeciwko obostrzeniom związanym z pandemią COVID-19, oraz zwolennicy kultu QAnon, przekonani, że tzw. deep state pociąga za kulisami za sznurki i ciągnie Niemcy w przepaść. W sumie 50 osób, które chciały zająć Bundestag, skuć 598 posłów w kajdanki i jednocześnie dokonać sabotażu sieci energetycznych. Wywołane puczem zamieszanie miałoby doprowadzić do upadku rządu. Na czele nowego stanąłby książę Reuss. Jako cesarz. Plan absurdalny, wręcz fantastyczny, zresztą jego wykonanie było wielokrotnie przez samych puczystów zawieszane, ale zdaniem śledczych stanowił on realne zagrożenie dla państwa.

STRZELANINA W PAŃSTWIE UR

Szef Federalnej Policji Kryminalnej Holger Münch uważa, że grupa jest niebezpieczna, bo żywi nieracjonalne przekonania, a Obywatele Rzeszy stali się w ostatnich latach coraz bardziej skłonni do przemocy. Podczas obławy znaleziono noże, pistolety, miecz, paralizatory, hełmy, noktowizory, kamizelki kuloodporne, 130 tys. euro w gotówce oraz sztabki złota i srebra. Książę miał też próbować rekrutować policjantów i żołnierzy oraz usiłować uzyskać poparcie Federacji Rosyjskiej dla swoich planów.

Za pośrednictwem swojej narzeczonej, Rosjanki Valentiny B., nawiązał kontakt z rosyjskim konsulatem w Lipsku, który w czerwcu zaprosił go na świętowanie Dnia Rosji. Nic jednak nie wskazuje na to, by Moskwa pozytywnie zareagowała na plany niedoszłego króla i udzieliła mu wsparcia. Kilka miesięcy temu zresztą inna grupa Obywateli Rzeszy planowała porwać ministra zdrowia Karla Lauterbacha i zmusić w ten sposób rząd do dymisji. O pomoc chcieli poprosić Rosję. Emisariusze mieli – jak pisze „Spiegel" – łódką przepłynąć do Kaliningradu i tam błagać o audiencję na Kremlu. Pięciu członków tej grupy siedzi obecnie w areszcie śledczym. Ten plan brzmi jeszcze bardziej absurdalnie niż poprzedni, a niedoszłym puczystom groziło obok śmieszności jeszcze utonięcie oraz pobyt na Łubiance.

Ale żarty na bok. Potencjał do przemocy w środowisku Obywateli Rzeszy rzeczywiście jest. Nie brakuje w nim ludzi związanych z Bundeswehrą oraz innymi resortami siłowymi, niezadowolonych z rządu, a w szczególności z dokonań kolejnych ministrów obrony i spraw wewnętrznych. W 2016 r. podczas próby zarekwirowania broni i amunicji u jednego z Obywateli Rzeszy w Bawarii doszło do strzelaniny. Jeden z policjantów zginął. Sprawca, niejaki Wolfgang Plan, usiłował bezskutecznie uzyskać wpis do paszportu świadczący o tym, że zamiast w Niemczech urodził się w Prusach. Cztery lata wcześniej w Saksonii komornik usiłujący egzekwować nakaz został pojmany i skrępowany przez funkcjonariuszy samozwańczych Niemieckich Pomocników Policji. Musiała go uwolnić prawdziwa policja.

eprasa.pl 52ff5dafe5

W sierpniu 2016 r. zaś, podczas próby eksmisji jednego z Obywateli Rzeszy w Saksonii-Anhalt, padły strzały, ranni zostali dwaj funkcjonariusze specjalnej grupy operacyjnej i właściciel domu, były Mister Germany Adrian Ursache. Mężczyzna odnosił zawodowe sukcesy, ożenił się z byłą Miss Germany i wychowywał dwoje dzieci. Potem nagle zaczął mówić o sobie „Stefan Wielki". W internecie określał ustawę zasadniczą jako śmieszną, skarżył się na policję oraz Angelę Merkel, którą określił mianem „Frau Ferkel" (pani prosiak). W końcu umieścił na swojej posesji flagę Rzeszy i ogłosił ją państwem o nazwie Ur. „Tu zaczyna się państwo Ur. Obowiązują wyłącznie prawa państwa Ur. Łamanie tych praw będzie surowo karane" – głosiła tablica przy wejściu na posesję. Były Mister Germany przestał płacić podatki i inne daniny. Zadłużył się. W końcu nadszedł nakaz eksmisji. Dzień przed przyjazdem komornika Ursache groził w internecie, że nie pozwoli nikomu wejść na swoją świętą ziemię. W odparciu policji mieli pomóc inni Obywatele Rzeszy. Ponad 200 rzeczywiście się pojawiło, ale gdy Ursache wyciągnął pistolet i zaczął strzelać, większość uciekła. Samozwańczy król Ur trafił do szpitala, a potem do więzienia. A służby zaczęły bliżej przyglądać się samorządcom.

ZDUSIĆ PRAWICĘ?

Konserwatywne media za Odrą zareagowały na obławę na Obywateli Rzeszy zupełnie inaczej niż te mainstreamowe. Ich zdaniem to komedia, wręcz groteska. Strzelanie z armat do wróbli. Wskazują na dysproporcję siły – 3 tys. funkcjonariuszy na 25 „senilnych wariatów", czyli 120 funkcjonariuszy na puczystę. Jest mowa o PR-owej akcji, bo skoro niedoszli zamachowcy byli obserwowani od miesięcy, a media już na nich czekały w miejscu aresztowania, to zagrożenie nie mogło być takie duże. Ponadto poziom absurdu planów zamachowców był tak wielki, a ich tak niewielu, że nie udałoby im się nawet zająć ratusza w rodzinnej miejscowości księcia, a już na pewno obalić rząd 84-mln państwa. W planowanym przez nich rządzie miała być m.in. pełnomocniczka ds. transkomunikacji (z innymi światami). Stanowisko to miało przypaść astrolog z Badenii-Wirtembergii. Trudno traktować coś takiego poważnie.

Prawica w Niemczech obawia się, że to wszystko stanie się pretekstem do nagonki na nią. W końcu w grupie podejrzanych o spisek Obywateli Rzeszy była posłanka Bundestagu z AfD, sędzia Birgit Malsack-Winkemann. A zwalczanie zagrożenia z prawej strony to główny cel

> Grupa tzw. Obywateli Rzeszy miała planować obalenie niemieckiego rządu. Puczyści zostali zatrzymani, zanim zdążyli zrealizować swój plan. To brzmi groźnie, ale złośliwcy twierdzą, że obława była kolejnym tematem zastępczym, mającym wyciszyć potknięcia rządu

minister spraw wewnętrznych Nancy Faeser. Natychmiast pojawiły się głosy w rządzącej SPD, że należy zdelegalizować AfD. Zdaniem szefa kontrwywiadu Thomasa Haldenwanga partia ta ma ogromny wpływ na nastroje w środowisku ekstremistów. Podczas debaty na ten temat w Bundestagu poseł SPD Sebastian Hartmann oskarżył kolegów z AfD o to, że są częścią problemu. „Jesteście wrogami demokracji" – krzyczał. „Tydzień temu patrzyliśmy w przepaść" – zaznaczyła także Faeser. Obywatele Rzeszy mieli popełnić 239 przestępstw w ub.r. Dlatego – jak przekonywała – trzeba im odebrać broń.

Ale na tym nie koniec. Faeser zaproponowała, by prewencyjnie usuwać urzędników z administracji, którzy wyrażają skrajnie prawicowe poglądy. Jeśli będą chcieli odzyskać stanowisko, będą musieli udowodnić, że są niewinni. Byłoby to równoznaczne – jak zauważa dziennik „Die Welt" – z likwidacją zasady domniemania niewinności, która stanowi jeden z fundamentów państwa prawa. Oznaczałoby także ograniczenie wolności słowa – jak twierdzą politycy AfD, z których część jest od dawna pod obserwacją służb, choć zasiadają legalnie w Bundestagu. Według nich obława na księcia i jego towarzyszy miała przykryć mord na 14-letniej uczennicy w miejscowości Illerkirchberg dokonany w biały dzień przez imigranta z Erytrei. Zabójstwo nastąpiło w chwili, gdy Faeser przedstawiała propozycję daleko idącej liberalizacji przepisów imigracyjnych. W mediach można znaleźć kąśliwe komentarze, że gdyby państwo z podobnym zapałem walczyło z arabskimi klanami, coraz bardziej gotowymi do przemocy aktywistami klimatycznymi oraz przestępstwami dokonywanymi przez imigrantów, w Niemczech byłoby całkiem bezpiecznie.

EPILOG

Pozostaje pytanie: dlaczego ponad 20 tys. Niemców wierzy w teorie spiskowe i odrzuca państwo? Eksperci wskazują na brak przestrzeni do otwartej debaty w Niemczech, co w połączeniu z kryzysem migracyjnym, pandemią, a teraz kryzysem energetycznym pogłębiło brak zaufania do rządzących. Wycofanie się ludzi w cyfrowy świat podczas długich lockdownów, gdzie krążą różne absurdalne teorie, spotęgowało to zjawisko. „O sukcesie teorii spiskowej decyduje nie jej prawidłowość, ale potencjał wiarygodnego rozwiązywania sprzeczności" – pisze neurolog i psychiatra Philipp Sterzer w swojej książce „Iluzja rozumu". Amerykański ekonomista Angus Deaton doszukuje się przyczyny w słabnącym wzroście gospodarczym na Zachodzie. Tym, którym się nie udaje, lądują na marginesie. Tym życiowym i tym politycznym. Życiowe rozczarowania bez wątpienia były paliwem dla radykalizacji niedoszłego cesarza.

eprasa.pl 52ff5dafe5

SIECI

Pod choinkę

Świąteczny sondaż tygodnika „Sieci”
s. 54

Małgorzata Tomaszewska o mężczyźnie jej życia, znanym ojcu i rodzinnych tradycjach
s. 64

Unitra, Tonsil i Frania – powrót polskich marek
s. 68

Zakochany w Neapolu, czyli podróże Jana Rokity
s. 72

Wysadzić Smoleńsk. O polskim awanturniku wojującym z Rosją
s. 90

Wigilijne przepisy Ewy Wachowicz
s. 94

eprasa.pl 52ff5dafe5

Wymarzony prezent pod choinką? Gotówka!

I znów minął kolejny rok. Za kilka chwil zasiądziemy z rodziną i bliskimi do wigilijnego stołu, podzielimy się opłatkiem, zaśpiewamy kolędy i będziemy grzać się w cieple światła nowo narodzonego Zbawiciela. O to, gdzie spędzimy święta i czego będziemy sobie życzyć, tygodnik „Sieci" zapytał Polaków za pośrednictwem pracowni Social Changes

KOCHANĘ PIENIĄŻKI PRZYNIEŚ, MIKOŁAJU



DOROTA ŁOSIEWICZ

Perfumy czy książka pod choinką? Nic z tych rzeczy. Okazuje się, że wymarzonym prezentem Polaków pod choinkę jest po prostu gotówka. Takiej odpowiedzi udzieliło aż 33 proc. badanych. To wzrost w stosunku do ub.r. aż o 7 pp. Na drugim miejscu w rankingu wymarzonych upominków uplasowała się wycieczka zagraniczna. O takim prezencie marzy 13 proc. ankietowanych. Na kosmetyki i perfumy liczy tylu samo ankietowanych co na laptop czy komputer stacjonarny – 11 proc. Zwykłą książkę chciałoby otrzymać tylko 10 proc. ankietowanych, a z biżuterii ucieszyłoby się tylko 9 proc. z nich. Na smartfona liczy również 9 proc. z pytanych Polaków, to wzrost w stosunku do ub.r. o 2 pp. 8 proc. badanych życzyłoby sobie znaleźć pod choinką sprzęt RTV/AGD i tu także mamy wzrost o 2 pp. Karnet na zabiegi upiększające chciałoby dostać 6 proc., podobnie jak ubranie czy buty. O zegarku marzy tylko 5 proc., a o e-booku zaledwie 1 proc. Polaków.

Z powodu coraz trudniejszej sytuacji ekonomicznej niemal połowa Polaków zamierza w tym roku obdarować bliskich skromniejszymi prezentami gwiazdkowymi, wynika z badania międzynarodowej firmy doradczej Bain & Company. W internetowym badaniu konsumenckim firma zapytała Polaków o konkretne plany wydatkowe związane z nadchodzącymi świętami. Prawie połowa ankietowanych (45 proc.) planuje kupić w tym roku tańsze prezenty swoim bliskim. Polacy będą w tym roku szukać podarków w tańszych kategoriach produktowych, częściej wybierając słodycze, książki, akcesoria sportowe lub dając w miejsce upominku karty prezentowe zamiast drogich perfum, biżuterii czy gier komputerowych. Ponadto około jedna trzecia (36 proc.) zamierza też zmniejszyć liczbę upominków przeznaczonych dla jednej osoby, a także obdarować nimi mniej osób (33 proc.). Polacy planują oszczędzać na prezentach dla osób z dalszej rodziny, przyjaciół i kolegów z pracy, nie będą za to oszczędzać na podarkach dla dzieci, partnerów i małżonków.

CHOINKA? NIEKONIECZNIE

W badaniu pracowni Social Changes dla tygodnika „Sieci" zaskakuje fakt, że niemal co czwarty Polak nie planuje lub nie wie, czy postawi w domu tradycyjną choinkę. Bożonarodzeniowe drzewko ubierze 76 proc. Polaków. To aż 4 pp. mniej niż w ub.r., kiedy to plan ubrania choinki miało 80 proc. ankietowanych. W tym roku 17 proc. z nich jest pewnych, że nie będzie mieć w domu świątecznego drzewka, a 7 proc. jeszcze nie wie, czy się na to zdecyduje. W ub.r. 14 proc. pytanych nie miało takiego planu. Co ciekawe, w badaniu widać spore różnice w stosunku do świątecznej tradycji między wyborcami PiS i KO. Aż 88 proc. wyborców PiS planuje kontynuować tradycję związaną z ubieraniem choinki, a 10 proc. z nich nie ma takiego zamiaru. Mniejsze przywiązanie do tradycji widać wśród wyborców Koalicji Obywatelskiej. 73 proc. z nich deklaruje chęć posiadania w domu choinki, a nie chce jej aż 20 proc. badanych Polaków, deklarujących głosowanie na KO.

Niestety, w większości polskich domów nie będzie się unosił zapach żywego drzewka, bo to stanie zaledwie u co trzeciego Polaka. Tylko 31 proc. badanych planuje postawić w domu żywą choinkę, sztuczną będzie miało aż 61 proc. badanych.

WIGILIA NAJCZĘŚCIEJ WE WŁASNYM DOMU

Podobnie jak w ub.r. większość Polaków spędzi święta Bożego Narodzenia w domu. Taki plan ma 67 proc. ankietowanych, czyli tylko 2 pp. mniej niż w 2021 r. Nie zmieniła się liczba badanych, którzy deklarują świąteczny wypad do rodziny. W tym roku, podobnie jak w ubiegłym, będzie to 25 proc. Polaków. Tylko 2 proc. planuje wypad do znajomych, a po 1 proc. wybierze się wypoczynkowo za granicę lub w inny region Polski. 3 proc. badanych nie miało jeszcze sprecyzowanych planów świątecznych.

ZDROWIA I JESZCZE RAZ ZDROWIA

A czego będziemy sobie życzyć? Głównie zdrowia (aż 82 proc. badanych ma taki plan), spokoju (to 18 proc.), szczęścia w rodzinie i pieniędzy (15 proc.), żeby przyszły rok był lepszy (14 proc.), miłości (11 proc.), pokoju w Europie i na świecie (7 proc.), lepszych rządów w Polsce (5 proc.), pomyślności (4 proc.), optymizmu (2 proc.). A życzenia powodzenia w pracy i ciekawych podróży planuje sobie złożyć po 1 proc. Polaków.

Czego będziesz życzył rodzinie i bliskim z okazji tegorocznych świąt Bożego Narodzenia?









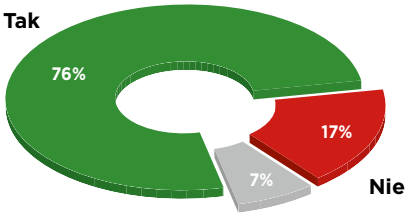


Badania zrealizowane metodą CAWI (Computer Assisted Web Interview) na panelu internetowym. Badania przeprowadzone na ogólnopolskiej, reprezentatywnej (pod względem: płci, wieku, wielkości miejsca zamieszkania) próbie Polaków. W badaniu wzięło udział N=1076.

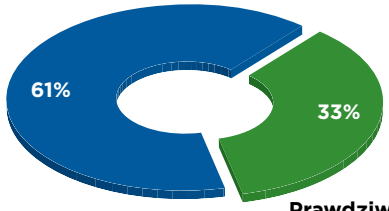
Zakres czasowy badania 9–12 grudnia 2022 r.

Czy w tym roku będziesz miał choinkę świąteczną w domu?





Jaką choinkę świąteczną będziesz miał w tym roku?



Gdzie w tym roku zamierzasz spędzić święta Bożego Narodzenia?

67% We własnym domu

25% W odwiedzinach u rodziny

- 2% W odwiedzinach u przyjaciół lub znajomych
- 1% Wyjadę wypoczynkowo za granicę
- 1% Wyjadę wypoczynkowo na terenie Polski
- 1% Inne

3% Trudno powiedzieć



Święta w trudnych czasach

Jest wielu dobrych ludzi – uśmiechniętych, radosnych, pełnych humoru i wdzięczności. Są zawsze gotowi pomóc, dzielą się tym, co mają. Są zdystansowani względem fatalnych treści płynących z mass mediów. Trzymajmy się ich! Bądźmy blisko siebie! Nie dajmy się owej masie narzekania! Nie czytajmy, nie oglądajmy, nie słuchajmy podszeptów Złego



*Z **ks. Andrzejem Ziółkowskim**, misjonarzem, rozmawia Piotr Słabek*

Wojna tuż za naszą granicą. Spadają bomby i rakiety. Giną ludzie. Ci, którzy uszli z życiem, marzną, być może już głodują. U nas drożyzna. Za masło czy chleb trzeba płacić coraz więcej. Rosną raty kredytów. Są takie stacje telewizyjne, które opowiadają na okrągło, że w Polsce wszystko się wali. A niektórzy aktorzy i celebryci zioną niechęcią do naszych tradycji. Czy mamy się ich wstydzić? Jak się od tego odciąć, by przeżyć święta Narodzenia Pańskiego w ciepłej, radosnej, rodzinnej atmosferze? Jak zawsze.

Andrzej Ziółkowski CM: W takich sytuacjach ja też zadaję pytanie, ale raczej sobie niż innym, a mianowicie: dlaczego czas adwentu jest taki krótki? Przecież nie ma się kiedy porządnie zastanowić nad tajemnicą wcielenia, nad swoim wnętrzem, pozbierać wszystkie sprawy i poukładać je tak, jak należy. Dni są krótkie, słońca mało, nadto chłodno, często wietrznie, deszczowo, śnieżnie, mroźnie. Ale skoro sam sobie zadaję to pytanie, to próbuję na nie odpowiedzieć.

I udaje ci się?

Tak, trochę. Pozwól, że sięgnę pamięcią do 1972 r. Wtedy, pod koniec lat 60. i początku 70., też nie było zbyt ciekawie. Nie chcę przypominać, co się wtedy działo na świecie i w naszym kraju. Wiesz, co z tamtego czasu najbardziej utkwiło mi w pamięci?

Cóż takiego?

Moja mama była wtedy w stanie błogosławionym, a ja z siostrą Arlettą czekałem na narodziny. Nie wiedziałem, czy urodzi się siostra, czy brat. Szczerze mówiąc – było mi to obojętne. Wszystko w domu oczekiwało na przyjście maleństwa. Nie rozmawialiśmy wtedy o trudnościach, o kłopotach, o szkole i ocenach. Nie. Czekaliśmy na narodzenie się dziecka. Przykładałem ucho do maminego brzucha i słuchałem bicia serca maluszka.

Piękna historia, ale nie każdy oczekuje dzisiaj narodzenia dziecka. Większość obawia się jutra.

Pewnie tak. Skoro jest tak, jak mówisz, to już po trosze odpowiadasz na pytanie, jak przeżyć te święta w obliczu chaosu. Problem polega na tym, że tylko pewien procent ludzi oczekuje przyjścia Jezusa, to znaczy oczekuje na pamiątkę Jego przyjścia. Owszem, mówimy, że czekamy na święta, ale czy czekamy na Niego? Nie sądzę, by oczekiwali przyjścia Mesjasza ci, którzy wzniecają spory, niesnaski, kłótnie, walki, wojny. Inni zapewne czekają na święta, by odpocząć od pracy, dłużej pospać, lepiej i więcej zjeść, wypić, zdystansować się. Ale czy oni czekają na Chrystusa? Jeśli będziemy żyli tylko sprawami tego świata, to zawsze będzie kiepsko, źle, fatalnie, drogo, niebezpiecznie. Zgadzam się, że trudno jest wyjść z tego, co nas otacza, ale nie można zamknąć się w swoim świecie, w swoim domu, ba! nawet w swojej religijności. Staniemy się wtedy odludkami, będziemy niezrozumiali dla innych. Możemy jednak przesunąć wagę zainteresowania na stronę duchową. Wielcy tego świata czynią wszystko, by być w centrum uwagi, a tymczasem dla nas, wierzących, w centrum jest Słowo, które stało się ciałem.

Brzmi dobrze, każdy o tym powinien pamiętać, ale jednak skupiamy się na bieżących problemach, czasami bez odnoszenia się do dobra, którego tak wiele otrzymaliśmy w życiu.

Owszem, masz rację. Dlatego jest potrzebny dystans względem codziennych trudnych sytuacji, więcej radości i mniej narzekania. To właśnie widziałem kiedyś, gdy spędzałem Boże Narodzenie na Białorusi. Oj, zimno wtedy było – dochodziło do minus 36 stopni. Na mszę św. w ubogiej chatce w wiosce Wólka przychodziło ok. 20 parafian. W większości były to starsze panie – Białorusinki. Przypominam sobie, że kiedyś przyjechałem tam z ks. Dariuszem z posługą. To była niedziela, ok. 15 godz. Tuż przed wejściem do owej chaty kobiety otrzepywały swoje walonki ze śniegu, a ja zacząłem narzekać: „Ojej! U was tak zimno, że ręce mi grabieją". A jedna z nich odpowiedziała: „Ojcze Andrzeju, taki młody jesteś i już narzekasz? A to cieszyć się trzeba, że Pan Jezus się narodził, a nie narzekać. Bóg daje nam zimę po to, byśmy ogrzali się przy żłóbku. Wejdźcie do środka". Wszedłem, a tam w piecu napalone, ciepło, radośnie, przy malutkiej szopce skromne prezenty dla ks. Dariusza i dla mnie. Głupio mi się zrobiło i wstyd – gdy ja narzekałem na mróz, wszystkie parafianki radośnie śpiewały kolędy.

One w Bogu pokładały całą swoją ufność. Od niego czerpały pokój ducha. Czy nie uważasz, że doskonałą wskazówką, jak dobrze świętować, jest psalm 78? Rozpoczyna się od słów: „Co słyszeliśmy i co poznali i opowiedzieli nam nasi ojcowie, tego nie ukryjemy przed ich synami. Opowiemy przyszłemu potomstwu chwałę Pana i Jego potęgę, i cuda, których dokonał".

Tak, to są cudowne, natchnione słowa. Obyśmy je wypełniali. Tak sobie myślę, że przy rodzinnym stole, szczególnie tym świątecznym, można dużo powiedzieć młodemu pokoleniu o czasach, które my przeżyliśmy. Możemy napisać osobisty psalm z przesłaniem. To jednak jest trudne, bo często ludzie wolą pamiętać głównie zło i krzywdę bez żadnego odniesienia do Dobra, w które wierzymy. A przecież to ono ma ostatnie słowo.

Być może kluczową rolę, nie tylko w dobrym świętowaniu, ale w jakiejś mentalnej postawie, odgrywa wdzięczność?

Ależ ona jest! Przecież wciąż staramy się obdarować kogoś z bliskich, przyjaciół, znajomych jakimś skromnym prezentem, nawet gdyby to miała być kawa, herbata, samodzielne upieczone pierniczki. Czyż nie jest to wdzięczność wobec Boga i ludzi?

Wracając do twoich białoruskich doświadczeń. Bogaci się dzielą, bo ich na to stać?

Zaskoczę cię – w tamtej rzeczywistości, w tamtym świecie im ktoś jest uboższy, tym więcej daje i bardziej jest wdzięczny. Doświadczyłem tego wielokrotnie.

Sytuacja św. Rodziny to z naszej perspektywy jakiś stan skrajnego ubóstwa – jak oni mogli się cieszyć? Zagrożenie ze strony Heroda, ewentualna emigracji do obcego

kulturowo Egiptu. Łatwo nie było zarówno przed Narodzeniem Pańskim, jak i po nim.

Trzeba uwzględnić fakt, że niewiele osób porównuje swoją sytuację do tego, co spotkało Maryję, Józefa i Dziecię Jezus. Trudno jest narzucać się całemu światu z religijnym przesłaniem. W wielu państwach nie wolno już śpiewać kolęd, stawiać tradycyjnej szopki, nie można też mówić o Jezusie. Europa podcina swoje chrześcijańskie korzenie. Ale głowa do góry, te chrześcijańskie korzenie wyrastają w innych miejscach na Ziemi. Coś wspaniałego! Coś niesamowitego! To raduje i cieszy.

Niewiele osób porównuje swoją sytuację do tego, co spotkało Maryję, Józefa i Dziecię Jezus. Trudno jest narzucać się całemu światu z religijnym przesłaniem. W wielu państwach nie wolno już śpiewać kolęd, stawiać tradycyjnej szopki, nie można też mówić o Jezusie. Europa podcina swoje chrześcijańskie korzenie

Ale nie cieszy chyba to, że są tacy, którzy mówią, że wstydzą się mówić po polsku za granicą. Pewnie Bożego Narodzenia też nie obchodzą. Wyrzekli się tradycji, bo weszli do nowoczesnej Europy.

Moim zdaniem polskie tradycje, zwłaszcza wigilijne, a także kolędy, są wyjątkowe, to jakby nasz skarb narodowy. Podkreślają potrzebę wzajemnej bliskości, przebaczenia, troski o innych, wprowadzają ciepłą i wzruszającą atmosferę. To jakby odpowiedź na przykład Jezusa myjącego uczniom nogi.

Co należy zrobić, by nie wpaść w pułapkę nieustannego narzekania, które właściwie nic nie daje, tylko pogarsza sytuację?

Prosisz mnie o receptę na tę chorobę?

Można tak powiedzieć.

Jest tak wielu dobrych ludzi – uśmiechniętych, radosnych, pełnych humoru i wdzięczności, z ich oczu bije optymizm. Są zawsze gotowi pomóc, dzielą się tym, co mają, na wiele trudnych sytuacji patrzą z innej perspektywy, są zdystansowani względem fatalnych treści płynących z mass mediów. Trzymajmy się ich! Bądźmy blisko siebie! Nie dajmy się owej masie narzekania! Nie czytajmy, nie oglądajmy, nie słuchajmy podszeptów Złego.

Jak skupiać się na dobru, a widząc zło trwać w nadziei, że przeminie i będzie pokonane?

To problem pracy nad własnym wnętrzem. Niezależnie od tego, jaką człowiek wybiera opcję życia, każdy z nas winien pracować nad tym, by powiększać w sobie miejsce dla dobra, prawdy i piękna. Te uniwersalne wartości są ponadczasowe i ponadkonfesyjne. Trudno mi zrozumieć, dlaczego tak mało o tym mówimy w mass mediach, w szkole, na studiach, podczas spotkań...

Bo te wartości dla mass mediów nie są ani nośne, ani ważne. One nie myślą perspektywą zbawienia czy wieczności. Chcą zgarnąć jak najwięcej z tego co tu i teraz...

...nie wierzą w życie wieczne. Ich celem jest jak najlepiej przeżyć ziemskie życie. Niezależnie od tego dzielmy się z wszystkimi pięknem płynącym z otaczającego nas świata – nie zasłaniajmy ludziom wspaniałych widoków, niezwykłych szczytów, cudownych lasów, a nade wszystko piękna, które jest w człowieku.

Czym możemy zasłaniać?

Swoją wizją świata, jedynie słusznym programem, wartościami, które tylko my podzielamy, przekonaniem, że tylko my mamy rację, a inni mniej wiedzą, mniej rozumieją i w ogóle są gorsi. Jeśli nadal tak będzie, to zamiast zbliżyć się w te święta – oddalimy się od siebie. Jednym słowem – szukajmy odpowiedniego języka, by zbliżyć się do siebie.

Chrześcijaństwo jest religią miłosierdzia i nadziei. W takiej perspektywie nie ma właściwie złych czy trudnych czasów wykluczających radość. Czy tak?

Dopóki chrześcijaństwo będzie religią pełną pokory, szukającą dobra, umiejącą wokół dobra jednoczyć, dopóty możemy ufnie patrzeć prosto w oczy każdemu człowiekowi. Jeśli zaś przeobrazi się tylko w bezduszny system zakazów i nakazów, zamiast rozwijać relacje, będzie szukać władzy i pieniędzy, zamiast troszczyć się o ubogich, to sprzeniewierzy się Ewangelii i posłaniu Jezusa.

Dlatego lubię śpiewać kolędę pt. „Nie było miejsca dla Ciebie". Są w niej znamienne słowa:

Nie było miejsca dla Ciebie, w Betlejem w żadnej gospodzie [...]
Nie było miejsca, choć zszedłeś jako Zbawiciel na ziemię,
by wyrwać z czarta niewoli nieszczęsne Adama plemię. [...]
Nie było miejsca, choć szedłeś ogień miłości zapalić
i przez swą mękę najdroższą świat od zagłady ocalić. [...]
A dzisiaj czemu wśród ludzi tyle łez, jęków, katuszy?
Bo nie ma miejsca dla Ciebie w niejednej człowieczej duszy.

I tak śpiewając, mam nadzieję, że razem, życzę wszystkim Czytelnikom, by mieli w sercu nieustannie miejsce dla Boga.

***Ks. Andrzej Ziółkowski CM**, misjonarz św. Wincentego à Paulo, wykładowca teologii pastoralnej i homiletyki w Instytucie Teologicznym Księży Misjonarzy. Rekolekcjonista. Autor wielu pozycji homiletycznych. Specjalizuje się w przepowiadaniu do najmłodszych.*



Fot. Materiały prasowe BGK

Technologiczna rewolucja wody, wodoru i węgla

Z wody, wodoru i węgla powstał świat i żywe organizmy. Wokół tej triady coraz szybciej kręci się współczesny biznes

W zasadzie nie ma on innego wyjścia, jeżeli przyszłość – także ta gospodarcza – ma być oparta na wykorzystywaniu dostępnych zasobów w zrównoważony sposób. Jaki potencjał tkwi w tych trzech niezbędnych do życia elementach? Patrząc z perspektywy czysto biznesowej – olbrzymi. Według raportu „Woda, wodór, węgiel: zasoby, które zbudowały i zmieniają świat", przygotowanego przez firmę EY na zlecenie Banku Gospodarstwa Krajowego, wartość rynku 3W (wody, wodoru, węgla) to w Polsce 4,86 mld dol., w Europie – 66,49 mld dol. i 236,6 mld dol. na świecie. Do 2030 r. w naszym kraju sięgnie ona 5,6 mld dol.

Pieniądze i biznes to jedna strona medalu idei 3W, druga to potężny impuls innowacyjności, który niesie. I o jednym, i o drugim rozmawiali uczestnicy II Kongresu 3W, który odbył się 7 i 8 grudnia w Warszawie. Główne wnioski z raportu przedstawiła podczas panelu otwierającego kongres Beata Daszyńska-Muzyczka, prezes BGK i inicjatorka idei 3W. – Gdy w 2021 r. powoływaliśmy inicjatywę 3W, wiedzieliśmy, że skoncentrowanie się na tych trzech zasobach jest ważne. Nie mogliśmy mieć jednak pewności, że po pierwsze – w tak krótkim czasie zbudujemy ekosystem 3W, który połączy różne środowiska: naukowe, biznesowe i administracji publicznej, a po drugie, że potencjał sektora 3W jest tak duży – większy nawet, niż przewidywaliśmy – komentowała tezy raportu Beata Daszyńska-Muzyczka. Podkreśliła, że zainteresowanie BGK wodą, wodorem i nowymi technologiami węglowymi wynika bezpośrednio ze strategii banku – jego misją jest wspieranie zrównoważonego rozwoju społeczno-gospodarczego naszego kraju. Według BGK, 3W to odpowiedź na wyzwania, przed którymi stoi w XXI w. całe społeczeństwo, m.in. transformacji energetycznej czy bezpieczeństwa dostępu do wody pitnej. Prezes BGK podkreślała, jak ważne jest dzielenie się wiedzą i informacją. – Żeby wdrażać technologie oparte na wodzie, wodorze i węglu, jest potrzebna współpraca. W koncepcji 3W, którą rozwijamy, to połączenie świata nauki, biznesu i administracji. Bez tego połączenia ciężko będzie rozwijać i wzmacniać polską gospodarkę – mówiła Beata Daszyńska-Muzyczka. Według niej Polska dysponuje bardzo dużym kapitałem intelektualnym, którego jednak nie potrafimy komercjalizować. – Powinniśmy mieć odwagę inwestować więcej, podejmować takie ryzyko – podkreśliła.

– Możemy konkurować ze światem, wykorzystując nasz kapitał ludzki, powinniśmy jednak wybrać kluczowe obszary, na których będziemy konkurencyjni – mówił podczas panelu prof. Teofil Jesionowski z Politechniki Poznańskiej. Według niego ryzyko inwestycyjne jest integralnym elementem innowacyjnych przedsięwzięć. Zdaje sobie z tego sprawę niezwykle konkurencyjna gospodarka amerykańska. – Jesteśmy gotowi do współpracy z przemysłem – podkreślił. Apelował, by wyławiać talenty i stawiać na najbardziej dynamiczny kapitał ludzki, którym w przypadku uczelni są studenci działający w kołach naukowych i doktoranci.

Ten potencjał w Polsce jest imponujący, trzeba jednak go umiejętnie wykorzystać i przenieść w biznesowe realia. Jest to możliwe, o czym świadczą przedstawione w raporcie przykłady modelów biznesowych BGK, przypisanych do konkretnych przedsięwzięć realizujących strategię 3W. Dotyczą one np. zarządzania wodą, wykorzystania wodoru w transporcie czy zastosowań włókna węglowego. Co istotne, w wielu przypadkach wszystkie te trzy składniki są już obecne i mogą być na jeszcze większą skalę stosowane wspólnie. – Synergia 3W zapewni optymalizację kosztów, rozwój technologiczny oraz budowę nowych modeli biznesu – mówił Dariusz Kryczka z EY, prezentując raport. Według opracowania przedstawionego podczas kongresu największy wpływ synergii można zauważyć m.in. w przemyśle, ochronie zdrowia, mieszkalnictwie, a także infrastrukturze, transporcie i logistyce.

sk

Tekst powstał we współpracy z partnerem komercyjnym | 70/1122/F

eprasa.pl 52ff5dafe5

W samo południe w 2023 r.

Przyszły rok w polskiej polityce będzie przebiegał pod znakiem pojedynków z klasycznego westernu



Wybory parlamentarne w 2023 r. mogłyby być przedstawione jak klasyczny western Freda Zinnemanna z Garym Cooperem – „W samo południe”. Byłoby to wówczas typowe dla westernu starcie jednoznacznie przeciwstawnych wartości i postaw, i to w pełnym świetle. Nieprzypadkowo symbolem wyborów w 1989 r. był plakat z tego westernu, z Cooperem, który zamiast rewolweru trzymał kartkę wyborczą (i nosił znaczek Solidarności). Taki wybór wskazywał, że w 1989 r. mieliśmy do czynienia z ostatecznym starciem. Podobnie są przedstawiane wybory w 2023 r.

34 lata temu podstawowym zagrożeniem było przetrwanie systemu, w istocie kolonialnego, eksploatatorskiego, opartego na sile (przemocy), likwidacji suwerenności, niszczeniu wolności, blokowaniu samoorganizacji społeczeństwa, dominacji antywartości przedstawianych jako wartości, zniszczeniu więzi społecznych, żeby narzucone zło można było łatwiej implementować. W 2023 r. schemat westernu polegałby na starciu odzyskanej suwerenności z dążeniem do jej ponownego poświęcenia w imię jakichś wyższych celów (integracji europejskiej), które niejako znoszą wspólnotę narodową (na rzecz federacji europejskiej). Przemoc fizyczna zostałaby w tym schemacie zastąpiona przemocą finansową (blokowaniem środków z Unii Europejskiej) i prawną (karami finansowymi jako następstwo wyroków TSUE oraz zniesieniem krajowego, odrębnego wymiaru sprawiedliwości). Ten schemat polegałby też na likwidacji bądź ograniczeniu różnych zdobyczy społeczeństwa: socjalnych, ekonomicznych, dotyczących wolności, bezpieczeństwa wewnętrznego, np. na rozwiązaniu CBA, i zewnętrznego – na zmniejszeniu armii i ograniczeniu bądź zatrzymaniu zakupów na rzecz obronności, ponownego „otwarcia” granicy z Białorusią i Rosją. Po 34 latach znowu można przywołać plakat Tomasza Sarneckiego z Garym Cooperem, bowiem w wyborcze „samo południe” dojdzie do ostatecznego starcia tego, co Polskę po 1989 r. zmieniło, z tym, co ma sprawić, żeby było tak, jak było, a nawet bardziej.



STANISŁAW JANECKI

SZERYF I OFICER

Gdy ponad 34 lata temu na ulicach Warszawy pojawił się plakat „W samo południe” Tomasza Sarneckiego (wydrukowany we Włoszech, żeby go nie zablokowano), zaledwie za kilka godzin miały być otwarte lokale wyborcze. I zgodnie z westernowym wymogiem jedności czasu i miejsca pojawił się tylko w Warszawie i najbliższych okolicach (w całym kraju zawisł dopiero przed drugą turą wyborów 18 czerwca 1989 r.).

Sarnecki wybrał Gary’ego Coopera, gdyż poszukiwał bohatera uniwersalnego i rozpoznawalnego na świecie. Po latach tak to tłumaczył: „Szukałem bohatera, takiego »jedynego sprawiedliwego«, który poprzez swój

wspaniały, szlachetny, nieskazitelny wizerunek byłby w stanie udźwignąć ciężar ponad miarę jednego człowieka. Idealnym rozwiązaniem było znalezienie kogoś powszechnie znanego, lecz nie obarczonego odium naszych czasów, większej lub mniejszej polityki. Dlatego nie zdecydowałem się na wizerunek Jana Pawła II czy Lecha Wałęsy, ale właśnie Gary'ego Coopera". Dla Polaków było jeszcze drugie dno tej historii, o którym sam Sarnecki napisał w tekście „Dzielny szeryf czy bohaterski oficer?": „Choć sylwetka Gary'ego Coopera w roli szeryfa Willa Kane'a poprowadziła do wyborów w 1989 r., to jednak nie kowboj, ale oficer armii był symbolem wielkiej roli przedwojennego pokolenia aktorskiego Ameryki". Oficer definiowany przez „honor, rycerskość i stan ducha kształtowany przez wewnętrzny obowiązek oddania sił i talentów dla dobra swoich braci i sióstr". Takiego oficera, dopasowanego do polskich realiów, Tomasz Sarnecki znalazł we własnym dziadku, kapitanie Januszu Sarneckim, który „zginął w zasadzce niemieckiej podczas bitwy nad Bzurą. [...] Kapitan Sarnecki musiał wypełnić rozkaz obrony ojczyzny – na pojedynek ze szpicą rozpoznawczą 1. Dywizji Pancernej SS »Leibstandarte SS Adolf Hitler« miał zapewne karabinek Visa zamiast rewolweru. Szeryf uległ bandziorom. [...] Niemcy wyłapywali ocalałych żołnierzy i wszystkich mężczyzn we wsi, aby ich rozstrzelać nad Wisłą. [...] Zamordowano blisko 600 żołnierzy i cywilów. [...] Na gruncie przy lasku spoczął polski oficer, który uległ morderczej przewadze wojny totalnej, bezwzględności zabójców bez skrupułów".

Tomasz Sarnecki (zmarł 2 stycznia 2018 r.) odwołał się do postaci Willa Kane'a, „skromnego i nieśmiałego", gdyż „cała społeczność niewielkiego miasteczka, która dopiero co była świadkiem ślubu państwa Kane'ów, chowa się za kurtyną milczenia i strachu. Szeryf jest jedynym sprawiedliwym, jedynym, który ma odwagę ratować świat. Świat lubi takie kino, gdzie czarne jest czarne, a białe lśni blaskiem nieskalanej czystości. Z tym przekonaniem uznałem bohatera hollywoodzkiego westernu za doskonały wzór idei plakatu wyborczego".

Konwencja westernu to dobry wzór prowadzenia walki politycznej, bo wszystko jest tu proste i jasne (ciekawą analizę gatunku przeprowadził prof. Jerzy Franczak z UJ w pracy „Dziki Zachód, dziki Wschód. Western a sprawa polska", do której się w kilku miejscach odwołuję). Jak dowodził Jim Kitses, jeden z najbardziej przenikliwych analityków gatunku, w westernie istotne są „opozycje tematyczne, charakterologiczne i aksjologiczne: jednostka – społeczność (niezależność – ograniczenia, honor – instytucje, siła – słabość, samotność – wspólnota, samostanowienie – demokracja), przyroda – kultura (doświadczenie – wiedza, empiryzm – idealizm, pragmatyzm – legalizm, brutalność – łagodność)". Konflikt polega na konfrontacji wartości i postaw. A pozytywny bohater odgrywa rolę mediatora – niezależnej, silnej jednostki stającej w obronie społeczności, rozumiejącej i podzielającej ideały oraz wartości wspólnoty.

> Czwórkę złoczyńców z westernu „W samo południe" można w jakimś sensie porównać do czterech opozycyjnych ugrupowań, które miałyby się połączyć, żeby rozprawić się z szeryfem (Jarosławem Kaczyńskim) i trwale zastraszyć mieszkańców (społeczeństwo, a szczególnie tę jego część, która poparła PiS)

Wedle schematu klasycznego westernu od mniej więcej dwóch dekad trwa w Polsce konfrontacja Jarosława Kaczyńskiego z Donaldem Tuskiem. W jej najnowszej odsłonie mamy do czynienia z walką z przeciwnikiem gotowym grać nieczysto. Czwórkę złoczyńców z westernu „W samo południe" można w jakimś sensie porównać do czterech opozycyjnych ugrupowań, które miałyby się połączyć, żeby rozprawić się z szeryfem (Jarosławem Kaczyńskim) i trwale zastraszyć mieszkańców (społeczeństwo, a szczególnie tę jego część, która poparła PiS).

WRÓG NUMER JEDEN

Szeryf grany przez Gary'ego Coopera był symbolem kogoś, kto ma poczucie obowiązku, nawet gdy wie, że lokalna społeczność jest zastraszona i nieskora do oporu. Szeryf nie cofa się nawet wtedy, gdy zdradza go najbliższy współpracownik (zastępca). Solidarność nie była sama w 1989 r., obecnie PiS ma przeciwko sobie całą opozycję, mimo że wciąż niezjednoczoną. I ma przeciwko sobie siły zewnętrzne. W westernie Zinnemanna Will Kane wiedział, że czeka go konfrontacja z bandytami, choć nie musiał tego robić. Ale gdyby nie on, lokalna społeczność by uległa i na długo straciła kontrolę nad własnym losem. Wedle westernowego schematu podobny dylemat mają Polacy stojący przed wyborem: albo ulegną zewnętrznej sile i roztopią się w europejskiej federacji, albo pozostaną świadomym narodem w suwerennym państwie. Na finałową walkę szeryf Kane idzie sam, bo tak dyktuje mu poczucie obowiązku, mimo że ma właściwie wszystkich przeciwko sobie. To samo można powiedzieć o Jarosławie Kaczyńskim, który dla opozycji i sił zewnętrznych stał się wrogiem numer jeden, do którego wszystko odnoszą i który przeszkadza im w realizacji podstawowego planu.

„W samo południe" ma drugie dno w postaci sprzeciwu wobec makkartyzmu, ale ten kontekst został już odwrócony w 1989 r. przez Solidarność: to komuniści byli wrogiem wolności

i z nimi toczyła się zasadnicza walka, więc w żadnym przypadku nie są ofiarami, lecz sprawcami. Obecnie wrogiem wolności jest lewicowo-liberalny, mainstreamowy totalizm (odpowiednik makkartyzmu), który w przeciwieństwie do lokalnego jednak makkartyzmu z lat 50. XX w. dominuje w zachodnim świecie, a walka z nim wymaga wyjątkowej odwagi. O tym 22 listopada 2022 r. mówił w europarlamencie prof. Ryszard Legutko w wystąpieniu „Dwie minuty gorzkiej prawdy".

W klasycznym westernie społeczeństwo to słaba, wystawiona na przemoc grupa, która jednak mogłaby spokojnie funkcjonować, gdyby nie złoczyńcy chcący sobie tę społeczność podporządkować. Te czarne charaktery reprezentują samolubny indywidualizm, który nie tylko jest zagrożeniem dla wspólnoty i wyznawanych przez nią wartości, ale też popycha tę wspólnotę do walki z sobą, co przyjmuje formy nawet skrajnego darwinizmu. O takim darwinizmie mówił Jarosław Kaczyński podczas swoich spotkań z wyborcami w listopadzie i grudniu 2022 r. W westernowym schemacie kluczowy dla społeczności jest pozytywny bohater: outsider żyjący samotnie, a jednak pojmujący i doceniający wartość społecznych więzi, działający w pojedynkę, ale w imieniu zbiorowości. Prof. Jerzy Franczak widzi w tym paradoks, który „można by nazwać społeczną doniosłością indywidualizmu". I ten pozytywny bohater ma zwykle przeciwko sobie zdeterminowanego przedstawiciela „ciemnej strony". Kogoś takiego jak Frank (grany przez Henry'ego Fondę) w westernie Sergia Leone „Pewnego razu na Dzikim Zachodzie". Jest zdeterminowany i bezwzględny, bywa sarkastyczny, a ludzie są dla niego tylko pionkami w grze. To z nim walczy mężczyzna zwany Harmonijką (grany przez Charlesa Bronsona). Gdyby ten schemat przenieść do współczesnej polskiej polityki, to Harmonijką byłby Jarosław Kaczyński (także ze względu na kwestie życiorysowe i przeżyte dramaty), a Frankiem – Donald Tusk (także ze względu na nonszalancję, powierzchowność czy styl bycia).

SZERYFOWIE I ZŁOCZYŃCY

Schemat westernu, który jest w polityce bardzo uniwersalny i trafia do masowej wyobraźni, choć ten gatunek największe sukcesy ma już chyba za sobą, był trzykrotnie wykorzystywany przez Lecha Kaczyńskiego (i świadomie i mimowolnie – z powodu społecznych oczekiwań): gdy w 2001 r. został ministrem sprawiedliwości w rządzie Jerzego Buzka, w wyborach na prezydenta Warszawy (w 2002 r.) oraz w wyborach prezydenckich w 2005 r., gdy bezpośrednio konfrontował się z Donaldem Tuskiem. W 2001 r. od Lecha Kaczyńskiego większość społeczeństwa oczekiwała, że skończy z bezprawiem: tym postkomunistycznym oraz z patologiami III RP. W Polsce odczuwano wtedy zdecydowany deficyt sprawiedliwości (wynikało to z wielu badań) oraz nierówne traktowanie przed sądem, zależne od znajomości, układów, pieniędzy czy społecznego statusu. Odczuwano bezkarność i uprzywilejowanie niedawnych komunistów współpracujących z funkcjonariuszami bezpieki i zwykłymi gangsterami. Oczekiwania społeczne były takie, że tylko Lech Kaczyński jest w stanie sobie z tym zadaniem poradzić i faktycznie w ciągu zaledwie 13 miesięcy urzędowania odniósł wiele sukcesów na tym polu. To m.in. sprawiło, że wygrał wybory prezydenckie w Warszawie, co kandydatowi Prawa i Sprawiedliwości nigdy później się nie udało.

> Mamy odtworzenie zasadniczej konfrontacji między Polską solidarną i Polską liberalną, między Polską suwerenną a Polską podległą. I to jest coś na miarę epopei

Wedle schematu westernu kampanię prowadziła w 2022 r. we Włoszech Giorgia Meloni, która odniosła spektakularne zwycięstwo, przedstawiając proste, klasyczne wartości („Jestem Giorgia. Jestem kobietą. Jestem matką. Jestem Włoszką. Jestem chrześcijanką. Tego mi nie odbierzecie") i przeciwstawiając je współczesnym antywartościom. Wcześniej z tego schematu kilkakrotnie korzystał Viktor Orbán na Węgrzech. Korzystał także Wołodymyr Zełenski w wyborach prezydenckich w 2019 r. na Ukrainie.

Klasyczny western jest epopeją, gdyż – jak to ujął prof. Jerzy Franczak – „kreuje nowe wzory nadludzkich postaci i buduje mity założycielskie, odpowiada na potrzebę zakorzenienia w czytelnym systemie wartości i w absolutnej przeszłości narodu". W dodatku „bohater powinien być skąpany w blasku dnia", żeby jego walka była odbierana jako czysta, honorowa, z poszanowaniem zasad. To czarne charaktery kryją się w cieniu, działają w nocy. Schemat westernu o tyle pasuje do wyborów w 2023 r., że mają one dużo większe znaczenie niż wcześniejsze elekcje. Tym razem, podobnie jak w filmie Zinnemanna „W samo południe", chodzi o wolność. A w wypadku Polski o suwerenność, która dla „czterech złoczyńców" nie ma znaczenia w kontekście tego, że chcą, by Polska stała się częścią europejskiej federacji. Dla przyszłości Polski wybory w 2023 r. mają przełomowe znaczenie, tak jak obrona przed złoczyńcami miała fundamentalne znaczenie dla mieszkańców miasteczka, w którym rozgrywa się western Zinnemanna.

Jest jeszcze dodatkowy element, nawiązujący do plakatu Tomasza Sarneckiego z czerwca 1989 r., a także do wyborów parlamentarnych i prezydenckich w 2005 r. Mamy odtworzenie zasadniczej konfrontacji między Polską solidarną i Polską liberalną, między Polską suwerenną a Polską podległą. I to jest coś na miarę epopei (opis westernu jako nowoczesnej epopei pochodzi od filmoznawcy André Bazina). Wypada więc czekać na drugą polską wersję „W samo południe" (pierwsza to ta z 1989 r.) i może ona być nie mniej dramatyczna jak ta filmowa w reżyserii Freda Zinnemanna.

Mój syn jest mężczyzną mojego życia

*Z **Małgorzatą Tomaszewską**, prezenterką telewizyjną, rozmawia Dorota Łosiewicz*

Czym smakują święta?

Małgorzata Tomaszewska: Jeśli o mnie chodzi, to na pewno nie rybami. Ani ja, ani mama nie jadamy ryb. Sam zapach mnie odrzuca. Jednak chciałabym, żeby mój syn jadł ryby, więc one są na moim świątecznym stole. Jeśli zaś chodzi o moje ulubione świąteczne smaki, to moja świętej pamięci babcia przyrządzała sałatkę z buraków z sosem winegret oraz z orzechami włoskimi. To dość nietypowe danie, ale moi rodzice bardzo dużo podróżowali po świecie i pod naszym dachem pojawiały się potrawy i tradycje nie tylko typowo polskie, ale i ze świata, w tym z Francji, gdzie dorastała moja mama. We Francji sporą część życia spędziła także moja babcia, więc nasze tradycje świąteczne są mocno zmiksowane. Bardzo lubię też sałatkę ziemniaczaną, jarzynową i oczywiście pierogi. Różne, na ostro i z kapustą kiszoną na kwaśno. I oczywiście staramy się, żeby na stole było tych 12 potraw.

Macie swoje rodzinne tradycje świąteczne?

Naszą tradycją jest to, że dom przystrajamy już na początku grudnia. W moim rodzinnym domu choinka stała zawsze do 28 stycznia, czyli do moich urodzin. Bardzo mnie to zawsze cieszyło. A ponieważ mieliśmy przeważnie sztuczną choinkę, to nie było z tym problemu. Kultywujemy to do dziś. Moje dziecko uwielbia ubierać ze mną choinkę. Gdy ubraliśmy ją w tym roku, to Enzo powiedział: „Mamo to był najpiękniejszy dzień w moim życiu". Ten świąteczny czas trwa u nas więc niemal dwa miesiące. Ale to czas tak piękny i jednocześnie tak krótki, że staramy się go wydłużyć, bo w ten sposób dajemy sobie szczęście.

> Kariera medialna nie lubi rodziny. Nie lubi trwałych związków. To nawet nie o to chodzi, że osoba medialna zaniedbuje rodzinę, ale to rodzinie trudno unieść karierę medialną bliskiej osoby. To może być przytłaczające

Lubi pani kupować prezenty?

Lubię, choć ten rok jest wyjątkowy. Jestem bardzo zabiegana, a do tego mój synek chorował, więc starałam się z nim być jak najwięcej w domu. Zawsze staram się mieć prezenty wcześniej i nie zostawiać zakupów na ostatnią chwilę. W tym roku musiałam posiłkować się internetem, bo nie miałam możliwości kupić wszystkiego osobiście. To o tyle trudne, że jest ryzyko, że ktoś zajrzy do paczki i odkryje swój prezent. Np. mama, która w tym roku przyleciała z Dubaju wcześniej. Ale bardzo prosiłam, żeby nie otwierała moich paczek. Najbardziej lubię kupować prezenty dziecku, bo jemu najłatwiej sprawić radość. Z prezentami dla rodziców mam dużo większy problem, bo nie chcę, by były to podarunki kupowane na siłę. Staram się, by prezenty były praktyczne i potrzebne. Żeby to nie było wyrzucanie pieniędzy w błoto. A jeśli nie mam pomysłu na coś praktycznego, to wówczas stawiam na zdjęcia. Np. syna. Zamawiałam np. kalendarze z jego podobizną. To przynajmniej jest miłe i zawsze ucieszy dziadków.

A zapamiętała pani szczególnie jakiś prezent z dzieciństwa?

Jest taka rzecz. Mój tata komentował w Londynie mecze. Wtedy w Polsce nie było wiele. Co prawda urodziłam się po upadku komuny, ale jednak polski rynek nie był w czasach mojego dzieciństwa tak atrakcyjny jak dziś. Pamiętam, że tata przywiózł mi taką piękną kulę ze śniegiem. Na górze była szklana, a na dole była jeżdżąca ciuchcia z pozytywką. Każdy element tej kuli był tak pięknie i precyzyjnie wykonany, że nie mogłam od niej oderwać oczu. Mam tę kulę do dziś i ona wciąż działa.

Skoro mówi pani o tacie, to zapytam, czy nazwisko Tomaszewska bardziej pomaga czy bardziej przeszkadza w karierze?

Różnie to było. Na początku znane nazwisko sprawia, że inni zwracają na ciebie uwagę. A to jest w mediach ważne, zwłaszcza gdy stawia się pierwsze kroki. Później to nazwisko zaczyna przeszkadzać. Był taki moment, że zastanawiałam się, co muszę zrobić, by odkleiła się ode mnie łatka znanego rodzica. Teraz już poszłam swoją drogą i to nie jest droga sportowca, tylko prezenterki telewizyjnej. Zapracowałam na swój dorobek. Doszłam do takiego etapu, że wszystko poukładałam sobie

Fot. Archiwum prywatne


Merry & Bright

w głowie, wiem, że sama pracuję na swoje nazwisko. Tak jak tata jest dumny ze mnie, tak ja jestem dumna z niego. I nie czuję już, żebym była postrzegana przez pryzmat nazwiska znanego ojca. Co więcej, młodzi ludzie często kojarzą mnie, a niekoniecznie kojarzą mojego tatę, zwłaszcza ci, którzy nie znają się na sporcie. Choć nie mam wątpliwości, że tata jest wybitnym sportowcem i zawsze pozostanie w sercach kibiców, ale to są dwa odrębne światy.

Tata kibicuje pani?

Na pewno jest najwierniejszym widzem. Zawsze mnie ogląda. Jeśli zdarzy się jakaś zmiana w grafiku, kogoś zastępuję, to jest zły, jeśli mu o tym nie powiem. Jeśli nie może obejrzeć, to sobie nagrywa i ogląda z opóźnieniem. A na początku, kiedy miałam pierwsze duże koncerty, to je nagrywał i oglądał dopiero, jak mu powiedziałam, że wszystko było OK. Tak bardzo się denerwował. Teraz już jest dużo spokojniejszy. Często komentuje, recenzuje, ale nigdy nie robił tego w taki sposób, żeby mnie denerwowało. Nigdy nie był uszczypliwy. Jeśli coś radzi, to z dobrego serca. Czasem dyskutujemy, czasem mu tłumaczę, dlaczego coś zrobiłam tak, a nie inaczej, czasem mu opowiadam, co mówiła reżyserka. Na pewno jego rady są zawsze szczere i życzliwe, a ja ich słucham.

A jakim jest dziadkiem? Ogląda z wnukiem mecze?

Często zdzwaniają się z Enzo w przerwie meczu. Młody jeszcze nie wszystko rozumie, dziadek mu dużo tłumaczy. Wspólnie uczą się liczyć. Tata nie jest takim dziadkiem, który mógłby zostać z wnukiem cały dzień sam na sam. Mój syn jest bardzo energiczny i tata się boi, że on w każdej chwili może sobie zrobić krzywdę. Albo spadnie z kanapy, albo złamie nogę, albo wydarzy się coś innego. Pewnie jest też nadopiekuńczy. Ale jest niezwykle ciepły i serdeczny, zupełnie bezwarunkowy. Kocha moje dziecko takie, jakie jest. I to jest piękne w tej relacji, a jednocześnie może kontrastować z medialnym wizerunkiem taty.

Co jest najcenniejszą wartością, jaką pani wpoił?

Tata zawsze mówił: „Rzuć za siebie, a znajdziesz przed sobą". Uczył mnie, by dawać i niczego nie oczekiwać w zamian, nie być interesownym. A dobro prędzej czy później wróci. Pamiętam, że kiedyś oddałam pół pokoju zabawek kobiecie, która szukała u nas pomocy. Ta bezinteresowność gdzieś ze mną idzie. I tak sobie myślę, że jeśli mam w życiu dużo szczęścia, to dlatego właśnie, że życie mi oddaje to, co zrobiłam dla innych. Mój tata też taki jest. Pomaga bezinteresownie. Nauczył mnie też punktualności i wywiązywania się z danego słowa. Ja bardzo tego pilnuję, by nie rzucać słów na wiatr. Jeśli podejmę jakieś zobowiązanie, to zawsze staram się wywiązać najlepiej jak potrafię. Często kosztuje mnie to dużo nerwów. Czasem chcę zrobić za dużo. Czasem prowadzę koncert przez dwie godziny, a potem przez trzy go analizuję. Ale to dlatego, że chcę jak najlepiej wywiązywać się z pracy, którą uwielbiam.

> Doszłam do takiego etapu, że wszystko poukładałam sobie w głowie, wiem, że sama pracuję na swoje nazwisko. Tak jak tata jest dumny ze mnie, tak ja jestem dumna z niego. I nie czuję już, żebym była postrzegana przez pryzmat nazwiska znanego ojca

Ma pani w środowisku opinię osoby niezwykle pracowitej.

To prawda, że jestem pracowita. Rzadko kiedy odmawiam czy odrzucam propozycje. Lubię pracować. Gorzej, że nie potrafię odpoczywać. Czasem nie potrafię pogodzić życia domowego z życiem zawodowym. Na szczęście jest ono tak ciekawe i kolorowe, że może spokojnie być także życiem prywatnym.

Enzo często chodzi z panią do pracy?

Bardzo często i w ogóle to uwielbia. Na planie jest grzeczny i lubiany. To bardzo ułatwia nam życie. Bardzo lubi pokazywać się przed kamerą. Kiedyś się wstydził, a teraz nie może się doczekać, kiedy pójdzie z mamą do „Pytania na śniadanie". Dla mnie czasem to jest trudne, bo nic mnie nie stresuje bardziej niż rozmowa z rodziną. Nie stresowałam się tak bardzo podczas prowadzenia Eurowizji Junior jak podczas prowadzenia wywiadu z tatą.

Dlaczego właściwie córka sportowców: tenisistki stołowej i bramkarza, nie została sportowcem?

Nie wyszło. Próbowałam. Przez wiele lat uprawiałam wyczynowo tenis stołowy, po mamie, babci i dziadku, którego nigdy nie poznałam, bo zmarł w roku, w którym się urodziłam. Grałam, trenowałam, nawet grałam w lidze. Nigdy jednak nie byłam tak dobra, jak bym chciała. Nie byłam w czołówce. I uznałam, że nie ma sensu robienie czegoś tylko dlatego, że robili to także rodzice. Lubię czuć się dobra w tym, co robię. Nie lubię robić czegoś na pół gwizdka. Na szczęście mój syn odziedziczył zamiłowanie do sportu. On jest zawsze w ruchu. Jestem pewna, że będzie sportowcem, tylko nie wiem, jaką dyscyplinę wybierze. Uwielbia wyścigi samochodowe, jeździ na gokartach już teraz. A może będzie piłkarzem? Sam zdecyduje, sam wybierze.

A skąd się w ogóle wzięło imię Enzo?

Moja rodzina jest z różnych stron świata: Szwajcaria, Turcja, Francja. Chciałam więc znaleźć takie imię, które w każdym języku będzie wymawiane tak samo. Gdy byłam w ciąży, byłam we Włoszech, usłyszałam to imię, bardzo mi się spodobało i tak zostało.

Wrócę jeszcze do rodziców. Dość nietypowych. Obydwoje znani sportowcy, ich związek był burzliwy i nie przetrwał. Ma pani z nimi dobry kontakt?

Bardzo dobry. Rozstanie rodziców nie wpłynęło na moje kontakty z nimi. Jeśli one były trudne, to nie ze względu na relacje rodziców, tylko dlatego, że wszyscy mamy trudne charakterki. Żadne z nas nie lubi ustępować. Jednak samo rozstanie rodziców wpływa na dziecko. To jest bardzo trudne. Ciężko dziecko uchronić, ale od tego już jest psycholog, żeby różne problemy przepracować i poukładać. Sama ukończyłam psychologię. Przypadek? Nie sądzę.

Sama ma pani dość burzliwe życie uczuciowe. Małżeństwa się rozpadają. To po rodzicach?

Chyba nie. Nad sobą i nad związkiem trzeba porządnie pracować, żeby on się w mediach nie zagubił. Kariera medialna nie lubi rodziny. Nie lubi trwałych związków. To nawet nie o to chodzi, że osoba medialna zaniedbuje rodzinę, ale to rodzinie trudno unieść karierę medialną bliskiej osoby. To może być przytłaczające. I tu widzę źródło moich problemów. Miejsce, gdzie w moim życiu nie ma burzliwości, to ten obszar, gdy w grę wchodzi moje dziecko. Syn jest dla mnie na pierwszym miejscu i gdyby ktoś mi powiedział, że moje dziecko cierpi z powodu mojej kariery, to bez mrugnięcia okiem bym ją zakończyła. Z wszystkich sił pilnuję tego, by mój syn nie ucierpiał z powodu mojej pracy.

Myśli pani, że mężczyzna idealny istnieje i kiedyś go pani spotka?

Mój syn to mężczyzna idealny [śmiech]. Poza tym nie ma ideałów. Ani kobiet, ani mężczyzn. Wszyscy musimy nad sobą pracować, zwłaszcza w relacji. Wszyscy mamy takie ideały, na jakie sobie zasłużyliśmy. Nasza złość generuje złość, każde zachowanie wywołuje reakcję drugiej strony. Jedna osoba może różnie zachowywać się w różnych związkach. Jeśli więc dobrze zbudujemy relację, to może okazać się, że trafiliśmy na partnera idealnego.

Czyli do mężczyzn się pani nie przywiązuje, ale do rzeczy?

Najbardziej do samochodów. Jak je sprzedaję, to mi ich szkoda. Zdarzyło mi się nawet zapłakać po sprzedaży samochodu. Poza tym nie przywiązuję się do rzeczy. Lubię je oddawać. Szczególnie ubrania. Często je dostaję np. od firm po sesjach. Dużą przyjemność sprawia mi oddawanie ich innym. Lubię widzieć radość w oczach innych. Nie znoszę wyrzucać. Nie wyrzucam ubrań, przedmiotów, jedzenia, bo to boli.

A chętnie wydaje pani pieniądze na buty czy torebki?

Lubię to robić, ale odkąd urodziłam dziecko, bardzo zmieniło się moje podejście. Zaczęłam widzieć, jak dużo środków pochłaniają dobra, których właściwie nie potrzebujemy. Przecież my, kobiety, mogłybyśmy mieć jedne buty zimowe, jedne wiosenne, jedne letnie i byłoby OK. Tymczasem damskie szafy pełne są butów i torebek. A gdy pojawia się dziecko, to nagle widzimy, że te pieniądze lepiej wydać na dziecko, na kursy, edukację, a może odłożyć na przyszłość. Może jestem trochę dzieciocentryczna, ale odkąd on jest, mniej myślę o sobie, głównie o nim.

Było o tacie, synku. To jeszcze porozmawiajmy o mamie, która mieszka w Dubaju. Nie brakuje jej na co dzień?

Brakuje, ale odkąd wyjechała, mamy lepsze relacje. Gdy widzimy się rzadziej, jesteśmy gotowe na kompromisy odnośnie do spędzania wspólnego czasu. Ludzie, mieszkając w jednym mieszkaniu czy jednym mieście, wciąż się mijają, rzadko rozmawiają. A od kiedy mam mniejszy kontakt z mamą i rzadziej się widzimy, to ten czas, gdy już jesteśmy razem, wykorzystujemy w pełni dla siebie. Wymyślamy wspólne aktywności i robimy to właśnie dlatego, że wspólny czas jest limitowany.

Mama w przeciwieństwie do taty chyba nie chce być osobą publiczną?

Zdecydowanie unika tego. Wystarczy jej, że ja jestem osobą medialną. Jest ze mnie dumna, ale nie jest niezdrowo podekscytowana moją obecnością w mediach. Podchodzi do tego bardzo racjonalnie i zawsze w tej sprawie twardo stąpała po ziemi. Chwali mnie, ale nie widzi we mnie pani z telewizji, tylko swoją córkę i jak coś będzie nie tak, to ona mi to bez wahania i patyczkowania powie.

Który format z tych, w których pani występuje, lubi pani najbardziej?

„Pytanie na śniadanie". To mój drugi dom. Mogę do tego programu przyjść z dnia na dzień, gdy zachodzi taka potrzeba. „Pytanie..." daje mi strefę komfortu, w ogóle mnie nie stresuje, w przeciwieństwie do innych formatów, które wymagają większego przygotowania. Poranne wstawanie nigdy nie było problem. Dziecko mnie przyzwyczaiło. W wolne dni wstaję o 6.30, w pracujące o 6.15. Jestem przyzwyczajona.

Spotyka panią hejt z powodu pracy w mediach publicznych?

Hejt owszem, ale niekonieczne z powodu pracy w telewizji. Kiedyś hejt mnie bardzo bolał, ale dojrzałam do tego, żeby nie zwracać na niego uwagi. I to mi gwarantuje zdrowie. Śledzenie wszystkich negatywnych komentarzy na własny temat na dłuższą metę byłoby nieznośne. Gdyby ktoś chciał się tym przejmować, to właściwie należałoby się zamknąć w domu i nic nie robić, a już na pewno nie pojawiać się w mediach.

Wspomniała pani, że nie umie odpoczywać, ale może jednak uda się w święta złapać trochę oddechu?

Na pewno poświęcę dużo czasu swojemu dziecku, choć w święta także pracuję. Ale mamy skrócone dyżury. Do pracy wyskoczę tylko na półtorej godziny. A resztę czasu spędzę z synkiem. W sylwestra będę w Zakopanem, bo prowadzę koncert TVP. Syn jedzie ze mną. Już jest szczęśliwy, już się pakuje, mówi, że jedzie do kopca – od Zakopca. Być może pojedzie z nami także moja mama, która spędzi święta w Polsce i nam na miejscu pomoże.

Polskie marki. Trudne powroty

O sile państwa świadczy siła jego gospodarki, a tę można mierzyć liczbą znanych na całym świecie marek handlowych. Polska takich znaczących marek jeszcze się nie dorobiła. Te dawne PRL-owskie nie wytrzymały zderzenia z kapitałową potęgą globalnych korporacji. Dziś niektóre z nich próbują powrócić na rynek. Jednak bez dużych nakładów pozostaną w swoich niszach



KONRAD KOŁODZIEJSKI

W tym roku wiele zainteresowania wzbudziła reaktywacja marki Unitra, pod którą w PRL produkowano m.in. sprzęt audio: radia, gramofony, wzmacniacze. W rzeczywistości Unitra, która od 1961 r. działała jako tzw. zjednoczenie branżowe, była konglomeratem wielu zakładów z branży RTV i AGD. Po likwidacji zjednoczeń na początku lat 80. przyjęła formę luźniejszego zrzeszenia producentów, z których większość nie przetrwała transformacji w następnej dekadzie.

Sprzęt sygnowany znakiem Unitry był doskonale znany każdemu obywatelowi PRL oczywiście nie dlatego, że był najlepszy, ale dlatego, że po prostu był relatywnie łatwo dostępny. Gdy po upadku komuny otwarto rynek dla produkcji zagra-



nicznych koncernów, niedoinwestowane zakłady Unitry popadły w tarapaty.

Polskie marki po dekadach wymuszonego monopolu nie cieszyły się renomą, a ich dawni klienci zachłyśnięci mnogością zagranicznej oferty, wśród której znajdowały się zarówno renomowane marki, jak i tania dalekowschodnia tandeta, szybko odwrócili się od polskiej produkcji kojarzącej się powszechnie z minioną, siermiężną epoką PRL. Wszystko, co zagraniczne, z definicji uchodziło za lepsze. Nawet jeśli nie była to prawda.

DEFICYT KAPITAŁU

Upadające zakłady sprzedawano zachodniej konkurencji bądź likwidowano. Wraz z nimi znikała również wykwalifikowana kadra inżynierów i projektantów, którzy nie byli już potrzebni na rynku, na którym dominował import lub montaż z gotowych, opracowanych za granicą podzespołów. W rezultacie w latach 90. całkowicie zmieniła się struktura polskiej gospodarki, która stopniowo przekształciła się w stosunkowo tanie zaplecze produkcyjne obcych koncernów.

Zaczęliśmy więc przerabiać – w uproszczeniu i na mniejszą skalę – scenariusz dalekowschodni, w którym zagraniczny kapitał inwestował swoje pieniądze i myśl techniczną, a w zamian otrzymywał tanią pracę i wynikające z tego spore zyski na światowych rynkach. Po ćwierćwieczu istnienia takiego podziału zadań ten układ zaczął się wyczerpywać. Polska gospodarka na tyle stanęła na nogi, że zaczęła przejawiać ambicje włączenia się do światowej konkurencji. Nie wszystkie próby wejścia na rynek z własną ofertą się powiodły, inne nie zdołały się wybić z wąsko wyspecjalizowanej niszy. Podstawowym problemem jest ciągle brak pieniędzy. Żaden przedsiębiorca w Polsce nie ma ich tyle, by samodzielnie wypromować dużą, globalną markę. W wielu przypadkach polskim firmom udawało się przetrwać tylko dzięki różnego rodzaju pomocy ze strony rządu.

Plus dawnych PRL-owskich marek polega na tym, że są rozpoznawalne i budzą sentyment starszego pokolenia, z kolei ich minus stanowi ciągle duża nieufność co do jakości sygnowanych nimi wyrobów i brak wiary, że ich producent w ogóle zdoła przetrwać na rynku. Trzeba więc włożyć dużo wysiłku i pieniędzy w to, by przekonać do siebie potencjalnych klientów.



Fot. NAC

We wspomnianą Unitrę zainwestował Michał Kiciński z firmy CD Projekt, najsłynniejszego bodaj polskiego producenta gier komputerowych, który wypuścił na rynek takie światowe szlagiery jak „Wiedźmin" i „Cyberpunk 2077". Marka, którą próbowano wskrzesić już w 2014 r., sprzedając pod jej znakiem chińską produkcję, była do niedawna zarządzana przez Towarzystwo Przemysłowo-Handlowe „Unitra". Teraz Unitra zamierza się zająć elektroniką użytkową o wyższej jakości. Urządzenia mają w dużym stopniu powstawać z polskich podzespołów, nadawać się do naprawy i dzięki temu służyć przez wiele lat.

POSZUKIWANIE NISZY

Unitra nie jest pierwszą marką z branży elektronicznej, którą udało się reaktywować. Można wymienić tu także produkujący głośniki Tonsil. Firma z wielkopolskiej Wrześni została założona podczas okupacji przez Niemców produkujących tu urządzenia radiotechniczne na potrzeby Wehrmachtu. Przejęta po wojnie przez państwo kontynuowała produkcję zapoczątkowaną przez Niemców i ostatecznie wyspecjalizowała się w mikrofonach i głośnikach.

Jak na miarę PRL – Tonsil osiągał spore sukcesy, produkując m.in. na potrzeby japońskiego Pioneera i Sony oraz niemieckiego Grundiga i Blaupunkta. Zakład był doinwestowany i dobrze wyposażony m.in. w jedną z najnowocześniejszych komór bezechowych do badań akustycznych.

Po upadku PRL firma kontynuowała współpracę z Japończykami, a Pioneer przejął 40 proc. udziałów w Tonsilu. Ostatecznie jednak, gdy w 2003 r. doszło do konfliktu w firmie, Pioneer stracił nią zainteresowanie i się wycofał, a Tonsil zniknął. Teren po dawnym zakładzie przejęli deweloperzy, a w pożarze spaliła się nowoczesna komora do badań akustycznych.

W 2011 r. prawa do marki, łącznie z dokumentacją techniczną i parkiem maszynowym, kupił od syndyka masy upadłościowej lokalny przedsiębiorca z Wrześni, któremu udało się przywrócić



Fot. bibl.narodowa

produkcję zestawów głośnikowych. W tej chwili Tonsil ma w ofercie blisko 30 różnych modeli i jest jedną z niewielu firm audio w Europie, która samodzielnie produkuje swoje urządzenia.

ZMIANA PROFILU

Zupełnie inaczej potoczyły się losy Diory – dawnego producenta wież RTV oraz radioodbiorników z Dolnego Śląska. W tej chwili dawnych zakładów Diory w Dzierżoniowie już nie ma – zostały zburzone, a w ich miejscu zbudowano niemiecki supermarket. W dawnej filii zakładu w Świdnicy, nadal funkcjonującej pod starą marką, produkuje się dzisiaj obudowy głośnikowe dla zewnętrznych zleceniodawców.

Jeszcze zawilsze są losy warszawskich zakładów im. Ludwika Waryńskiego – niegdyś największego producenta koparek i maszyn budowlanych w Polsce. W 1991 r. firma weszła w skład dawnej centrali handlu zagranicznego Bumar, sprzedającej w okresie PRL wyroby przemysłu ciężkiego. Centrale handlu zagranicznego były zazwyczaj zarządzane i infiltrowane przez nomenklaturę partyjną oraz ludzi blisko związanych z PRL-owskimi służbami specjalnymi, stanowiąc niekiedy przykrywkę do ich działalności i niejasnych interesów. Mariaż z Bumarem nie pomógł Waryńskiemu, który po blisko 10 latach zakończył dotychczasową produkcję i ostatecznie w 2011 r. przekształcił się w grupę holdingową zajmującą się m.in. działalnością deweloperską głównie na dawnych terenach przemysłowych na warszawskiej Woli, czyli w miejscu, gdzie kiedyś mieściły się zakłady produkujące koparki.

Nieopodal zakładów im. Waryńskiego działały także Zakłady Radiowe im. Marcina Kasprzaka – czołowy w ostatnich dwóch dekadach PRL producent magnetofonów na licencji niemieckiego Grundiga. Przedsiębiorstwo w nie do końca jasnych okolicznościach zostało postawione w 1994 r. w stan upadłości, a teren po dawnej fabryce przejął nieistniejący już Kredyt Bank, który wykupił część długów firmy, a w atrakcyjnym miejscu, gdzie działał Kasprzak, postawił swój biurowiec. Marka, do której pół wieku temu wzdychało wielu polskich nastolatków, nie powróciła na rynek i raczej już nigdy nie powróci.

Utrata praw do marki wiązała się niekiedy z poważnymi stratami dla narodowej kultury, czego dowodem są losy Polskich Nagrań – wytwórni płyt i właściciela katalogu nagrań z ostatnich kilkudziesięciu lat. Postawioną w stan upadłości firmę w 2015 r. sprzedano za 8,1 mln zł amerykańskiemu koncernowi Warner Music. Mimo negocjacji podjętych po wyborach przez nowy rząd cennej dla polskiej kultury wytwórni nie udało się dotąd odkupić.

> Podstawowym problemem jest ciągle brak pieniędzy. Żaden przedsiębiorca w Polsce nie ma ich tyle, by samodzielnie wypromować dużą, globalną markę. W wielu przypadkach polskim firmom udawało się przetrwać tylko dzięki różnego rodzaju pomocy ze strony rządu

BURZLIWE DZIEJE URSUSA

Niekiedy reaktywacja marki – nawet znanej i cenionej – nie gwarantowała sukcesu. Przykładem może być Ursus, przez wiele lat absolutny potentat w produkcji ciągników rolniczych. Zakłady mechaniczne Ursus mogły poszczycić się tradycją sięgającą końca XIX w., kiedy uruchomiono – wtedy jeszcze na warszawskiej Woli – fabrykę produkującą wyposażenie dla burzliwie rozwijającego się w dawnej Kongresówce przemysłu.

Firma od 1907 r. rozwijała markę Ursus (czyli po łacinie „niedźwiedź"), będącą odwołaniem do muskularnego sługi Ligii z „Quo Vadis" Henryka Sienkiewicza. Tuż po odzyskaniu niepodległości przez Polskę pojawiły się pierwsze traktory wyprodukowane pod marką Ursus. Ta sama marka widniała także na ciężarówkach i autobusach opracowanych w nowoczesnej fabryce wybudowanej 1923 r. na terenie podwarszawskiej miejscowości Czechowice.

Ursus po raz pierwszy zniknął z rynku w 1930 r., gdy wskutek przeinwestowania fabryka nie zebrała wystarczającej liczby zamówień. Przedsiębiorstwo zostało wówczas znacjonalizowane i włączone w skład Państwowych Zakładów Inżynierii, rozpoczynając produkcję dla wojska – m.in. samochodów pancernych, tankietek i motocykli Sokół.

Po wojnie Ursus, znów pod starą marką, powrócił do produkcji traktorów. Marka była tak silna, że w 1954 r. nowe miasto powstałe z Czechowic i okolicznych osiedli otrzymało nazwę Ursus. Złote lata dla Ursusa skończyły się na początku lat 90., gdy wraz z upadkiem PGR-ów nagle załamało się zapotrzebowanie na maszyny rolnicze. Sprzedaż traktorów, która jeszcze w 1990 r. utrzymywała się na poziomie 35 tys. sztuk, dwa lata później spadła do zaledwie 8 tys. W 1994 r. przedsiębiorstwo było praktycznie bankrutem i rozpoczęła się wyprzedaż jego majątku, przede wszystkim ogromnych gruntów, które zajmowała fabryka. W ciągu 10 lat ze 180 ha terenu we władaniu firmy pozostało tylko kilka budynków.

Wtedy zakładami zainteresowała się grupa przedsiębiorców działających na rynku maszyn rolniczych, która wcześniej wykupiła prawa do marki Pol-Mot (serwisy i warsztaty samochodowe). W 2011 r. odkupili oni markę Ursus i uruchomili na terenach należących do dawnej Fabryki Samochodów Ciężarowych w Lublinie, w których kiedyś wytwarzano dostawcze żuki i lubliny, produkcję nowej linii traktorów. Obok produkcji na rynek polski traktory wytwarzano na rynki afrykańskie, gdzie nowy Ursus dostrzegał dla siebie największą szansę. Ekspansję wspomagał polski rząd, który zgodził się m.in. kredytować zakupy ciągników przez Etiopię.

Kolejną okazją dla Ursusa miały być autobusy elektryczne, których zakupy wspierano z funduszy europejskich.



Kontrakt na 10 autobusów zawarła z Ursusem Warszawa, a firma przymierzała się do produkcji pojazdu wodorowego oraz elektrycznych samochodów dostawczych. Plany te spaliły jednak na panewce, ponieważ w tym samym czasie załamały się afrykańskie kontrakty na traktory, a firmie nie udało się ostatecznie odwojować polskiego rynku. Przyczyną miały być jakoby przestoje w rozliczaniu dotacji unijnych. Tym samym próba wejścia na dotowane rynki nie powiodła się i w 2021 r. Ursus upadł po raz kolejny.

WOJSKO NA RATUNEK

Konieczność cyklicznej wymiany taboru autobusowego przez samorządy miejskie wydawała się gwarantem stałych dochodów dla wielkiego potentata na rynku, którym były zakłady w podwrocławskim Jelczu. Przedsiębiorstwo, produkujące również ciężarówki, znalazło się w latach 90. pod kontrolą firmy należącej do Sobiesława Zasady – byłego kierowcy rajdowego, a po upadku PRL dealera Mercedesa. Zasada obiecywał, że uruchomi w Jelczu produkcję autobusów konstrukcji Mercedesa. Ostatecznie niewiele z tego wyszło, a Jelcz nadal produkował nieco tylko zmodernizowane modele autobusów z epoki Gierka. Przez pewien czas taki standard był wystarczający, jednak po pojawieniu się znacznie bardziej zaawansowanej konkurencji z Solarisem na czele sprzedaż Jelcza zaczęła spadać. Firma nie najlepiej radziła sobie także z obsługą serwisową klientów. Pod koniec ubiegłej dekady Jelcz upadł. Marka istnieje do dziś tylko dlatego, że wraz z zakładem produkującym specjalistyczne ciężarówki wojskowe została wykupiona przez Hutę Stalowa Wola. W 2015 r. Jelcz został zaliczony przez rząd do przedsiębiorstw o szczególnym znaczeniu gospodarczo-obronnym.

Warto tu przy okazji dodać, że produkcja dla wojska uratowała też firmę Radmor z Gdyni – w okresie PRL producenta sprzętu audio. W 2011 r. zakłady kupiła polska spółka zbrojeniowa WB Electronics, która kontynuuje pod starą marką produkcję radiostacji dla wojska.

Znacznie gorszy los spotkał inną ważną markę polskiego przemysłu motoryzacyjnego, którą był Star. Starachowickie zakłady – podobnie jak Jelcz – dostały się pod kontrolę spółki Sobiesława Zasady. I podobnie jak w Jelczu nie uchroniło to firmy przed utratą zamówień. Udziałowcy pozostali z długami, a majątek fabryki przejął w 1999 r. niemiecki MAN, który początkowo produkował tu samochody pod starą marką, potem przeniósł produkcję Stara do Austrii, aż w końcu całkiem z niej zrezygnował. Dziś powstają tu wyłącznie autobusy MAN.

MADE IN CHINA

Pozostając przy motoryzacji, warto wspomnieć jeszcze o dwóch starych markach, które powróciły na rynek. Chodzi o motocykle spod znaku WSK i Junak. Pod tą ostatnią marką są sprzedawane pojazdy wytwarzane w Chinach i dystrybuowane przez polską firmę handlową Almot. Inaczej jest z WSK, który przywrócony do życia przez przedsiębiorców zajmujących się serwisem motocykli, jest dziś produkowany w Polsce, choć wiele części – w tym silniki – są sprowadzane w postaci gotowych podzespołów. Na podobnych zasadach działa marka Romet, dawny potentat na rynku rowerowym.

Bardziej skomplikowane są losy marki Zelmer, pod którą produkowano odkurzacze. Rzeszowskie zakłady przejęła w 2013 r. niemiecka firma BSH, która rozpoczęła w nich produkcję wyrobów Boscha i Siemensa. Markę Zelmer wycofano i w 2020 r. sprzedano hiszpańskiemu przedsiębiorstwu zajmującemu się sprowadzaniem chińskiego sprzętu AGD. Hiszpanie założyli widocznie, że chińskie wyroby będą się lepiej sprzedawać pod starą polską marką.

Na fali nostalgii za PRL-owskimi markami działa również Frania. Ta słynna pralka opracowana w kieleckiej fabryce SHL była już w nowych czasach produkowana w Olkuszu, a potem prawa do marki przechodziły z rąk do rąk. W tej chwili wytwarzaniem pralki zajmuje się niewielkie przedsiębiorstwo Radomet. Według medialnych doniesień głównymi nabywcami archaicznej Frani są właściciele warsztatów i domków letniskowych, a jej roczna sprzedaż kilka lat temu wynosiła ponad 500 sztuk.

Na sentyment wiekowej klienteli liczy chyba także Monster Media Group – właściciel marki Pewex, która swój ostatni punkt zamknęła w 2010 r. Dziś jest to jeden z wielu, niespecjalnie wyróżniających się ofertą, sklepów internetowych. Przy swoich korzeniach pozostała za to Baltona – od dwóch lat własność Przedsiębiorstwa Państwowego Porty Lotnicze. Pod starym szyldem firma prowadzi sklepy na lotniskach oraz – pod inną marką – niewielką sieć kawiarni na dworcach kolejowych.

W najlepszej kondycji przetrwały w Polsce dawne marki spożywcze. Przy czym – jeśli nie liczyć firm mleczarskich działających nieprzerwanie w formie spółdzielni – większość polskich marek należy dziś do zagranicznych korporacji. Przykładowo sprzedawana niegdyś w sklepach Pewex szynka Krakus to własność chińskiego Animexu, majonez Winiary to wyrób Nestlé, a fabryka czekolady Wedla – po wielu perypetiach – należy dziś do japońskiego koncernu Lotte.

Po ponad 30 latach od upadku PRL polskiego wsadu w polskiej gospodarce pozostało stosunkowo niewiele, choć i tak – w ostatnich latach – można odnotować pewien postęp. Przynajmniej odzyskaliśmy przytomność po nokaucie ze strony globalnych korporacji. A to już jest coś.

Fot. Shutterstock/Paceman



Neapol: w poszukiwaniu



JAN ROKITA

Dalej kultywuje się tu praktyki adopcji zmarłych. Wybiera się jedną anonimową czaszkę, poleruje ją, głaska, całuje, opiekuje się nią, a nawet umieszcza w specjalnej skrzyneczce, zakładając, że w zamian za to dusza właściciela czaszki pomoże nam w życiowych przedsięwzięciach

Przez długi czas niemal obsesyjnie powracałem co rok do Neapolu. Po trosze z powodu tego posępnego, ale intrygującego koloru: Neapol jest popielato-czarny, w charakterystycznym kolorze tufu z Wezuwiusza, którego zastygła lawa od 2,5 tys. lat służy tu za budulec. To miasto, które nieustannie rozwala się i sypie, podpierane przez wieki coraz to nowymi przyporami, byle tylko uniknąć zawalenia. Brudne, zaśmiecone i nigdy porządnie niesprzątane, bo za tę dziedzinę (jak piszą gazety, a potwierdzają mi to miejscowi w rozmowach) odpowiada camorra. Z piekielnie nierównymi jezdniami i chodnikami z wezuwiańskiego tufu, a w antycznym centrum zabudowane tak ciasno i pomysłowo, że szpilki nigdzie nie wciśniesz. Tu się to ładnie nazywa: „inglobalizato". Co znaczy, że np. na rzymskich murach stoi wulkaniczny dom z maleńkimi, średniowiecznymi okienkami, którego tylna ściana jest już wbudowana w barokowy pałac z bramą wjazdową wysoką na jakieś siedem metrów. A z kolei w uskoki pałacowych ścian są wciśnięte na różnych piętrach mansardki, tarasiki, antresolki z najróżniejszych okresów historii, nadal zamieszkiwane i używane przez ludzi. Wszędzie sypie się tynk, a balkoniki, którymi dochodzi się do części mieszkań, wyglądają tak, że strach na nie po prostu wejść.

PROCESJA CAMORRY

Tuż obok takiego zrujnowanego pałacu przy via Tribunali, gdzie zazwyczaj przemieszkiwałem podczas moich powrotów do Neapolu, nie tak dawno odsłonięto fragmenty rozległego rzymskiego amfiteatru. Wygląda to zabawnie, gdyż w poprzek odkopanej teatralnej widowni wiszą w powietrzu zamieszkiwane do dziś dnia pomieszczenia, które są częścią mieszkań tutejszej biedoty, z reguły składających się z dwóch izb: otwartej na zewnątrz kuchni i ślepej sypialni. W owym pałacu, będącym konglomeratem absolutnego chaosu architektonicznego, zamieszkiwałem w dziwnym lokum, zbudowanym w całości wewnątrz jednej izby o wysokości jakichś siedmiu metrów. Ale za to mogłem żyć w samym środku antycznego miasta, mając przed sobą pl. św. Kajetana (czyli centrum starożytnej agory) i dwie wielkie, powalające swoim pięknem bazyliki: św. Wawrzyńca franciszkanów i św. Pawła teatynów. No i przed oknem czarną ścianę kościoła św. Maryi od Dusz Czyścowych, ze znanym tutaj podziemnym ossuarium.

W tym kościele zgodnie z pradawnym obyczajem nadal odprawia się tylko

Fot. Shutterstock



innego życia

msze za dusze cierpiące w czyśćcu, ale ponieważ katolicka diecezja nie chciała już go prowadzić, został sprzedany jakiemuś stowarzyszeniu prawników. Kilkadziesiąt metrów dalej stoi jeszcze jedna potężna barokowa bazylika Girolamini, do której przez lata w żaden sposób nie mogłem się dostać. Obsługiwał ją bowiem tylko jeden stary ksiądz, którego zamknęli za kradzież inkunabułów z klasztornej biblioteki, razem z zaprzyjaźnioną z nim zakonnicą. Jak mi tu opowiadali, ksiądz ponoć tylko trzymał owe księgi u siebie w domu, a sprytniejsza od niego zakonnica sprzedawała je, więc ona poszła siedzieć, a ksiądz miał areszt domowy w jakimś klasztorze na prowincji. A bazyliki już nie miał kto otwierać.

Jednak we wnętrzu tej zdumiewającej ruiny, jaką jest neapolitańskie antyczne centrum, co krok można odnaleźć architektoniczne cuda, choć z reguły dobrze się trzeba wprzódy przypatrzeć, bo wszystko jest nadbudowane, dobudowane i przebudowane. Dobre dzieła sztuki spotyka się tu w nagromadzeniu trudnym do wyobrażenia dla nas – ludzi Północy.

Ale to, co do Neapolu przyciągało mnie najbardziej, to wartkie i głośne życie, które bodaj w żadnym innym znanym mi mieście europejskim nie jest tak ekspansywne, nieskrywane i pierwotne. Na centralnej via Tribunali żyje się pośród nawołujących się handlarzy warzyw i ryb, kramów i sklepików (sprzedających pierwszorzędne jedzenie i absolutny chłam wszelakich artykułów przemysłowych), motorów i taksówek przeciskających się przez wąskie ulice, blokowane przez hałaśliwe procesje śmieciarzy, którzy wczesną wiosną chodzą z feretronami Madonny dell'Arco, waląc w bębny, talerze albo co popadnie, bo to czas nowenny przed świętem ich patronki. Idący w tych procesjach chłopcy zbierają do czapek pieniądze, ale zaprzyjaźniony teatyn wyjaśni mi potem, że całe to święto i te procesje – to impreza camorry.

ZAŚLUBINY NA ZAMKU

Kiedyś wybrałem się, nie bez głębszego powodu, do Zamku Kapuańskiego przy końcu via Tribunali, który słynie z tego, że gdy Hiszpanie zdobyli Neapol (początek XVI w.) i zlikwidowali jego niepodległość, zamek przy Bramie Kapuańskiej stał się miejscem życia „smutnych królowych", czyli kilku nieszczęśliwych kobiet z królewskich rodzin, które nie dość, że straciły mężów, to znalazły się pod butem hiszpańskiego okupanta.

Były to wdowy po kolejnych królach Neapolu. Julia Gonzaga – najpiękniejsza i najbardziej rozumna kobieta renesansu, Beatrycze – odrzucona przez Władysława Jagiellończyka królowa Węgier (nie chciał w ogóle z nią spać po ślubie). I co dla Polaka najciekawsze, także Izabela, której mąż – dziwak i książę Mediolanu – umarł młodo, a bezwzględny wuj wziął po nim władzę (słynny Lodovico Moro) i wygnał księżnę wraz z córeczką o imieniu Bona. To właśnie owe „smutne królowe" stały się wychowawczyniami przyszłej wybitnej królowej Polski. I to na Zamku Kapuańskim w dzień św. Mikołaja 1517 r. odbyły się zaślubiny młodej księżniczki z królem Zygmuntem. Bona miała na sobie niebieską suknię, na którą naszyto pszczoły tłoczone w płatkach złota, a ślubu udzielał przybyły z polskim poselstwem archiprezbiter katedry wawelskiej, któremu asystowali biskupi i kardynałowie włoscy.

Już przed paroma wiekami zamek stał się jednak siedzibą trybunału, a potem policji, i nie można do niego wchodzić. Stałem więc dłuższy czas w wielkiej zamkowej bramie przed migającym szlabanem, próbując wyobrazić sobie uroczysty wjazd posłów

z Krakowa, kiedy zagadnął mnie policjant. Nie najlepszą włoszczyzną zacząłem mu opowiadać o weselu Bony jako przyczynie mojego zainteresowania zamkiem. Rozpromienił się, odszedł na moment, po czym wrócił z jakimś wyższym oficerem i licznymi kluczami. Oficer przedstawił się jako Daniło i zaproponował, że oprowadzi mnie po zamku. W efekcie spędziliśmy razem przeszło dwie godziny, a jego wiedza o zamku, kolejnych komnatach, dziełach sztuki, które się tam znajdują, i historii Bony oraz „smutnych królowych" okazała się zachwycająca! Zrozumiałem wtedy, że neapolitański oficer policji to ktoś kompletnie inny od policjanta w Polsce czy gdziekolwiek w Europie. I ma naprawdę ciekawsze rzeczy do roboty, niż siedzieć na posterunku, o ile tylko ktoś da mu po temu dobrą okazję.

Przypomniała mi się wtedy inna historia, która przydarzyła mi się podczas pierwszego pobytu w Neapolu, gdy jeszcze nie znałem miasta. Zgubiłem się w jakimś fatalnie oznakowanym miejskim autobusie, który wywiózł mnie na odległe peryferia. Na szczęście pojawiło się dwóch umundurowanych kontrolerów biletów, więc zaczepiłem ich, tłumacząc z rozpaczą w głosie, iż nie wiem, gdzie teraz jadę. To, co nastąpiło potem, zaskoczyło mnie jednak całkowicie: obaj kontrolerzy ochoczo porzucili sprawdzanie biletów, by wyłącznie zająć się moimi kłopotami. Wysiedli ze mną na jakimś przystanku i tam czekali wraz ze mną dalej na właściwy autobus, ponieważ uznali, że ja sam nie potrafię wytłumaczyć kierowcy, gdzie ma mnie wysadzić. Wszystko to musiało im zająć blisko godzinę, a śmieszności sytuacji dodawał fakt, iż kiedy prosiłem ich o pomoc, sam jechałem bez biletu, który wówczas nawet nie wiedziałem, gdzie kupić. Ale mój bilet w najmniejszym nawet stopniu nie był obiektem zainteresowania kontrolerów.



Na Zamku Kapuańskim w dzień św. Mikołaja 1517 r. odbyły się zaślubiny młodej księżniczki z królem Zygmuntem. Bona miała na sobie niebieską suknię, na którą naszyto pszczoły tłoczone w płatkach złota

WYCZUCIE KRUCHOŚCI LOSU

Od tamtego czasu wiem, że neapolitańczycy to ludzie, którzy tylko czekają na okazję oddania się choć na chwilę jakiemuś innemu, lepszemu życiu niż to, które przychodzi im wieść na co dzień. A praca – może zwłaszcza praca – nie jest w tym dla nich jakąkolwiek przeszkodą. Instynktownie poszukują innego życia, stąd zresztą chyba bierze się powszechna tu religijność.

Na cudzoziemcu robią wrażenie, jakby nie bardzo byli przywiązani do tego, kim są, co robią i czy osiągną w tym sukces. Wstają późno, sklepy otwierają po 9, chleb świeży i ryby przywożą koło 10, wczesno porannych mszy chyba nikt w mieście nie odprawia, potem siedzą na schodach, piją piwo, dużo i głośno rozmawiają. Jakby jakoś instynktownie ignorowali to swoje bytowanie. I zapalają się dopiero, kiedy coś się wydarzy: jakiś wypadek, awantura, zagubiony turysta albo ktoś, komu można opowiedzieć jakąś historię lub coś pokazać. Tak jak ci moi kontrolerzy biletów i policjant z Zamku Kapuańskiego. Czy można to nazwać neapolitańską postacią uduchowienia?

Pewnie tak, choć za tym idzie też kiepska praca, obojętność na sferę publiczną, brak troski o wygląd ulic, zanik poczucia estetycznego. To ostatnie jest zwłaszcza paradoksalne, skoro w przeciwieństwie do nas – Polaków, neapolitańczycy żyją na co dzień w nieprawdopodobnym magazynie rzeczy pięknych, stworzonych tu w ciągu stuleci. Goethe, który podróżował do Neapolu w 1787 r., nie bez racji napisał, że neapolitańczycy pracują nie po to, by żyć, ale by używać. A nasz Kazimierz Chłędowski (skądinąd poseł i minister) w pasjonujących „Historiach neapolitańskich" zauważył: „Tutaj zawsze król troszczył się o rządy, a lud, mający swe pomidory i makaron, cieszył się życiem". Opowiadali mi neapolitańscy teatyni, że mające rodzinę i pracującego męża kobiety potrafią zgłosić się do kościoła z propozycją, żeby w tym miesiącu zapłacić im rachunki za prąd i gaz, dzięki czemu będą mogły pojechać z dziećmi na lepsze wakacje. Chyba nigdzie w Europie poza Neapolem coś takiego nie byłoby możliwe.

Z tym się wiąże coś jeszcze, co jest tak charakterystyczne dla neapolitańczyków: instynktowne wyczucie kruchości naszego losu. Zawsze gdy przyjeżdżałem do Neapolu, robiłem długi spacer na cmentarzysko Fontanelle w biednej i mafijnej dzielnicy Sanita,

Fot. Stanislava Yaneva/Shutterstock.com



Fot. Shutterstock

położonej w rozległej rozpadlinie między wulkanicznymi wzgórzami, na których leży miasto. To tutaj najlepiej widać, że jest zbudowane na lawie i z lawy. Rzymianie całe to wybrzeże, od Wezuwiusza na wschodzie po Cumae (gdzie siedziała Sybilla) na zachodzie, nie bez powodu nazwali Polami Ognia – Campi Flegrei. Z tej zastygłej lawy od czasów Wielkiej Grecji ludzie wycinali kamienne bloki będące podstawowym budulcem miasta aż po XIX w. Tak powstały rozległe groty, które zwłaszcza w czasach zarazy adaptowano na cmentarze.

W grotach Fontanelle stoją tysiące uporządkowanych szkieletów: wzdłuż ścian równe stosiki, a to kości nóg (dłuższych), a to rąk (krótszych), i ciągnące się bodaj z kilometr rzędy czaszek. Niektóre z nich są wypolerowane, ozdobione kokardkami i zdjęciami współcześnie zmarłych. To efekt zakazanej już dawno przez bp. Ursiego, ale dalej kultywowanej praktyki adopcji zmarłych. Wybiera się jedną anonimową czaszkę, poleruje ją, głaska, całuje, opiekuje się nią, a nawet umieszcza w specjalnej skrzyneczce, zakładając, że w zamian za to dusza właściciela czaszki pomoże nam w życiowych przedsięwzięciach.

Może to być pomoc w kradzieży albo morderstwie, ale również w znalezieniu dobrego męża. Jest tu czczona, szczególnie przez neapolitańskie dziewczyny, czaszka pewnego Il Capitano, który ponoć jest fachowcem od znajdowania dobrych mężów. Z kolei w ossuarium św. Maryi od Dusz Czyśćcowych podobnej sławy zażywa niejaka Lucia, która przynosi upragnione dzieci, więc z wdzięczności jej czaszka jest przyozdobiona licznymi różowymi i niebieskimi kokardami oznajmiającymi narodziny. Skądinąd fakt narodzin jest tutaj tak doniosły, że oznajmia się go publicznie, wieszając w takich kolorach dużą, radosną kokardę na bramie domu, w którym ów cud się jednemu z mieszkańców przydarzył. Niby to nic nadzwyczajnego, to bliskie obcowanie neapolitańczyków z narodzinami i śmiercią, ze zmarłymi i ich szczątkami, ale jednak...

CUDOWNA KREW ŚW. PATRYCJI

W uliczce św. Grzegorza Armeńskiego, tuż przy „moim" pałacu, rozpościera się rozległy kompleks klasztorny św. Patrycji, w którym żyją i prowadzą szkołę zakonnice z Filipin. Ale ów klasztor przez prawie tysiąc lat należał do klauzurowych benedyktynek, które cieszyły się w mieście prestiżem, opieką władców i poczuciem bezpieczeństwa. W czasie licznych wojen, a po zjednoczeniu Włoch – także konfiskat klasztorów tu właśnie zwożono zewsząd dla bezpieczeństwa wszelkie relikwie. I tak jest tu dzisiaj w skarbcu głowa św. Grzegorza Oświeciciela – twórcy Armenii, sprowadzona przez uciekających z ojczyzny przed prześladowaniami mnichów ormiańskich, głowa św. Szczepana – przywieziona przez krzyżowców, skóra, kość i krew apostoła św. Bartłomieja, tłuszcz palonego żywcem św. Wawrzyńca, gardło św. Łucji, ząb św. Jana Ewangelisty, nie mówiąc już o drzewie Krzyża, gwoździu i gąbce, którą pojono Jezusa na krzyżu. Niektóre z tych skarbów chrześcijaństwa mają „certyfikaty" wydane jeszcze w średniowieczu. Jan Paweł II nakazał swego czasu wydać patriarsze ormiańskiemu głowę Grzegorza – najważniejszą relikwię Ormian, ale siostry odmówiły i dla zgody dały patriarsze tylko rękę.

Ale najważniejsza jest krew św. Patrycji. Ta bowiem, skrzepnięta na co dzień, rozpuszcza się w każdy wtorek rano, po mszy, jeśli w obecności relikwii modlą się uczciwi chrześcijanie. Te msze u św. Patrycji odprawiają pobliscy teatyni, wśród których bywało sporo Polaków. Byłem na takiej wtorkowej mszy celebrowanej rano we wtorek przez bystrego i świątobliwego Don Adamo, rodem z Jurkowa koło Limanowej. Dość dużo ludzi, mimo że to zwykły dzień pracy, a po mszy ojciec Adam odwraca z namaszczeniem relikwiarz św. Patrycji, pokazując, że faktycznie powoli krew zaczyna w nim kapać.

Nie wiem – po prawdzie – co o tym sądzić i czy mam ufać temu, co widziałem na własne oczy. Pytałem o to rozsądnego i pobożnego księdza, który z pewnym zakłopotaniem powiedział mi, iż bez żadnych wątpliwości krew św. Patrycji jest na co dzień skrzepła, a we wtorki, po intensywnych modlitwach, się skrapla.

Pytam go, czy myśli, że to jest cud. „Tak – powiada – to musi być jakiś rodzaj cudu, no bo jak to inaczej wyjaśnić?". Ten sam ksiądz uważa zresztą neapolitańczyków za lud zabobonny i jest za tym, by Kościół od tej ich zabobonnej wiary się dystansował. No ale krew św. Patrycji? Przecież skrapla się naprawdę, sam obserwuje to już od ośmiu lat! We wszystkich przewodnikach jest opisywany cud św. Januarego, który gromadzi tu we wrześniu tysiące ludzi. Ale ciekawsze są te wtorki św. Patrycji... Ostatecznie, skoro ludzie wierzą, że to jest znak, a świętych obcowanie zakłada możliwość znaków dawanych nam przez umarłych, to niby dlaczego nie miałby to być właśnie znak od św. Patrycji, w ten sposób umacniającej naszą wiarę w Inne Życie?

Zachęta nie będzie agendą kulturowej rewolty

O sukcesie artystów decyduje często wykreowany przez galerie komercyjne popyt na ich dzieła i środowiskowa afiliacja. Premiowane jest eksponowanie brzydoty i przekaz społeczno-polityczny. Chciałbym, żeby widzowie mieli szansę kontemplacji piękna – deklaruje ***dr Janusz Janowski***, dyrektor Zachęty – Narodowej Galerii Sztuki, w rozmowie z Maciejem Walaszczykiem

Prawie rok temu został pan dyrektorem Zachęty. Mamy od kilku tygodni wystawę „Kulisiewicz. Lapidarne piękno" zapowiedzianą jako programową. Oznacza zmianę kursu Narodowej Galerii Sztuki i jest manifestem estetycznym?

Janusz Janowski: Nie chciałbym przeceniać roli tej wystawy we wskazanym aspekcie, choć nie sposób pozbawić jej znamion pewnej deklaracji. Tadeusz Kulisiewicz był artystą na wskroś nowoczesnym. Z jednej strony wypracowany przez niego język wyrazu, który określam jako lapidarny linearyzm, był efektem poszukiwań i eksperymentów charakterystycznych dla czasów, w których tworzył. Ale z drugiej – i tu znajdujemy to, co jest dla mnie szczególnie ważne jako komunikat, który kieruję do widzów – Kulisiewicz wypracował swoją odrębność artystyczną także w oparciu o klasyczne rozumienie piękna. W odróżnieniu od bardzo wielu artystów nowoczesnych nie odrzucił tego klasycznego kryterium, sytuując je w centrum nowoczesnego w aspekcie formalno-wyrazowym języka sztuki, który wypracował.

A więc jest to przekaz do widzów zmęczonych sztuką nowoczesną, a także tych artystów, którzy zostawili przeszłość i eksperymentują?

Ten komunikat jest ważny szczególnie dzisiaj, a więc w czasach, w których sztuka jest nie do końca zrozumiała dla zwykłego widza, czującego wobec niej zakłopotanie i niepewność. Jest tak zwłaszcza wtedy, kiedy dzieło szokuje przekroczeniem standardów obyczajowych i estetycznych. Tymczasem artyści korzystają z tego typu strategii nierzadko z powodów promocyjnych. Nie sposób też nie dostrzec, że ważnym kryterium wyrazu artystycznego współczesnej sztuki jest turpizm, czyli eksponowanie brzydoty, oraz że warstwa narracyjna dzieła jest często wykorzystywana jako komunikat czy apel społeczno-polityczny. Dlatego prezentacja prac Kulisiewicza, pełnych piękna w rozumieniu tradycyjnym i należących jednocześnie do nowoczesnych nurtów sztuki, pozwala zrozumieć, że konieczny i naturalny rozwój sztuki nie musi wiązać się z całkowitym i radykalnym zerwaniem z jej przeszłością.

Będzie więc pan pokazywał tych, którzy tej tradycji nie zerwali, ale jednak już nie tworzą i odeszli? Czy młodzi, mniej znani artyści też myślą w podobny sposób? Tacy istnieją?

Oczywiście istnieją i chciałbym ich twórczość prezentować w Narodowej Galerii Sztuki obok wielkich retrospektywnych wystaw, takich jak „Kulisiewicz. Lapidarne piękno". W 2023 r.

planujemy zaprezentować artystów m.in. średniego pokolenia, ale i retrospektywną wystawę rzeźb Adolfa Ryszki, twórcy wybitnego i wciąż wpływowego w polskiej rzeźbie. Obok ważnych i zasłużonych artystów będą prezentowani także artyści najmłodszego pokolenia, chociażby podczas festiwalu malarstwa polskiego, który odbędzie się w końcu przyszłego roku.

Ale kto dokładnie? W tym środowisku to jest chyba najczęściej zadawane pytanie.

Na pewno także ci, którzy byli pomijani właśnie ze względu na kontestowanie swoją twórczością dominujących mód artystycznych.

Jakie reguły rządzą w świecie sztuk wizualnych? Kogo pokazują galerie? Na czym polega czy polegał mechanizm rozdziału prestiżu w świecie plastyków?

Dystrybucja prestiżu była i jest przede wszystkim realizowana przez promocję medialną, przy czym dominującym trendem pozostaje we współczesnym świecie sztuki promowanie twórczości artystów, których sztuka w sposób bezpośredni lub pośredni wspiera dominujący model kulturowy. Także rynek sztuki w wyniku aktywności właścicieli prywatnych galerii aktywnie uczestniczy w kreowaniu sukcesu artystycznego, pobudzając zainteresowanie wybranym twórcą szeroko zakrojonymi akcjami promocyjnymi. W rezultacie często to nie jakości formalno-wyrazowe gwarantują i jednocześnie uzasadniają sukces twórczości określonego artysty, lecz wykreowany przez galerie komercyjne popyt na jego dzieła czy środowiskowa afiliacja.

A więc wybór polityczny, wojna idei albo sztuka jako erzac wojny. Dlatego feminizm, pornografia, skandal, profanacja?

W pewnym stopniu tak, choć nie można zapominać o modzie jako motorze przyjmowania określonej postawy artystycznej. Dla mnie ważne jest zainteresowanie widzów dziełami ciekawych i wartościowych artystów, którzy nie znajdowali dotąd miejsca w programach instytucji kultury ze względu na wyrażane przez swoją twórczość przywiązanie do zachowania ciągłości artystycznej i kulturowej.

Tworzą, ale nie wystawiają? Tkwią w zamkniętych środowiskach, niszach?

Owszem, są aktywni artystycznie i wystawienniczo. Wystawiają w małych galeriach, w związku z czym docierają do ograniczonej grupy ludzi. W swoich środowiskach są znani, ale nie mogą się zaprezentować szerszej widowni. W świecie zdominowanym przez media, by zaistnieć, konieczna jest obecność w ich przekazie, zwłaszcza newsowym.

Liczy się przede wszystkim przekaz?

W jakimś sensie zawsze się liczył, chodzi jednak o to, by dotarł do widza. Naturalną drogą skutecznej realizacji takiego zamierzenia jest pośrednictwo wpływowych miejsc prezentacji i mediów. Sztuka zmienia swój charakter z kontemplacyjnego na perswazyjny, dlatego ważne jest przede wszystkim to, czy jej komunikat skutecznie

Fot. Andrzej Wiktor

dociera do widza. Pewnym sposobem jest wykorzystanie skandalu i brzydoty jako nośników treści.

Dlaczego ludzie tego nie chcą?

Każdy bez względu na poglądy polityczne i środowisko, z którego się wywodzi, posiada – w sposób przyrodzony – umiejętność dostrzegania piękna. Nie musimy się jej uczyć. Naturalnie wychwytujemy w naszym otoczeniu to, co jest piękne. Z czasem usubtelniamy jego postrzeganie, kształtując jednocześnie własny gust. Co ważne, ta umiejętność jest ważnym aspektem procesu poznania. Piękno przez wzbudzony w nas zachwyt kieruje naszą uwagę na element rzeczywistości i prowokuje akt poznania. Tymczasem turpizm radykalnie odwraca ten proces, zwracając nas w stronę tego, co odstręczające i chaotyczne. Piękno zatem jest czymś znacznie więcej niż jakąś formalistycznie rozumianą ładnością i jest niezbędne do duchowego rozwoju człowieka.

Przeradzającą się w kicz? Ludzie się w tym czasem lubują, wystarczy obejrzeć udostępniane obrazki na Facebooku.

Kicz to mechaniczne, pozbawione wrażliwości wykorzystanie artystycznych konwencji uznanych za dominujące. Nie posiada indywidualnego piętna i jest duchowo jałowy.

Jaka jest dziś wrażliwość ludzi? Od wieku żyjemy w społeczeństwie masowym. Jesteśmy zalani obrazem, który atakuje nas zewsząd już od dziecka. Kiedyś trzeba było jednak się postarać, by coś obejrzeć, np. w galeriach, muzeach. To kolosalna różnica. Czy nie mamy tutaj problemu?

W pewnym stopniu tak. Ilość bodźców wizualnych otaczających współczesnego człowieka jest ogromna. Są to przede wszystkim bodźce formułowane perswazyjnie: piktogramy rozmaitych marek komercyjnych, kilkunastosekundowe fabuły filmowe itd. Ta niezwykle efektywna metoda koncentrowania naszej uwagi redukuje ją do mechanicznego odruchu, tępiąc potrzebę poznania, zamieniając cel duchowy na utylitarny. Tymczasem podstawą recepcji sztuki klasycznej była kontemplacja, czyli doświadczenie duchowe o charakterze poznawczym, prowadzące jednocześnie do swoistego oczyszczenia i wyciszenia, odrywającego od trudu codzienności. Te cechy kontaktu z dawną sztuką wszystkich do niej przyciągały i nieustannie przyciągają. A współczesna wizualność metropolii i mediów oraz pewna część sztuki nie tylko pozbawia nas doświadczenia kontemplacji, ale i otacza wrzaskliwymi hasłami, skutecznie wpychając w wir konsumpcyjny i kulturowy konflikt.

> Dominującym trendem we współczesnym świecie sztuki pozostaje promowanie twórczości artystów, których sztuka w sposób bezpośredni lub pośredni wspiera dominujący model kulturowy

I takie rzeczy – dające możliwość ucieczki od tego chaosu ku kontemplacji, budowaniu naszej tożsamości – chce pan pokazywać w Zachęcie?

Tak, chciałbym, żeby widzowie mieli szansę kontemplacji niewyczerpanych artystycznych formuł piękna, a do tego byli prowokowani do pogłębiania swojego doświadczenia sztuki.

I dlatego został pan zaatakowany jako „zagrzewający do przyspieszenia dobrej zmiany w sztuce", „sięgający po zastępy nacjonalistów, wielbicieli kiczu i miernot", czy – jak ubolewała „Krytyka Polityczna" – dążący do „rozpaczliwej próby rekonstrukcji drobnomieszczańskiego wyobrażenia o prawdziwej sztuce". Naprawdę ich zabolało.

Tego rodzaju opinie dają wiele do myślenia. Ktoś, kto z uporem używa tego rodzaju kategorii jak „drobnomieszczański", dzisiaj anachronicznej i zespolonej z marksistowską wizją świata, więcej mówi o swoim wąskim pojmowaniu rzeczywistości niż o wadach swojego adwersarza. Podobnie jest z zarzucaniem przywiązania do kiczu (casus norweskiego malarza Odda Nerdruma) czy obrażaniem epitetami, które świadczą o braku merytorycznych argumentów i w konsekwencji potrzebą spostponowania przeciwników radykalnie progresywistycznej wizji sztuki. Trudno nie zauważyć, że niektórzy aktywiści chcieliby uczynić instytucje kultury agendami współczesnej rewolty kulturowej.

Tak jak teatry. Sztuka jako wojna ideologiczna?

Uważam, że wykorzystywanie sztuki do realizowania rewolucji społecznej i kulturowej redukuje ją do poziomu aktywizmu politycznego i ostatecznie banalizuje, pozbawiając wymiaru duchowego. Joseph Beuys, jeden z luminarzy sztuki tzw. awangardowej, był mimo to rzecznikiem tego rodzaju aktywności artystycznej. Przekonywał, że artyści powinni być liderami przemian społeczno-politycznych. W tym właśnie świetle należy rozumieć jego głośne hasło „każdy jest artystą". Uznawał, że sztuka jest narzędziem przemiany społecznej, a zatem każdy, kto jest zaangażowany w tego rodzaju rewolucję, zyskuje miano artysty.

Skąd zainteresowanie rewolucją wśród plastyków, co tu jeszcze rewolucjonizować? Wynoszą to z akademii, na których podobno już nie uczy się wielu technik malowania?

Jak wspominałem, jest to rezultat modnego w niektórych nurtach sztuki współczesnej kultu brzydoty. A żeby epatować brzydotą, nie trzeba mieć umiejętności manualnych, konieczne jest za to przełamanie swojej naturalnej potrzeby obcowania z pięknem. W konsekwencji modnych preferencji tylko nieliczni i mocno zdeterminowani studenci próbują rozwijać swoje umiejętności manualne i warsztatowe, najczęściej w mniejszej lub większej kontrze do dominującego na uczelniach nurtu eksperymentalnego i antyestetycznego. Ci adepci

sztuki swoją tożsamość artystyczną kształtują w oparciu o mistrzostwo formalno-wyrazowe i chęć twórczego włączenia się w ciąg tradycji artystycznej i kulturowej, z którą czują się związani. Na szczęście wciąż pojawiają się tacy artyści, mimo że są spychani przez dominujące tendencje w sztuce na margines, dzięki czemu ich twórczość nie zakłóca dominującej i bezalternatywnej narracji o progresywnej naturze sztuki.

Bo dyskusje na ten temat lewica prowadzi głównie między sobą?

Tak czy inaczej radykalna wolność w sztuce kulminuje ostatecznie w działaniach i obiektach enigmatycznych i efemerycznych, pozbawionych cech odrębności. Sztuka ujawnia się wówczas jedynie przez arbitralne wskazanie artysty na cokolwiek jako jej dzieło. Wyróżnia ją jedynie wola orzekającego.

A pana typy malarskie? Proszę wymienić ulubionych twórców?

Nie sposób wymienić wszystkich. Bliska mi jest cała sztuka, zwłaszcza malarstwo, ponieważ sam jestem malarzem. Na kolejnych etapach mojego artystycznego rozwoju różni twórcy i różne dzieła sztuki stanowiły dla mnie punkt odniesienia. Od zawsze jednak fascynuje mnie radykalna niekiedy odmienność malarstwa wielkich twórców, realizujących swoje dzieła w ramach konwencji przedstawiającej. Wbrew przyjętemu mniemaniu o oczywistej ze względu na wspólny model oraz tradycję warsztatową, jednorodności tej konwencji. Wystarczy porównać sposób malarskiego opisu postaci w wedutach Antonio Canale zwanego Canaletto (jego siostrzeńcem był Bernardo Bellotto, który malował Warszawę) ze sposobem, który stosował Claude Lorain, czy też sposób ukazywania pejzażu w późnych dziełach przez Williama Turnera i Caspara Davida Friedricha. Przykłady można mnożyć bardzo długo.

Czy możliwa jest jeszcze sztuka narodowa? Architektura zwykłych domów nie różni się od tej na Zachodzie, toniemy w morzu różnych wpływów. Czy na tym gruncie może narodzić się coś odrębnego?

Taka ewentualność zawsze istnieje, ale czy Polacy są w stanie wypracować charakterystyczną dla swojej wspólnoty konwencję artystyczną, odrębną nie tylko tematycznie, ale i formalnie? Sztuka rodzi się z indywidualnego doświadczenia duchowego oraz potrzeby przetworzenia go w dzieło i w tej formie przekazania innym. Ma zatem wymiar wspólnotowy. Ale czy potrafimy dzisiaj precyzyjnie opisać naszą wspólnotę narodową, znaleźć wartości, idee oraz wydarzenia łączące wszystkich jej członków? W rzeczywistości jest pęknięta na pół. Dla znacznej części członków naszej wspólnoty samo pojęcie narodu bezpowrotnie straciło swoją konstytutywną moc, w konsekwencji także tworzenie sztuki narodowej straciło swoje uzasadnienie. Odnaleźć formę sztuki o cechach narodowych mogą przede wszystkim ci artyści, którzy doceniają formacyjną doniosłość zasadniczych wspólnot: rodzinnej, narodowej, państwowej i religijnej. Takim artystą był w przeszłości chociażby Jan Matejko, ilustrujący wydarzenia zwrotne w naszych dziejach. Interesującym przykładem są też artyści wywodzący się z religijnej tradycji wschodniego chrześcijaństwa traktujący formalny aspekt ikony jako istotny punkt odniesienia dla swojej sztuki. Z kolei polscy artyści okresu międzywojennego stworzyli styl narodowy, najpowszechniej zrealizowany w architekturze, odwołujący się do tradycji ludowych i łacińskich. W malarskiej redakcji Zofii Stryjeńskiej polski styl narodowy odniósł spektakularny sukces podczas Wystawy Światowej w Paryżu w 1925 r., przynosząc artystce aż pięć nagród. Okazało się wówczas, że Polacy poważnie zainteresowali swoją sztuką świat, kiedy zwrócili się w niej do partykularnych, narodowo-ludowych tradycji, nie rezygnując przy tym ze związku z europejskim łacińskim kodem kulturowym.

> Uważam, że wykorzystywanie sztuki do realizowania rewolucji społecznej i kulturowej redukuje ją do poziomu aktywizmu politycznego i ostatecznie banalizuje, pozbawiając wymiaru duchowego

Tylko dzisiaj nie mamy już ludu. Do czego się odwołać?

Zawsze na końcu procesu dezintegracji, podczas którego tracą na znaczeniu kolejne przypadłości, pozostaje duchowa istota wspólnoty. A jądrem naszej wspólnotowości od momentu chrztu Polski, niezależnie od wszystkich tych jej członków, którzy są gotowi protestować i obrazić się na takie dictum, jest katolicyzm. Jego porządek moralny oraz wypracowany w oparciu o niego porządek społeczny stanowią bazę kulturową głębiej w nas ukorzenioną, niż powierzchownie sądzimy. Ujawnia się w naszym stosunku do ludzi zagubionych, słabszych i potrzebujących pomocy. W tej duchowej spuściźnie tkwi tajemnica spektakularnej wielkoduszności i bezinteresowności Polaków wobec Ukraińców cierpiących z powodu wojny. Ona pozwala nam w takich chwilach przezwyciężać skrywane pretensje oraz zadawnione niechęci i wzbudzić potrzebę niesienia pomocy czy bez obaw zaprosić do własnego domu. Warto dogłębnie rozważyć tę kwestię. Okazuje się, że w ekstremalnych sytuacjach nie wiąże naszej zbiorowej woli determinizm, utylitaryzm czy pragmatyzm, tak konstytutywne dla społeczeństw zachodnich. Nie wolno tracić tych faktów z oczu, kiedy myślimy o naszej narodowej odrębności. Wydaje się, że jedynie w oparciu o ten duchowy kapitał można odrodzić wspólnotę narodową i zrodzić sztukę, afirmującą jej wyjątkowość.



Harry i Meghan,

czyli z życia kabotyńskich, postępowych sfer

To mogłoby być coś dużo lepszego niż opera mydlana – baśń o tym, jak książę pokochał dziewczynę z ludu i wbrew rodzinie oraz potężnej królowej poślubił ją, by jak poddani wieść życie skromne, ale miłości i posługi pełne. Nie ma jednak wzruszającej opowieści romansowej ani łzawej historii na portale plotkarskie. Jest kiczowata psychodrama „Paniczyk i prostaczka"



DARIUSZ MATUSZAK

Netflix właśnie emituje serial „Harry i Meghan" o pełnym cierpienia życiu wnuka królowej Elżbiety II i jego żony, amerykańskiej aktorki telewizyjnej. Nie będziemy zajmować się recenzowaniem dzieła, bo zrobili to inni i nie chce się nam tego wszystkiego oglądać. Nudzi ulewanie żalów, odgrywanie ofiary, wywlekanie rodzinnych spraw, a widok faceta, który na wojnie helikopterem latał, dwa bieguny zdobył, a teraz siedzi na kanapie i jęczy, że jest prześladowany przez ciotki, wujków, szwagierkę – wywołuje zażenowanie. Camilla Tominey z „The Daily Telegraph" twierdzi, że serial to bezwstydna historia narcyzów. Rhiannon Mills ze Sky News mówi o paranoi pary, która nagrywała swoje łzawe chwile, albo też o zmyśle handlowym, który podpowiadał, że ekshibicjonistyczne nagrania dobrze się sprzedadzą. Najbardziej znany brytyjski publicysta Piers Morgan pisze: „Kto jest teraz największą ofiarą na świecie? Można myśleć, że bombardowani, ostrzeliwani i gwałceni przez barbarzyńskich najeźdźców Putina biedni ludzie z Ukrainy. Albo ci, których życie zostało zrujnowane przez pandemię COVID-19... Ale nie. Największymi ofiarami na świecie są Meghan Markle i książę Harry, para niewiarygodnie bogatych, niesłychanie uprzywilejowanych, obrzydliwie ustawionych narcyzów".

Darujmy więc sobie analizę emocjonalnego ekshibicjonizmu w psychodramie, jest ona bowiem tylko serialową ilustracją tego, co już o parze wiadomo. Ważna jest bowiem nie kiczowata historia małżeństwa celebrytów, ale opowieść o tym, jak wzmożona ideologicznie lewica z jej miazmatami chce zbrukać, zmienić w intelektualną tandetę wszystko, czego się tknie. W tym przypadku ponad tysiącletnią tradycję monarchii z jej wszystkimi fundamentami dla państwa, pięknem form, trwałością. Coś, co w świecie gorączki, ideologicznego pobudzenia (woke), mód, rzeczy jednorazowych jest niezmienne, trwa i może być punktem odniesienia. Latarnią morską dla obyczaju i kultury.

ŚWIEŻA, POSTĘPOWA KREW MONARCHII

Gdy w 2018 r. Harry i Meghan brali ślub, miało być pięknie i postępowo. Dzięki mezaliansowi dom Winsdorów, a właściwie Saxe-Coburg und Gotha Schleswig-



Fot. Netflix

-Holstein-Sonderburg-Glücksburg, wchodził w świat postępującego postępu, równej równości i czego tam jeszcze. Niemal 100 lat wcześniej stryjeczny pradziadek Harry'ego, wielbiciel Hitlera, król Edward VIII, został zmuszony do abdykacji po tym, jak związał się z amerykańską rozwódką Wallis Simpson. A tu proszę, rozwódka Markle nawet została przed ślubem ochrzczona (poprzedni jej związek był urzędowy), a już ostateczną oznaką tego, że monarchia odrzuca imperialne i rasowe uprzedzenia i wchodzi w XXI w., miało być to, że w żyłach książęcej oblubienicy płynie murzyńska krew. Monarchia ostatecznie odrzucała kolonialne dziedzictwo. Hollywood, ba, cała Ameryka, były zachwycone – oto mają swoją księżniczkę.

Brytyjczycy szybko się przekonali, że takiego snoba, kogoś tak pretensjonalnego jak aktorka Markle jeszcze w rodzinie królewskiej nie było. To nie jakaś zwykła dziewczyna, choć celebrytka, tylko osoba specjalnego gatunku. Jej oficjalni, dworscy biografowie wywiedli nawet, że jej przodkiem był panujący w XIV w. w Anglii król Edward III Plantagenet. Takiej królewskiej mości trzeba też specjalnych pieleszy, więc Markle kazała przerabiać za wielkie pieniądze podatników pałac Kensington i Frogmore Cottage, gdzie para pomieszkiwała. Najmodniejsi projektanci czuwali, czy aby specjalne wegańskie farby nasączone olejkami eukaliptusa i rozmarynu dobrze są kładzione, a pokoje dla dzieci wystarczająco neutralne genderowo. Skandale z Markle wybuchały coraz częściej, bo tak się wczuła w wielkopańskie maniery, że pomiatała służbą (pałac Buckingham wszczął nawet specjalne dochodzenie) i wszystkie jej zachcianki musiały być zaspokajane.

Markle miała kłopoty z nauczeniem się nowej roli. Za nic nie mogła np. zrozumieć, że jako księżna Sussex, członkini królewskiego domu, nie może przyjmować podarków od firm jak jakaś aktorka i stawać się jak nasi celebryci ambasadorką garnków czy ortopedycznego obuwia. O wszystkim tym media brytyjskie skwapliwie donosiły. Nie chodzi o klimaty plotkarskie z życia sfer, ale o coś poważnego – państwowotwórczą rolę rodziny królewskiej. Jej członkowie są na służbie monarchii i państwa. Utrzymuje ich też podatnik, a oni muszą na to zapracować. Markle miała więc odwiedzać szkoły, schroniska dla bezdomnych i zwierząt, zaszczycać ceremonie otwarcia i pochówku, wygłaszać krzepiące gadki, przytulać dzieci, namawiać do oddawania butelek do skupu i sprzątania po psach, pocieszać staruszków, a wszytko to z królewską klasą i dostojeństwem, wszak reprezentowała Imperium Brytyjskie. Ale to było nudne – spotykać się z plebsem po szpitalach, dygać z gracją, przestrzegać etykiety i uśmiechać się albo ocierać łzy ze wzruszenia, że właśnie ktoś uratował planetę, bo wymyślił, że będzie robić grzebienie z zużytych opon. Z bycia księżniczką fajne są przywileje, służba, ochrona, noszenie biżuterii, limuzyny i posiadłości, pokazywanie w telewizji itd., ale nie nudy na imprezie kombatantów inwalidów.

ZGRZYBIALI PROFESOROWIE I BEZPŁCIOWE DZIECI

Brytyjski podatnik chciał wiedzieć, za co funduje zabawki jaśnie pani i nie mógł doczekać się odpowiedzi. Słyszał za to z jej ust, w jakim okropnym, zacofanym, rasowo uprzedzonym, odpowiedzialnym za kolonializm kraju żyje. Markle nie szczędziła mu bowiem najnowszych, postępowych kretynizmów. I tak w czasie wizyty na Uniwersytecie Londyńskim jako patronka Stowarzyszeniu Uniwersytetów Wspólnoty Narodów oznajmiła, że trzeba zmienić brytyjskie uczelnie pod kątem różnorodności rasowej. Markle była zszokowana zbyt dużą liczbą białych mężczyzn profesorów i została ambasadorką „dekolonizacji" uniwersytetów, które powinny pozbyć się „zgrzybiałych bladych mężczyzn" (male, pale and stale). Sposobem na to jest przyjęcie rasowych kryteriów zatrudnienia jak na uniwersytetach amerykańskich. Coś jak w PRL, gdy przy egzaminach na studia przyznawano punkty za właściwe pochodzenie – robotnicze albo chłopskie.

Para oznajmiła też, że będzie wychowywać swoje dzieci bezpłciowo czy tam genderowo neutralnie. Niby-chłopiec Archie i niby-dziewczynka Lilibet, ale nie wiadomo, kim zostaną, jak dorosną. To akurat prawda – nie wiadomo, co z takich płciowo neutralnych dzieci wyrośnie. Ale Harry i Meghan mieli też bardzo dobrą nowinę dla swoich poddanych. Otóż nie będą się więcej rozmnażać, a to z powodu troski o planetę. Dziecko zostawia ślad węglowy i zaludnia zatłoczoną planetę. Doceniła to organizacja ekofanatyczna Population Matters i nawet uroczyście wręczyła parze nagrodę.

SKOMLĄCE PIJAWKI

Fochy, kłótnie z rodziną, podważanie autorytetu królowej trwały dwa lata, aż poddani zaczęli mieć dość. Piers Morgan swój artykuł w „Daily Mail", w którym wezwał do pozbawienia pary tytułów i przywilejów, zaczął od pytania: „Kim do ku..y nędzy oni myślą, że są?". Morgan nazwał Harry'ego i Markle żałosnymi błaznami, którzy chcą żyć jak celebryci i zarabiać na swojej popularności oraz statusie członków rodziny królewskiej, a nie różnią się od Kardashianów. Zaapelował, by królowa „pozbyła się tych skomlących,

maniakalnie egoistycznych, mających urojenia pijawek".

Słowa były ostre, ale nieprzesadne. Markle za nic miała obowiązki członka rodziny królewskiej wobec państwa, lojalność, szacunek dla form i statusu, którym zawdzięczała swoje przywileje. Chciała żyć jak bajecznie bogata celebrytka, a monarchia była tylko czymś, na czym można zarobić. Sprytna kobieta wymyśliła królewski biznes. Zarejestrowała miano „Sussex Royal" jako znak towarowy, by handlować rzeczami oznaczonymi monarszymi insygniami. Korona zarabia na sprzedaży pamiątek – firma analityczna Brand Finance szacuje, że 150 mln funtów w „normalny" rok (gdy nie ma ślubu czy pogrzebu), ale jest to biznes obwarowany wieloma ograniczeniami. Tymczasem Markle chciała stworzyć nie tylko konkurencyjny brand, lecz także go spospolitować, niemal wywlec na bazary symbole monarchii. W Urzędzie Własności Intelektualnej Zjednoczonego Królestwa (UKIPO) zarejestrowano królewskie insygnia na długopisach, kubkach, czapkach, łapciach, szlafrokach itd. i być może brakowało tylko ciupag i drewnianych popielniczek z głową orła.

JEJ WYSOKOŚĆ KSIĘŻNA PREZYDENT

Handel to miał być pomysł na życie po Megxit – rozstaniu się z rodziną królewską, porzuceniu obowiązków i przeprowadzeniu do Kanady i USA. Para, jak sama opowiada, uciekła od rasistowskiej, uosabiającej okropieństwa kolonializmu sztywnej rodziny, by wieść życie skromne, z dala od mediów i poświęcić się działaniu na rzecz ludzkości.

Z kupczenia symbolami monarchii nic nie wyszło, bo Elżbieta II stanowczo się sprzeciwiła. Książę i aktorka jednak sobie poradzili. Postanowili zarabiać na robieniu tego, co kochają najbardziej, czyli na pokazywaniu się. Stąd m.in. kontrakt z Netflixem na 100 mln dol. i występy w sześcioodcinkowym serialu „Harry i Meghan". Książę inkasuje też pięciocyfrowe kwoty za uświetnianie imprez. Ot, jakiś bank robi zlot dla sprzedawców, to Harry wygłasza mowę motywacyjną.

W 2021 r. złamali jedną z podstawowych zasad – neutralności politycznej i zaangażowali się w kampanię wyborczą po stronie Joe Bidena. Harry wygłosił nawet pełną lewicowych komunałów pogadankę o mowie nienawiści i dezinformacji. Pałac Buckingham ze wstydem odcinał się i oświadczył, że to komentarze prywatnej osoby. A Markle zaczęła dawać do zrozumienia, że być może kiedyś sama wystartuje po prezydenturę.

> Markle miała kłopoty z nauczeniem się nowej roli. Za nic nie mogła np. zrozumieć, że jako księżna Sussex, członkini królewskiego domu, nie może przyjmować podarków od firm jak jakaś aktorka i stawać się jak nasi celebryci ambasadorką garnków czy ortopedycznego obuwia

Para na swój sposób podzieliła się rolami. W kolejnych przedstawieniach Amerykanka Markle opowiada, jak złe było i jest Imperium Brytyjskie, a Brytyjczyk Windsor, a właściwie Glücksburg, mówi, jak paskudna jest Ameryka. Tak było choćby w czasie lipcowego wystąpienia w ONZ z okazji Dnia Nelsona Mandeli, gdy Harry mówił, że wojna na Ukrainie i orzeczenie Sądu Najwyższego USA, iż aborcja nie jest prawem gwarantowanym konstytucyjnie, są zagrożeniem dla wolności i demokracji. Mieszanie tragedii wojny z aborcją na życzenie, pouczanie kraju, w którym się ledwie od roku mieszka, i to z pozycji człowieka, który wszystko zawdzięcza swojemu urodzeniu, było wyjątkowo żałosne, i brytyjskie media przyjęły to ze wstydem. Tak są odbierane kolejne występy pary, przy czym Harry jest traktowany jako pantoflarz, człowiek pozbawiony poglądów, uzależniony od swojej starszej żony.

CELEBRYCI A MONARCHOWIE

Być może to dobrze, że monarchii przytrafiła się kiczowata historia małżeństwa Markle (tak powinni się nazywać). Korona jest opoką Wielkiej Brytanii. Stałym punktem na mapie szalejącego od zmian świata z coraz głupszymi nowinkami i życiem jak fast food – chwilową przyjemnością, prostym zaspokojeniem. Monarchia ze swoim rytuałem, kostiumem i porządkiem jest przystanią, wyobrażonym ideałem i marzeniem. O tym, jak wielkie znaczenie ma dla Brytyjczyków, jak stanowi o ich tożsamości, świat mógł się przekonać po śmierci królowej Elżbiety II. A tu ot, pewnego dnia na królewskim dworze pojawia się amerykańska hostessa, aktorka z seriali klasy B i mówi: ja wam tę całą monarchię zreformuję, zrobię z niej nowoczesną i postępową ekofeministyczną organizację LGBT+, nauczę równej równości i wprowadzę was, dziadersi, w XXI w.

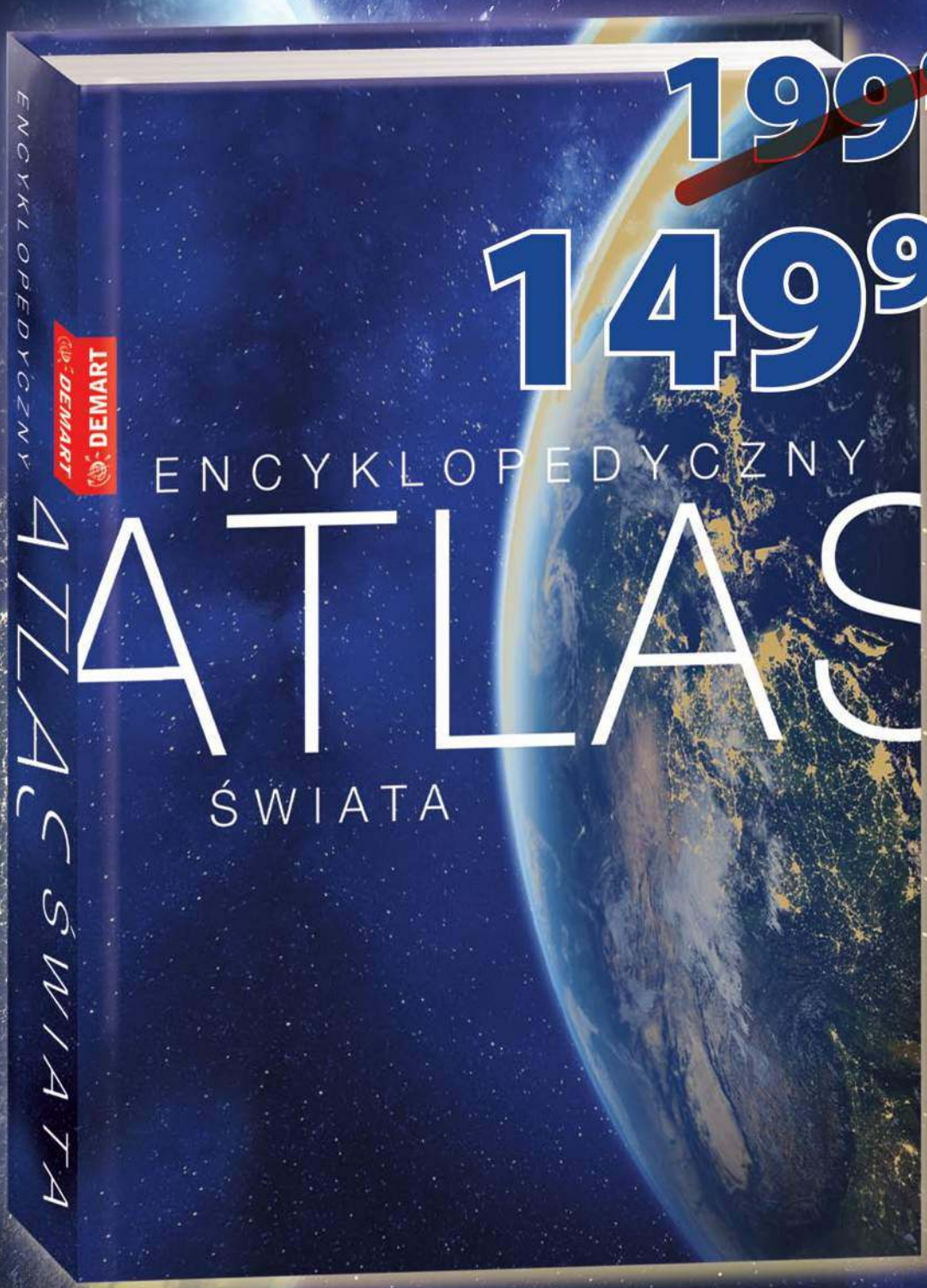
Celebryci mają siłę przyciągania, zwracają się ku nim oczy, więc może to dobrze, że tacy jak jaśniepaństwo Markle ucieleśniają nędzę moralną i intelektualną lewackiego aktywizmu. Nikt tak nie pokaże obłudy jak oni, latając prywatnym samolotem na zloty obrońców planety, użalając się nad afrykańskimi dziećmi i jednocześnie pozywając królową do sądu o nieopłacanie im ochroniarzy w USA. Harry i Meghan – kawiorowa lewica w najwyższym gatunkowo, arystokratycznym wydaniu.

Być może dzięki tym próżnym ludziom sami Brytyjczycy bardziej docenią konserwatyzm, siłę tkwiącą w niezmienności zasad, intelektualnej stałości. Dostrzegą bezmiar pychy tych wszystkich, którzy z taką łatwością i bezmyślnością odrzucają coś, co tyle pokoleń budowało i przekazywało potomnym. Jakże żałośnie wyglądają ze swoimi żalami, ckliwymi historyjkami, gdy wspomnimy niedawno zmarłą drobną staruszkę Elżbietę z jej śmiesznymi, niemodnymi torebkami i kapelusikami, tę, która przez ponad 70 lat dawała oparcie Brytyjczykom, była uosobieniem państwa i jego tradycji. Łatwiej pojąć, że pobudzeni, pretensjonalni aktywiści, ludzie jak Harry i Markle nigdy niczego nie budują.

Reklama | 72/1122/F

DEMART

ŚWIAT DO TWOJEGO DOMU



~~199,90~~

149,90

www.demart.com.pl

Tutaj kupisz w promocji świątecznej z darmową wysyłką



Strategia zrównoważonego rozwoju PKN ORLEN

Narodowy czempion wytycza szlak transformacji

Budowa największego w naszej części Europy koncernu multienergetycznego, którym stał się PKN ORLEN po fuzjach z Lotosem i PGNiG, nakłada na przedsiębiorstwo dodatkową odpowiedzialność. Świadomy tej konieczności ORLEN jako lider i najważniejszy podmiot w całej polskiej gospodarce wskaże kierunki transformacji energetycznej naszego kraju, z poszanowaniem i odpowiedzialnością za społeczeństwo i środowisko

Agenda 2030 zaprezentowana przez ONZ może budzić kontrowersje i obawy wśród społeczeństw, czemu trudno się dziwić, bo człowiek najczęściej lęka się tego, co nieznane. W Polsce, w której energetyka jest oparta na węglu, podkreślanie wagi takich celów jak szybkie wdrożenie założeń gospodarki zrównoważonej, neutralnej dla środowiska, także może budzić niepokój. W przezwyciężeniu tych obaw może pomóc zapoznanie się ze Strategią ORLEN 2030. To plan opracowany przez największą polską spółkę, która ma kolosalne przełożenie na działania setek innych podmiotów funkcjonujących w naszej gospodarce. Stratedzy lidera opracowali koncepcję, która pokazuje, że Polska ma w swoich rękach narzędzia i możliwości, by z jednej strony wpisać się w globalne oczekiwania transformacji energetycznej, a z drugiej przeprowadzić ten proces z korzyścią i w sposób niegodzący w dobrostan polskich obywateli i firm.

LIDER EUROPY ŚRODKOWEJ

Strategia zrównoważonego rozwoju PKN ORLEN to kilkanaście projektów, które głównie koncentrują się na zarządzaniu ryzykiem środowiskowym oraz na tworzeniu wartości społecznej. Ochrona klimatu, zrównoważona gospodarka surowcowa, zrównoważone – a zatem odporne na globalne ryzyka – łańcuchy dostaw, społeczna odpowiedzialność czy skuteczne zarządzanie ryzykiem klimatycznym to podstawowe filary strategii, która oczywiście zakłada też wdrożenie modelu ESG w wewnętrznej strukturze korporacyjnej PKN ORLEN. W swojej strategii zrównoważonego rozwoju koncern przekształca wyzwania związane ze zmianami klimatu w nowe możliwości. I nie ukrywa, że chce stać się liderem transformacji energetycznej w Europie Środkowej.

Tekst powstał we współpracy z partnerem komercyjnym | 27/1222/F

eprasa.pl 52ff5dafe5

140 MLD NA INWESTYCJE

Strategia biznesowa PKN ORLEN zakłada ambitną agendę zrównoważonych i zielonych inwestycji, na które w ciągu najbliższej dekady koncern przeznaczy ok. 1/3 nakładów inwestycyjnych. ORLEN odważnie sięga po zielone finansowanie, które najbardziej się opłaca. Koncern wyemitował obligacje zrównoważonego rozwoju i zielone euroobligacje. Pierwsza w historii przedsiębiorstwa i Polski benchmarkowa emisja zielonych euroobligacji spotkała się z ogromnym zainteresowaniem inwestorów. Popyt na zielone obligacje PKN ORLEN aż sześciokrotnie przewyższył wielkość zakładanej emisji. Zrównoważone finansowanie jest jednym z filarów osiągnięcia celów dekarbonizacyjnych koncernu.

Transformacja PKN ORLEN w kierunku grupy multienergetycznej jest oparta na energetyce odnawialnej i gazowej, efektywnej, niskoemisyjnej produkcji rafineryjno-petrochemicznej, własnym wydobyciu węglowodorów oraz zintegrowanej ofercie dla klientów indywidualnych. Do 2030 r. Grupa ORLEN przeznaczy na inwestycje łącznie 140 mld zł, aktywnie zarządzając portfelem projektów biznesowych. Największa część nakładów inwestycyjnych zostanie przeznaczona na segmenty, które w najlepszy sposób realizują ambicje strategicznego rozwoju spółki. Ok. 85 mld zł zostanie ulokowane w nowe, perspektywiczne obszary związane przede wszystkim z energetyką odnawialną i zaawansowaną petrochemią. Z kolei na zwiększenie efektywności obecnych aktywów grupa przeznaczy 55 mld zł. Ważną częścią transformacji będzie produkcja paliwa przyszłości, którym jest wodór.

WODÓR – PALIWO XXI W.

Strategia wodorowa Grupy ORLEN stanowi z jednej strony rozwinięcie ambitnych planów dekarbonizacyjnych koncernu, a z drugiej jest odpowiedzią na szybko zmieniające się otoczenie rynkowe i regulacyjne. W ramach programów zawartych w strategii wodorowej ORLEN planuje do 2030 r. zredukować emisję CO_2 w już istniejących instalacjach produkcji wodoru dzięki takim technologiom jak wychwytywanie, wykorzystanie i magazynowanie dwutlenku węgla. Grupa zbuduje też wiele nowych jednostek wytwórczych wodoru w oparciu o instalacje elektrolizy i bazujące na odnawialnych źródłach energii. Kolejnym ważnym elementem zapisanym w strategii jest wdrożenie technologii przetwarzania odpadów komunalnych w kierunku wodoru. Dodatkowo ORLEN planuje zająć na rynku istotną pozycję jako dostawca i odbiorca w europejskiej sieci przesyłu wodoru.

7,4 mld zł
To wartość planowanych nakładów inwestycyjnych w ramach realizacji strategii wodorowej Grupy ORLEN z ambicjami na zwiększenie nakładów w perspektywie długoterminowej

540 MW
Tyle dzięki inwestycjom koncernu do 2030 r. powstanie nowych mocy nisko- i zeroemisyjnego wodoru, w tym z wykorzystaniem technologii elektrolizy wody zasilanej OZE oraz przetwarzania odpadów komunalnych. Z ambicją na 1 GW w perspektywie długoterminowej 2030+

50 proc.
produkowanego w Grupie ORLEN wodoru do 2030 r. będzie nisko- lub zeroemisyjne, z ambicją na blisko 80 proc. w perspektywie długoterminowej 2030+



Fot. Materiały prasowe

FIRMA CYFROWA

Osiągnięcie celów transformacji energetycznej i odpowiedzialności środowiskowej ma ścisły związek z digitalizacją koncernu. Cyfryzacja jest istotnym wsparciem wykorzystania innowacji przy przekształcaniu firmy w nowoczesną i napędzaną nowymi technologiami. W PKN ORLEN powstał nawet specjalny raport, zatytułowany „Nie ma dekarbonizacji bez digitalizacji. Zrównoważony rozwój potrzebuje technologii cyfrowych", który w kompleksowy sposób pokazuje, co łączy te dwa trendy i jakie rozwiązania digitalizacyjne wspierają zmniejszanie śladu węglowego. ORLEN w ostatnich latach zdigitalizował przebieg wielu procesów produkcyjnych, dzięki czemu zoptymalizowano zużycie surowców i energii, a w rezultacie zmniejszono emisyjność. Osiągnięto w ten sposób cele środowiskowe przy jednoczesnym rozwoju i korzyści biznesowej. Druga gałąź digitalizacji dotyczy relacji z klientami, ORLEN jest w ścisłej czołówce polskich firm udostępniających swoim klientom różnorodne kanały interakcji cyfrowej.

Digitalizacja może również wesprzeć redukcję emisji gazów cieplarnianych, wpływając na decyzje konsumentów, tworzenie nowych modeli biznesowych czy transformację procesów i systemów. Dlatego jest kluczowe, by przedsiębiorstwa przy planowaniu działań w obszarze zrównoważonego rozwoju uwzględniały możliwość wykorzystania takich technologii jak internet rzeczy, sztuczna inteligencja czy sieć 5G.

W Grupie ORLEN nie tylko zdecydowano się na przeprowadzenie transformacji energetycznej, ale też opracowano i wdraża się plan, który ma efektywnie pogodzić cele środowiskowe i społeczne oraz biznesowe. Droga do osiągnięcia całkowitej neutralności emisyjnej Grupy ORLEN, która ma zostać osiągnięta w 2050 r., wiąże się z dużym wysiłkiem organizacyjnym, ale otwiera też wiele możliwości rozwojowych i daje nadzieję, że największa polska firma wytyczy szlak, którym podąży wiele innych istotnych dla polskiej gospodarki podmiotów.

eprasa.pl 52ff5dafe5

Anna, która nie spadła z konia

Jeśli nawet Milena Staszuk przyciąga urodą średniowiecznej Madonny z Krużlowej, to grana przez nią bohaterka – Anna Cylejska, druga żona Władysława Jagiełły – oprócz królewskiej klasy ma w sobie wiele ponadczasowej energii. TVP rozpoczyna właśnie emisję 125-odcinkowego serialu „Korona królów. Jagiellonowie”

*Z aktorką **Mileną Staszuk** rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna*

Za chwilę specjalny, świąteczny pokaz, a od stycznia już regularna emisja. Odlicza pani czas do premiery serialu „Korona królów. Jagiellonowie”?

Milena Staszuk: Tak, przez cały rok codziennie na planie skupiałam się na swojej postaci, a teraz czuję, że za chwilę oddam ją widzom. Już nie będzie tylko moja. To przyjemne i stresujące jednocześnie. Czy widzowie pokochają ją tak, jak ja ją pokochałam? 26 grudnia zaplanowaliśmy przy świątecznym stole u dziadków obejrzeć ten pierwszy specjalny odcinek wszyscy razem, z całą moją najbliższą rodziną. To będzie dla mnie symboliczny moment – jednoczesny koniec i początek.

W serialu gra pani Annę Cylejską, drugą żonę Władysława Jagiełły.

Kiedy dostałam tę rolę, byłam zarazem najszczęśliwsza i najbardziej przerażona na świecie, myśląc o tym, że to wielka szansa i duża postać do zagrania z ciekawym, nieoczywistym charakterem. Na pewno byłam zafascynowana tym, jak wiele możliwości stwarza, i przytłoczona odpowiedzialnością, jaka na mnie spoczywa. W końcu to główna rola kobieca w 125-odcinkowym serialu!

Przypomnijmy, kim była Anna Cylejska.

Była wnuczką Kazimierza Wielkiego. Jej rodzice to Anna, córka Kazimierza Wielkiego, oraz Wilhelm, hrabia Cylii (leżącej na terenie obecnej Słowenii). Kiedy Anna przybyła na Wawel, by stać się drugą żoną polskiego króla (ponoć wskazała ją przed śmiercią sama królowa Jadwiga), miała niecałe 20 lat (nie znamy dokładnej daty jej urodzenia). Jagiełło był mężczyzną 40-letnim.

Jak odnalazła się na polskim dworze?

Nie znała języka (mówiła po niemiecku). Wszystko było dla niej nowe, łącznie z rolą królowej. Na dodatek zajęła miejsce Jadwigi, uwielbianej władczyni i żony, którą dobrze wspomina Jagiełło. Poprzeczka dla Anny Cylejskiej została ustawiona wysoko.

Jak radzi sobie na Wawelu bohaterka serialu?

Wspomaga ją jej dziewczęcość, niewinność i ufność w to, że jeśli podejmie wyzwanie, uda się jej zaskarbić przychylność polskiego dworu. Ma dobre serce, jest kategoryczna, zakochuje się w królu na zabój, mocno się angażuje. Może na początku więcej w miłosne intrygi, bo jako młodą osobę bardziej ją to interesuje, ale z czasem dojrzewa. Również do roli królowej. I radzi sobie, jak może.

Szukając w sobie Anny Cylejskiej, odłożyłam rozsądek na bok i pozwoliłam jej kierować się emocjami, podejmować decyzje nie rozumem, ale sercem. To może jest cecha trochę niebezpieczna na życie, ale ekscytująca.

Emocje w sercu, ale dworska etykieta i wizerunek zobowiązują. Agnieszka Wagner uważa, że pani uroda znakomicie wpisuje się w styl średniowiecza. Padło nawet porównanie do Madonny z Krużlowej, gotyckiej rzeźby powstałej ok. 1410 r. Co pani na to?

Przyjmuję to jako komplement, chociaż jedną z głównych informacji, którą możemy znaleźć na temat Anny Cylejskiej, jest ta, że była... bardzo brzydka. Król nie chciał się z nią



ożenić, bo mu się nie spodobała. I z takim przekazem musiałam się skonfrontować, gdy zaproponowano mi rolę [uśmiech]. To oczywiście żarty, a na poważnie – taka propozycja to spełnienie marzeń. Nie tylko aktorskich. Chyba każda z nas na pewnym etapie życia marzy, by zostać księżniczką. Ja taką szansę dostałam. Może nie na całe życie, ale na kilkanaście miesięcy. Mało skupiałam się na wyglądzie Cylejskiej. Tym zajmowała się charakteryzacja na planie. Mnie obchodziło to, żeby przedstawić tę postać tak, by widzowie czuli, że Anna ma w sobie te wszystkie sprzeczności, które my w sobie mamy, dorastając. Większość dnia spędzałam w tym roku w zupełnie innych realiach. Ich dopełnieniem były przepiękne stroje.

Czy było w nich coś, co chciałaby pani przenieść do współczesności?

Na pewno dobre maniery i postawę. Banalne, wydawałoby się sprawy: proste plecy, opuszczone ramiona, łokcie delikatnie odsunięte od ciała, a sylwetka zupełnie inaczej wygląda. W takiej sukni nie można też usiąść niedbale ani poruszać się bez gracji.

Ile strojów ma serialowa żona króla i czy któryś z nich był pani „faworytem"?

Elżbieta Radke, czyli nasza główna kostiumograf, uszyła ich królowej – bagatela – 60–80. Nie sposób zliczyć. Czy mam ulubiony? Tu wchodzi we mnie Anna Cylejska, która za każdym razem, kiedy przymierzałam nową suknię, mówiła: „Ooo. Jaka piękna. To moja faworytka, Elu". Oczywiście mam swoje top 5. Jest wśród nich złota, w której wystąpiłam podczas sesji zdjęciowej, to jedna z lżejszych sukni.

Stroje były szyte specjalnie dla postaci. Z dbaniem o każdy detal. Z naturalnych atłasów, jedwabi. Wiele warstw, często ciężkie materiały, do tego płaszcze, czepce, biżuteria. I wszystko piękne w najdrobniejszym elemencie. Wspaniale wchodziło się w rolę, mając na sobie takie kostiumy. Chociaż noszenie ich, zwłaszcza z płaszczami podbitymi futrem, w wyjątkowo gorące lato (niektóre ważyły po kilkanaście kilogramów), było wyzwaniem.

Jak długo trwało wkładanie stroju?

Sukni, dobre pół godziny. I była potrzebna niejedna para rąk do pomocy. Sama nie dałabym rady, bo wiązania były z tyłu. Do tego trzeba jeszcze dopiąć rękawy, które mają po kilkadziesiąt guziczków. I zapiąć skórzane trzewiki. I zadbać o biżuterię. To był przyjemny kontrast dla współczesnych dresów, w których zazwyczaj pojawiałam się z rana na planie.

Z jakimi doświadczeniami weszła pani na plan „Korony królów. Jagiellonowie"?

Skończyłam łódzką szkołę filmową i propozycję zagrania Anny Cylejskiej dostałam po sześciu latach pracy w zawodzie. Bardzo sobie cenię, że stało się to właśnie teraz, a nie tuż po wyjściu z filmówki, bo obecnie, z doświadczeniem aktorki drugoplanowej, grającej więcej w teatrze, epizodycznie w serialach, o wiele bardziej doceniam pracę w „Koronie królów. Jagiellonach", niż doceniłabym ją sześć lat temu. Wszystkie doświadczenia zawodowe, które zebrałam przez ten czas, dają mi perspektywę tego, czego mogę od siebie wymagać na planie i jak mogę pracować.

Fot. Materiały prasowe TVP

eprasa.pl 52ff5dafe



Chociaż w drugim planie miała pani okazję zagrać w paru głośnych produkcjach, takich m.in. jak nagrodzona Złotymi Lwami „Cicha noc" (2017) Piotra Domalewskiego, „Piłsudski" (2019) Michała Rosy czy serialu „Belfer 2" (2017). A z jakimi teatrami pani współpracowała?

Z wrocławskim Teatrem Współczesnym, Śląskim w Katowicach i warszawską Kamienicą, w której nadal gram. Występuję też w kilku komediach objazdowych (bardzo je lubię).

Czy w którejś z dotychczasowych produkcji skorzystała pani z doświadczeń dyplomowanego muzyka altowiolisty? Ponoć nieobce są pani także inne instrumenty?

Ukończyłam szkołę muzyczną I i II stopnia, co oznacza łącznie 12 lat wykształcenia muzycznego. Grałam na skrzypcach, altówce, fortepianie. Czasami hobbystycznie wracam do instrumentów, chyba już na całe życie złapałam bakcyla muzyki klasycznej. Moim najnowszym muzycznym odkryciem jest... piła muzyczna. Wydaje jęczące dźwięki, sąsiedzi myślą, że to coś w rurach gra [uśmiech]. Do jednego z filmów, w których zagrałam, skomponowałam i wykonałam muzykę na skrzypcach, ale na prawdziwą muzyczną rolę wciąż czekam. To byłoby coś!

Czy można powiedzieć, że na długo zanim trafiła pani do serialu „Korona królów. Jagiellonowie", coś panią łączyło z założycielem monarszej dynastii?

Można [uśmiech]. Urodziłam się w Hrubieszowie, najdalej na wschód wysuniętym mieście Polski, które właśnie z rąk Władysława Jagiełły uzyskało w 1400 r. prawa miejskie. We wzniesionym tu zamku król gościł trzykrotnie, w latach 1411, 1413, 1430. Teoretycznie Anna Cylejska też mogła zawitać do Hrubieszowa. Była żoną władcy od 1402 r. (zmarła w 1416 r.).

Skoro wróciłyśmy do królewskich historii, spytam o scenę, na którą pani najbardziej czekała w „Koronie królów. Jagiellonach".

Nie była to scena zamkowa [uśmiech], tylko polowania. Z łukiem. Na koniu, w galopie. Oczywiście, jak na żonę XV-wiecznego króla przystało, Anna występuje w pełnym stroju, w sukni, płaszczu i nie jest to strój specjalnie do jazdy konnej przystosowany. Co ważne: Anna jeździła po męsku. Wtedy kobiety nie siedziały na koniu bokiem. I ta scena na dodatek była po niemiecku – moja bohaterka jest niemieckojęzyczna, część roli gram w języku, którego nie znam (na planie miałam korepetytora). Było więc mnóstwo wyzwań naraz.

A wracając do jazdy konnej – kręciliśmy też scenę, w której musiałam bardzo szybko zsiąść z konia i trochę się w tych królewskich sukniach zaplątałam. Zamachnąć się i przełożyć prędko nogę z jednego boku zwierzęcia na drugi nie jest łatwo, zwłaszcza gdy ma się na sobie długą do ziemi suknię, uszytą z kilkudziesięciu metrów materiału. Ostatecznie to moje zgrabne zsiadanie było bardziej... niekontrolowanym spadaniem. Ale warstw stroju jest tak dużo, że widz pewnie tego zaplątania nie zauważy.

Sama wykonywała pani te zadania?

Na planie mogłam liczyć na wsparcie kaskaderskie, ale moim marzeniem było jak najwięcej przeżyć, doświadczyć tej mojej Anny Cylejskiej. Oczywiście nie przekraczając granic bezpieczeństwa. Miałam w szkole filmowej epizod z jazdą konną, po latach musiałam do niego wrócić i od stycznia br. regularnie jeździłam do stadniny, przygotowując się do jeździeckich scen. Każdą wolną chwilę starałam się spędzać na koniu, żeby poczuć większą pewność w siodle. Do tego doszły wielomiesięczne ćwiczenia strzelania z łuku. Miałam duży komfort pracy, żeby się do tych trudniejszych scen odpowiednio przygotować.

Po takiej roli, z doświadczeniem kostiumu i konnej jazdy, następny może będzie casting do... kolejnej widowiskowej produkcji Netflixa?

Na razie moim największym marzeniem po tak intensywnym roku jest... wyspać się [uśmiech]. Ale znając swoją naturę, zbyt długo w miejscu nie usiedzę.

Fot. Materiały prasowe TVP

Reklama | 28/1222/F

Bezpiecznych, ciepłych i radosnych Świąt Bożego Narodzenia oraz Szczęśliwego Nowego Roku 2023

ORLEN

GENERALNY SPONSOR POLSKIEGO NARCIARSTWA

1919 PZN



eprasa.pl 52ff5

Wysadził Smoleńsk



WOJCIECH LADA



Chyba tylko przypadkiem nie stał się pierwowzorem dla któregoś z bohaterów Sienkiewicza. Dlaczego? Bo życie Bartłomieja Nowodworskiego było usiane przygodami i awanturami, o jakich nie marzyli nawet bohaterzy Trylogii, a jego sława sięgała od Morza Śródziemnego po kanał La Manche i od Hiszpanii po głęboką Rosję

W połowie 1611 r. Bartłomiej Nowodworski większość czasu spędzał w kanale ściekowym. Nie dla przyjemności ani nawet nie z obowiązku. Po prostu właśnie kanał ściekowy, który odkrył podczas swoich nocnych wycieczek wzdłuż murów Smoleńska, uznał za najlepsze miejsce do podłożenia ładunków wybuchowych. A znał się na tym doskonale. W swoim długim już życiu zdarzyło mu się wysadzać w powietrze twierdze tureckie, francuskie i rosyjskie, co czyniło go jednym z najbardziej doświadczonych pirotechników swoich czasów. Ale nawet dla niego mury Smoleńska były wyzwaniem.

Była to bowiem potężna twierdza, otoczona blisko siedmiokilometrowym murem o sześciometrowej grubości, dodatkowo chroniona kilkudziesięcioma silnie obsadzonymi basztami. Nowodworski był jednak zdesperowany. Dwa lata wcześniej udało mu się nawet rozsadzić Bramę Abramowską, ale wówczas szturm się nie powiódł. Nowodworskim targały ambicje. Przed 30 laty, jeszcze pod Stefanem Batorym, walczył z Rosjanami pod Pskowem i teraz bardzo chciał zasłynąć jako pogromca imperium. Tymczasem sława umykała mu sprzed nosa. Rok wcześniej hetman Stefan Żółkiewski rozbił Rosjan pod Kłuszynem i zajął Moskwę. Nowodworski uparł się więc zostać przynajmniej zdobywcą Smoleńska. Zygmunt III Waza

chciał już odstąpić od przeciągającego się oblężenia, tym bardziej że zdobycie miasta nie było strategiczną koniecznością. Słynnemu saperowi udało się jednak uprosić króla o odrobinę czasu i dodatkowe fundusze na – jak wyliczył – 100 cetnarów, czyli jakieś 60 beczek prochu.

Głównym problemem była solidna, metalowa kratka blokująca wejście do kanału ściekowego. Nowodworski spędzał w nim tak wiele czasu właśnie dlatego, że próbował ją usunąć, nie robiąc przy tym hałasu, który mógłby zaalarmować czujnych obrońców. Wreszcie po wielu dniach żmudnej i niebezpiecznej pracy kratka ustąpiła. Nowodworski z kompanami umieścił w kanale ładunki i 13 czerwca murami Smoleńska wstrząsnęła potężna eksplozja.

„Nasz Nowodworski własną ręką podsadza petardę pod kanał, którym plugastwo z zamku do Dniepru wychodziło. Rozwala się mur z hukiem i grzmotem gwałtownym, wzdłuż na dziesięć, wszerz na cztery sążnie. Dorohostajski kawalerem na czele gwardii wpada przez otwór do miasta, w trąby i w bębny uderzyć nakazuje na znak zdobycia twierdzy i serce strwożonemu odejmuje nieprzyjacielowi. Ten opuszcza swoje stanowiska, rozpierzcha po mieście, chroni się do domów i cerkiew" – tak w połowie XIX w. opisywał zdobycie miasta Andrzej Edward Koźmian.

Tego właśnie dnia Nowodworski zdobył Smoleńsk.

STEPOWY ZAGOŃCZYK

W momencie smoleńskiego triumfu Bartłomiej Nowodworski miał już prawie 60 lat. I chociaż przyjdzie mu jeszcze walczyć z Rosją, a nawet podłoży proch i petardy pod mury Moskwy, swoje największe osiągnięcia miał już dość dawno za sobą. Nie do końca wiadomo, w jakich okolicznościach, ale jeszcze jako nastolatek, pod koniec lat 60. XVI w., znalazł się na kresowych stepach, gdzie w oddziale księcia Michała Zasławskiego tropił nieustannie Tatarów wdzierających się w granice Rzeczypospolitej. Robiło tak wielu młodych szlachciców ze zubożałych rodzin, bo wielce rozciągnięta na wschód po uniach polsko-litewskich Rzeczpospolita właśnie na kresowych stepach dostarczała im najwięcej okazji do zarobku.

Z pewnością jednak nie był to zarobek łatwy. Żołnierze takich oddziałów musieli przyjąć tatarski tryb życia. Całymi dniami niemal nie schodzili z koni, ewentualnie skryci w wysokiej trawie wypatrywali godzinami przeciwnika, sypiali na ziemi pod gołym niebem, jedli to, co upolowali, a od czasu do czasu wdawali się w zazwyczaj bardzo krwawą potyczkę z dzikimi nomadami.

Dla młodego Nowodworskiego była to sroga szkoła życia i walki, faktycznie jednak wyszedł z niej jako doskonale już przeszkolony wojownik. „Książę Zasławski ciągle życie w obozie, pod namiotem lub na koniu pędził – przez lat trzy, nie wracając do domu, w polu na nieprzyjaciela czuwał; a tak i Nowodworski z nim razem i pod jego dowództwem walcząc, zahartował ciało na niewczasy, trudy i niebezpieczeństwa" – potwierdzał Koźmian.

Nic też dziwnego, że wkrótce po tym, jak Zasławski postrzelił się śmiertelnie, a jego oddział w naturalny sposób się rozpadł, Nowodworski ani myślał wracać do rodzinnej Tucholi. Prosto z Kresów skierował się w stronę najbliższej wojny – ta zaś toczyła się wówczas w Siedmiogrodzie, gdzie Stefan Batory, wówczas jeszcze książę, umiejętnie wygrywając spory między Turcją a imperium habsburskim, toczył wojnę domową z konkurencją do tronu. Nowodworski postawił na Batorego i wraz z nim zwyciężył. Nie mógł jeszcze wówczas wiedzieć, że jego nowy opiekun już wkrótce zostanie królem Polski.

HARCE POD PSKOWEM

Nie znamy jego przewag w węgierskich bojach, ale z całą pewnością musiał się w nich bardzo wykazać, skoro wkrótce został jednym z najbliższych ludzi księcia, który właśnie jemu powierzy rycerskie wychowanie swoich bratanków. Był to dla niego zaszczyt i okazja do dużego zarobku, ale jednocześnie przekleństwo. Był wciąż bardzo młody i ambitny, rwał się do walki. W Siedmiogrodzie dochodziły go wieści o elekcji Batorego, a przede wszystkim o toczonej przez niego z wielkim powodzeniem wojnie z Moskwą. W 1579 r. Polacy zajęli Połock, rok później Wielkie Łuki, teraz zaś przyszedł czas na generalną rozprawę z Iwanem Groźnym pod Pskowem. Nowodworski z pewnością miał poczucie, że coś go omija, toteż z pewnością ucieszył się, gdy Batory rozkazał, by jego podrośli już bratankowie dołączyli do węgierskich oddziałów mających wesprzeć szturm Pskowa. Ruszył wraz z nimi. Na początku 1581 r. znalazł się w Wilnie, a wkrótce potem był już na murach Pskowa.

„Na dwie baszty, Pokrowską i Świńską, skierowano zmasowany ogień artylerii. Pierwsza zawaliła się, druga została poważnie uszkodzona. Rozochoceni Węgrzy przystąpili do ataku na ruiny obu wież. Polacy ruszyli za nimi. Nowodworski wspiął się na rumowisko, gdzie trwała już rąbanina na szable, czekany, berdysze, przerywana strzałami z samopałów. Rosjanie słabli, wycofywali się, pozostawiając coraz więcej zabitych. Zdawało się, że oddziały oblegających zaraz wleją się szerokim strumieniem do miasta" – opisywał bitwę Marcin Szymaniak.

W zwycięstwie przeszkodził jednak... cud. Kiedy było już niemal pewne, że Rosjanie ulegną, na polu bitwy pojawił się ihumen Tichon, uzbrojony w święty obraz z klasztoru w Pieczorach, donośnym głosem intonujący groźno brzmiące modlitwy. Podobno co bardziej zabobonni z Polaków i Węgrów wzięli je za zaklęcia i nagle stracili cały animusz. Rosjanie odwrotnie – nabrali odwagi, nie tylko wracając na swoje pozycje, lecz także w gwałtownym kontrataku odrzucając atakujących poza mury, tym zaś, którym nie udało się zbiec, urządzając typową dla ówczesnych wojen masakrę.

Batory był wściekły, bo w gruncie rzeczy atak był samowolką. Oskarżył nawet swoich żołnierzy o masowe narkotyzowanie się nasionkami derenia, co istotnie było wówczas dość popularne. Tak czy inaczej, widząc, że oblężenie będzie się przeciągać – król ruszył do Wilna, licząc na wyciągnięcie ze szlacheckich sakiewek odpowiednich środków na prowadzenie dalszej wojny. Nowodworski podążył wraz nim. Pod ich nieobecność – jak ujmował to Koźmian – „rozmaite pod Pskowem harce zwodzono", miasta nie zdobywając, ale plądrując okrutnie cały okoliczny kraj i tym samym skłaniając Rosjan do podjęcia rozmów.

Ani Batorego, ani Nowodworskiego nie było w każdym razie w obozie, gdy rozpoczęto rokowania w sprawie rozejmu. Słynny obraz Jana Matejki dość mocno rozmija się w tej kwestii z historycznymi faktami.

FRANCUSKIE ZAMIESZANIE

Tak naprawdę Nowodworski był w tym momencie bardzo już daleko nie tylko od Pskowa czy Wilna, lecz także od Rzeczypospolitej. Podczas pobytu w Grodnie wdał się mianowicie w awanturę z niejakim Biedrzyckim, którego usiekł w pojedynku. Ponieważ ta droga rozwiązywania sporów była już wówczas surowo zakazana, Nowodworski, świadomy, że może spodziewać się wyroku śmierci, zniknął niepostrzeżenie z miasta, i to tak daleko, że zatrzymał się dopiero w Paryżu. Tam właśnie, na dworze innego uciekiniera z Polski, pierwszego króla elekta, Henryka Walezego, przyjdzie mu spędzić kilkanaście kolejnych lat wypełnionych nieustającą wojaczką.

„We Francji od wielu dekad tlił się konflikt pomiędzy katolikami i protestantami, co jakiś czas wybuchając krwawym pożarem wojen domowych" – zauważał Szymaniak. Na szczęście dla Nowodworskiego jedna z nich wybuchała właśnie wtedy, gdy przybył do Paryża. Walezy, który wbrew oczywistym faktom wciąż uważał się za króla Polski, chętnie przyjmował na swoim dworze Polaków. Nowodworski został bez dłuższych formalności wciągnięty na listę żołdu dobowego pułku królewskiego, do którego – jak podkreślał Koźmian – „tylko przedniejsza szlachta przyjmowana była". I ruszył jak zawsze na poszukiwania kolejnych bitew.

A tych we Francji nie brakowało. Najpierw walczył więc po stronie Walezego przeciw księciu Gwizjuszowi, wspieranemu przez Hiszpanię przywódcy tzw. Ligi Katolickiej. Tu wsławił się zwłaszcza podczas ataku na twierdzę Pontoise, zyskując kilka kolejnych blizn do bogatej już kolekcji. Kiedy jednak Walezy zginął w 1589 r., zasztyletowany w ustępie w Saint-Cloud, Bartłomiej zmienił opcję i wstąpił na służbę Ligi Katolickiej. Tu co prawda zazwyczaj przegrywał, gdyż nowy król, Henryk Nawarski, okazał się wodzem genialnym i bez większego problemu pogromił parokrotnie nawet większe siły Ligi. Ale nawet wtedy Nowodworski potrafił zabłysnąć. Udało mu się mianowicie przez wyjątkowo długi czas utrzymywać na zamku Conflans-sur-Oise, którego „bronił przez tygodni kilka z garstką mężnych" – jak ujmował to Koźmian. Musiał być to istotnie nie lada wyczyn, skoro już po kapitulacji król, będący pod wrażeniem wytrwałości obrońców, nie tylko nie uczynił Nowodworskiemu najmniejszej krzywdy, lecz także przyjął go na służbę, wymuszając jedynie obietnicę, że Polak nie będzie już więcej przeciwko niemu walczył.

Nowodworski zgodził się bez oporów i po raz kolejny zmienił barwy. Kłopot w tym, że Henryk, chcąc zakończyć wyniszczającą wojnę, przeszedł na katolicyzm i istotnie walki wkrótce ustały. Francuzi byli zapewne szczęśliwi, ale Nowodworski niekoniecznie. Był uzależniony od walki i adrenaliny. Niewiele więc myśląc, wyciągnął od króla listy polecające i ruszył na południe. Tym razem jego celem była Malta.

KAWALER MALTAŃSKI POD MOSKWĄ

Miał szczęście. Będąca we władaniu joannitów, zwanych też kawalerami maltańskimi, wysepka, toczyła w zasadzie permanentną wojnę z Turcją. Teraz dodatkowo nowy wielki mistrz tego rycerskiego zakonu, Alois de Vignacourt, postanowił zabłysnąć i zdobyć twierdzę Lepanto nad Zatoką Koryncką. Nie bez znaczenia zapewne były pogłoski o przechowywanych tam skarbach tureckich. Listy od Henryka Nawarskiego zrobiły najwyraźniej swoje, ale może sława Polaka dotarła już wówczas również na tę maleńką wyspę – tak czy inaczej Nowodworski nie tylko wziął udział w ataku na twierdzę, lecz także znalazł się w grupie „komandosów", która po kryjomu podkradła się pod mury i je wysadziła. Tu znów nie znamy szczegółów. W każdym razie w środku nocy załogę twierdzy obudził huk eksplozji i sypiących się murów. Wtedy rycerze maltańscy wdarli się do środka, nie pozostawiając obrońcom najmniejszych szans.

Złota co prawda nie znaleziono, ale wieści o wyczynie Nowodworskiego rozniosły się po Europy. Rosło także jego znaczenie w samym zakonie, którego śluby złożył w 1605 r. Charakterystyczny czarny strój i płaszcz z białym krzyżem były odtąd jego codziennym wizerunkiem. I tak odziany postanowił wrócić do ojczyzny. Od pojedynku z Biedrzyckim minęło już 20 lat, Polska od dawna miała już nowego władcę, Zygmunta III Wazę, a jego szeroko znane zasługi na europejskich polach bitew, zwłaszcza te w walkach z Turkami, skutecznie zmywały z niego przedawnioną winę.

„Król Zygmunt przyjął Bartłomieja na swym dworze z otwartymi ramionami. Podstarzały kawaler maltański roztaczał wokół siebie aurę śródziemnomorskiej egzotyki, dalekich wypraw, dramatycznych przygód na skąpanych słońcem wyspach" – opisywał Szymaniak. Ale nie przychodził z pustymi rękami. Nie był już co prawda młodym zawadiaką biegnącym do walki w pierwszym szeregu, ale jego umiejętności pirotechniczne były dla Zygmunta bezcenne. I to właśnie Nowodworski udowodnił wkrótce, wysadzając w 1611 r. mury Smoleńska.

Zdobywając Smoleńsk, Nowodworski dobiegał sześćdziesiątki, a w 1617 r. miał już lat 65. Mimo to nie zamierzał jeszcze przechodzić na emeryturę. Bez zastanowienia ruszył wówczas na kolejną moskiewską awanturę Zygmunta III i wraz z armią stanął pod murami rosyjskiej stolicy w październiku następnego roku. Niewiele brakowało, a powtórzyłby wyczyn spod Smoleńska. Z niewielkim oddziałem minerów udało mu się przedrzeć pod ostrzałem do niewielkiej fortecy broniącej dostępu do Bramy Arbackiej, wysadził jej drzwi i wdarł się do środka, wybijając obrońców. Droga do bramy stała teraz otworem – jeśli nie liczyć gęstego ostrzału z murów. Nowodworski prowadził jednak swoich ludzi, dobiegł do bramy i zaczął instalować petardę. Przerażeni Rosjanie uciekali ze swoich stanowisk i być może wkrótce udałoby się ładunek odpalić, gdyby nie przytomność i odwaga niemieckich najemników. Zajęli oni miejsce spłoszonych Rosjan i celnymi strzałami udaremnili dzieło Nowodworskiego. On sam przeżył cudem, po tym jak został trafiony kulą, która zgruchotała mu ramię. Nieprzytomnego towarzysze wynieśli z pola bitwy.

Nie umarł, choć stracił władzę w ręce i był to koniec jego wojennej kariery. Ostatnie lata spędził w Warszawie, gdzie sporą fortunę, którą zbił na polach bitew, usiłował inwestować w... kulturę i naukę. Ufundował cztery stypendia dla studentów Uniwersytetu Jagiellońskiego, finansował druk książek z teologii, prawa, medycyny i historii – wciąż był człowiekiem bardzo znanym i mile widzianym na dworze królewskim. Zmarł w 1625 r. w bardzo sędziwym jak na swój tryb życia wieku 73 lat.

Polityka rodzinna w 2022 r.

Minister Marlena Maląg: wrzucamy szósty bieg

2022 r. dla rodzin z małymi dziećmi rozpoczął się od wejścia w życie Rodzinnego Kapitału Opiekuńczego. Od kwietnia br. można składać wnioski o rządowe dofinansowanie do opieki żłobkowej. Rok kończy ogłoszenie zmian w programie Maluch+, dzięki któremu przybędzie ponad 100 tys. nowych miejsc opieki nad najmłodszymi dziećmi. Wrzucamy szósty bieg – mówi minister rodziny i polityki społecznej Marlena Maląg



Fot. Mateusz Włodarczyk/MRiPS

Rozwój usług dla rodziny to jeden z elementów polityki prorodzinnej prowadzonej przez rząd PiS. Tylko w 2022 r. na politykę rodzinną przeznaczono blisko 86 mld zł. W 2015 r. było to ok. 32 mld zł.

W 2022 r. działania Ministerstwa Rodziny i Polityki Społecznej w dużej mierze były poświęcone nowym instrumentom wsparcia rodziców najmłodszych dzieci.

- W styczniu 2022 r. w życie wszedł Rodzinny Kapitał Opiekuńczy. To nawet 12 tys. zł przyznawane niezależnie od dochodów na drugie i każde kolejne dziecko w wieku od ukończenia 12. do 35. miesiąca życia. W 2022 r. z Rodzinnego Kapitału Opiekuńczego skorzysta ok. 615 tys. dzieci, a kwota wsparcia to ok. 3,1 mld zł.
- Od kwietnia 2022 r. można składać wnioski o rządowe dofinansowanie do opieki żłobkowej dla dzieci nieobjętych kapitałem. To nawet 400 zł miesięcznie, które trafia bezpośrednio do placówki. W 2022 r. ze wsparcia ma skorzystać ok. 110 tys. dzieci.
- Z kolei ostatniego dnia listopada br. premier Mateusz Morawiecki i minister Marlena Maląg ogłosili zmiany w nowej edycji programu Maluch+. Zmiany mają przyczynić się do tego, że z mapy Polski znikną „białe plamy", czyli gminy, w których nie działa ani jeden żłobek czy klub dziecięcy.

– Zwiększamy finansowanie programu – na jego funkcjonowanie przeznaczymy 5,5 mld zł, dzięki czemu może powstać ponad 100 tys. nowych miejsc opieki nad dziećmi. Każde z utworzonych miejsc otrzyma dofinansowanie do funkcjonowania przez 36 miesięcy – wylicza minister rodziny.

ZMIANY W PROGRAMIE MALUCH+

Nowa edycja programu to uporządkowanie i wdrożenie ogólnopolskich jasnych kryteriów wsparcia opieki żłobkowej.

- Środki będą dzielone zgodnie z algorytmem, który zakłada, że gminy uzyskają konkretną pulę środków finansowych do wykorzystania na tworzenie miejsc opieki zgodnie z jej potrzebami.
- Będzie można uzyskać dofinansowanie do utworzenia nowych miejsc opieki zarówno w nowych, jak i już istniejących placówkach.
- Na utworzenie nowych miejsc gmina będzie miała trzy lata, z kolei podmiot inny niż jednostka samorządu terytorialnego – dwa lata. Daje to dużą elastyczność.

– Dzięki nowym zasadom docieramy do każdej gminy w Polsce i oferujemy wsparcie finansowe każdemu zainteresowanemu samorządowi. Chcemy, by w każdej gminie była przynajmniej jedna placówka opieki nad dziećmi do lat trzech – mówi minister Marlena Maląg.

PROGRAM MALUCH+

Program Maluch+ jest realizowany od 2011 r., ale to za rządów Zjednoczonej Prawicy nabrał rozpędu.

Od 2016 r. powstało ponad 140 tys. miejsc opieki nad maluchami. Na koniec 2015 r. było niespełna 3 tys. placówek, które oferowały zaledwie 84 tys. miejsc opieki. Dziś funkcjonuje ponad 8 tys. żłobków i klubów dziecięcych, w których jest ponad 228 tys. miejsc opieki nad maluchami. Za tymi liczbami stoją oczywiście zwiększone środki na funkcjonowanie programu. W latach 2016–2021 rząd Zjednoczonej Prawicy przeznaczył na ten cel ok. 2,1 mld zł. Teraz nakłady na program wzrosną ponaddwukrotnie – do kwoty 5,5 mld zł.

Materiał powstał przy współpracy z Ministerstwo Rodziny i Polityki Społecznej

Tekst powstał we współpracy z partnerem komercyjnym | 29/1222/F

eprasa.pl 52ff5dafe5



Wigilia od kuchni

Święta, a zwłaszcza Wigilia, to dla mnie wyjątkowy czas. Spędzam je zawsze w gronie najbliższych i w domu. Tradycyjnie gromadzimy się przy stole, łamiemy opłatkiem, są prezenty i śpiewanie kolęd. Dania wigilijne są także tradycyjne, takie jak robiły moja babcia i mama. Zaczynamy od przystawek, koniecznie muszą być ryby, najczęściej śledzie i karp. Smażone dzwonka karpia podane z ziemniakami i kapustą z grzybami. Obowiązkową pozycją jest kasza z grzybami oraz pierogi. Ja uwielbiam łazanki z makiem. Zwieńczeniem kolacji są ciasta. Z czytelnikami „Sieci" dzielę się garścią przepisów wigilijnych, może na stałe zagoszczą na Państwa świątecznym stole. ***Ewa Wachowicz***



Barszcz wigilijny z fasolą

Moja bratowa Beata najczęściej przygotowuje na Wigilię postną zupę grzybową, a ja barszcz czerwony na domowym zakwasie, podany oczywiście z uszkami z farszem grzybowym. Odkąd postawiłam dom w Zawoi, inspiruję się także lokalnymi przepisami spod Babiej Góry. Natrafiłam na wigilijny barszcz czerwony zakwaszany wodą z gotowanej kapusty kiszonej. Ten barszcz oczywiście można zaserwować z uszkami, ale w oryginale jest podawany z gotowaną fasolą.

SKŁADNIKI: 2 marchewki • 1 pietruszka • 1 seler • 1 cebula • 6 buraków ćwikłowych • 5 ziarenek ziela angielskiego • liść laurowy • sól • woda z gotowania kiszonej kapusty (do smaku) • 2 ząbki czosnku • pieprz • ugotowana fasola piękny jaś

PRZYGOTOWANIE: Warzywa obrać, wrzucić do garnka (za wyjątkiem buraków), zalać wodą, przyprawić zielem angielskim i liściem laurowym. Posolić, przykryć i gotować prawie do miękkości. Dodać drobno pokrojone buraki i przez 20 min gotować pod przykryciem. Po tym czasie odcedzić i zakwasić wodą, w której gotowała się kiszona kapusta. Dorzucić pokrojony czosnek. Przed podaniem przyprawić świeżo zmielonym pieprzem. Serwować z fasolą.

Śledzie w oleju lnianym

Wigilijną logistykę w kuchni mam nieźle opanowaną – przykładowo od tygodnia czekają zamrożone pierogi i uszka. Jedynie w przygotowaniu przystawki ze śledzia pozwalam sobie na różne eksperymenty. Dawno temu na Kaszubach jadłam pysznego śledzia z suszonymi śliwkami. Ale lubię również śledzia w oleju lnianym.

SKŁADNIKI: 600 g filetów śledziowych • 2 szklanki mleka do namoczenia • 1/2 szklanki oleju lnianego • 3 cebule • 2 cytryny • pieprz kolorowy w ziarnach • 2 goździki • 1 łyżeczka cukru trzcinowego • ½ łyżeczki suszonego imbiru



PRZYGOTOWANIE: Płaty śledziowe moczyć w mleku przez kilka godzin, następnie opłukać pod bieżącą wodą, osuszyć ręcznikami papierowymi, pokroić na kawałki i przełożyć do miski. Cebule pokroić w piórka i przełożyć do drugiej miski. Pieprz wsypać do moździerza, rozdrobnić. Dodać skórkę otartą z cytryn i goździki. Rozetrzeć. Wsypać imbir oraz cukier trzcinowy i dokładnie wymieszać. Wlać sok wyciśnięty z cytryn i jeszcze raz dokładnie wymieszać. Przelać do miski z cebulą, przemieszać i odstawić na chwilę. Na dnie słoika ułożyć warstwę śledzi. Na rybę dać trochę cebuli, na cebulę znowu warstwę ryb. Układać tak, by na wierzchu znalazła się cebula. Zalać olejem lnianym. Zamknąć i wstawić do lodówki na 3-4 dni.



Karp po żydowsku

Po śledziowej przystawce na mój wigilijny stół trafia pozycja obowiązkowa, czyli karp po żydowsku.

SKŁADNIKI: 2 karpie • 500 g cebuli • 3 łyżki cukru • 2 liście laurowe • ziele angielskie • 100 g rodzynek • 100 g migdałów bez skórki • pieprz • 50 g żelatyny

PRZYGOTOWANIE: Cebule pokroić, zalać 2 i 1/2 l wody, posolić, dodać 3 łyżki cukru. Postawić na kuchence. Podczas gotowania wrzucić głowy i ogony, gotować do miękkości. Następnie wyjąć z wywaru. Do garnka wrzucić rybę podzieloną na dzwonka. Gotować ok. 30 min na bardzo wolnym ogniu. Wystudzić, przełożyć do głębokich półmisków (z karpia można wyjąć największe ości). Wywar przelać przez sito do drugiego naczynia, cebule przetrzeć. Wrzucić namoczone rodzynki oraz migdały, zagotować. Następnie zdjąć z ognia, dodać żelatynę rozpuszczoną w odrobinie wywaru, doprawić pieprzem. Dzwonka zalać, przykryć, przestudzić i włożyć do lodówki. Podawać, gdy galareta stężeje.



Pierogi wigilijne

Na święta przygotowuję kilka gatunków pierogów. Każdy domownik ma swoje ulubione. Nie może zabraknąć tych tradycyjnych, z kapustą i grzybami, a także z serem – na słodko i na słono. W moich pierogach zasmakował też Jean Reno. Francuski aktor gościł w 2018 r. w Krakowie na zaproszenie Polskiej Fundacji Narodowej z okazji 100-lecia odzyskania przez Polskę niepodległości. Rozłożyłam kulinarną manufakturę w Zalipiankach i razem lepiliśmy pierogi z kapustą i grzybami oraz z suszoną śliwką. Szczególnie posmakowały mu te ostatnie. Smak pierogów znał, ale nie tych na słodko. Poniżej przepisy na pierogi z różnymi farszami.

Farsz śliwkowy

SKŁADNIKI: 200 g suszonych śliwek • 150 g migdałów • śliwowica

PRZYGOTOWANIE: Śliwki zalać alkoholem na kilka godzin, a migdały uprażyć w piekarniku. Każdą namoczoną śliwkę naciąć i nafaszerować migdałem.

Farsz z kapustą i grzybami

SKŁADNIKI: 300 g kapusty kiszonej • 300 g kapusty białej • 1 duża cebula • 30 g suszonych prawdziwków • 2 łyżki masła • sól i pieprz

PRZYGOTOWANIE: Grzyby zalać wodą na noc (szklanka wystarczy). Następnie gotować do miękkości w tej samej wodzie. Kapelusze wyciągnąć i drobniutko posiekać. Białą kapustę drobno poszatkować. Przełożyć do garnka, zalać wrzątkiem i gotować przez mniej więcej 15 min. Odcedzić i odcisnąć. Kapustę kiszoną odcisnąć z nadmiaru soku i drobno posiekać. W garnku podsmażyć na maśle drobno pokrojoną cebulę. Gdy stanie się złocista, dodać obie kapusty i prawdziwki, zalać wodą z gotowania grzybów. Doprawić solą i pieprzem. Dusić ok. 25 min, odparowując cały płyn. Zostawić do wystudzenia.

Farsz serowy

SKŁADNIKI: 400 g sera białego • 1 żółtko • laska wanilii • 3 łyżki cukru • 1/2 łyżeczki cynamonu

PRZYGOTOWANIE: Ser przełożyć do miski. Wbić żółtko. Dodać miąższ z laski wanilii, posłodzić, przyprawić cynamonem i rozgnieść widelcem.

Ciasto na pierogi

SKŁADNIKI: 1/2 kg mąki • 1 jajko • ok. 1 szklanki wrzątku

PRZYGOTOWANIE: Mąkę przesiać na stolnicę i zalać wrzątkiem. Nożem zagarniać ciasto aż do zrobienia klusek. Wbić jajko, zamieszać nożem i zarobić rękoma. Gładkie ciasto zostawić pod przykryciem na mniej więcej 15 min. Podsypując mąką, rozwałkować ciasto na grubość 2–3 mm. Szklanką wykroić krążki i nałożyć farsz. Gotować w osolonym wrzątku. Gdy pierogi wypłyną, jeszcze przez minutę trzymać je na gazie, a potem zahartować w zimnej wodzie i odcedzić.

Do pierogów na słono podać zezłoconą na maśle cebulkę. Te na słodko trafiają na stół z palonym masłem: masło roztopić na patelni i smażyć do momentu, aż będzie miało orzechowy aromat i pojawią się brązowe ziarenka. Ewentualnie dosłodzić brązowym cukrem.

Ciasta świąteczne

Wigilię kończymy na słodko. Oczywiście w kolejne dni świąteczne nie może zabraknąć ciast. Dlatego piekę kilka, a wśród nich obowiązkowo sernik i makowiec. Pierwsze ciasto jest rodem z domu rodzinnego z Kleczan. Taki wypiek zawsze robiła mama na święta, tak robię i ja. Makowiec to z kolei ulubione ciasto mojego brata.



Sernik

SKŁADNIKI: 500 g mąki • 1 łyżka proszku do pieczenia • 200 g masła • 200 g cukru pudru • 2 jajka • 3 żółtka • 3 łyżki śmietany • 50 g kakao • 1 łyżka cukru waniliowego

MASA SEROWA: 1 kg sera białego • 10 jajek • 350 g cukru pudru • 150 g masła • 1 łyżka mąki kartoflanej • 1 łyżka kaszy mannej • skórka z pomarańczy • 1 łyżka cukru waniliowego

PRZYGOTOWANIE: Mąkę, proszek i kakao przesiać na stolnicę. Masło utrzeć z cukrem i cukrem waniliowym. W czekoladowej mące zrobić dołek, wbić jajka i żółtka, wlać śmietanę, dodać masło utarte z cukrem. Zarobić ciasto. Podzielić na dwie części. Klasyczną prostokątną blachę posmarować masłem i wysypać bułką tartą. Jedną część ciasta rozwałkować na wielkość blachy i wyłożyć nią spód foremki. Drugą odłożyć. Ser i wszystkie pozostałe składniki podzielić mniej więcej na pół (tyle akurat mieści się w przeciętnym robocie). Wrzucić do malaksera i mieszać do momentu, aż masa stanie się jednolita. Porcjami wylać na ciasto. Wygładzić. Drugą część ciasta rozwałkować, po czym radełkiem pokroić na paski (szerokość ok. 1,5 cm), ułożyć na cieście w ukośną kratkę (paski ciasta rozłożyć również wzdłuż boków formy). Piec w 200 st. C przez mniej więcej 1 godz. Po wystudzeniu oprószyć cukrem pudrem.

Makowiec

SKŁADNIKI: 400 g mąki • 50 g drożdży • 250 g masła • 1 jajko • 2 żółtka • 1 szklanka śmietany • 1 cukier waniliowy • 1 łyżka cukru

MASA MAKOWA: 500 g maku • 1/2 l mleka • 20 g drożdży • 1 łyżka mąki kartoflanej • 1 łyżka marmolady • 1 łyżka bułki tartej • 1 białko • 1 jajko • 1 cukier waniliowy • 200 g cukru pudru • 2 łyżki miodu • 100 g migdałów • 100 g rodzynków z koniaku

PRZYGOTOWANIE: Mąkę przesiać, wysiekać z ciepłym masłem. Do drożdży dodać cukier, rozetrzeć, wymieszać ze śmietaną (powinna mieć temperaturę pokojową). Połączyć z mąką i masłem, następnie dodać pozostałe składniki i wyrobić ciasto. Odstawić do wyrośnięcia. Przygotować nadzienie. Mak zalać gorącym mlekiem, odstawić na pół godziny. Następnie przecedzić i dwa razy przepuścić przez maszynkę do mielenia. Drożdże rozetrzeć z cukrem, dodać mak i wszystkie pozostałe składniki. Wymieszać na jednolitą masę. Gdy ciasto wyrośnie, wyrabiać tak długo, aż zacznie odchodzić od stolnicy. Podzielić na dwie części (z podanych proporcji wyjdą dwa makowce). Rozwałkować. Posmarować białkiem, nałożyć masę makową. Zwinąć podobnie jak roladę. Odstawić do wyrośnięcia na 20 min. Piec w piekarniku nagrzanym do 180 st. C przez 50 min. Po upieczeniu makowce polukrować (sok z cytryny wymieszany z cukrem pudrem – ile zabierze). Na lukrze można ułożyć połówki orzechów włoskich.



Przepisy pochodzą ze strony ewawachowicz.pl

Fot. Promiss Ewa Wachowicz

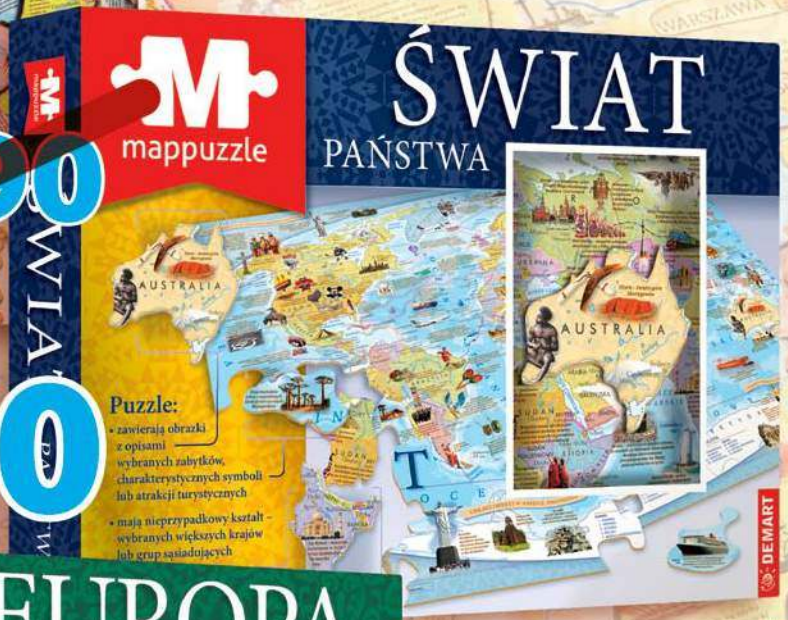
Reklama | 72/1122/F

więcej niż MAPA

mappuzzle



69,90



54,90



ZABAWKOWICZ.PL
ZABAWKA ROKU
2022

DEMART

więcej niż ZABAWKA

www.demart.com.pl

Tutaj kupisz w promocji świątecznej z darmową wysyłką

eprasa.pl 52ff5dafe5



Aleksandra Kurzak i Marzena Rogalska (z lewej)



KUCHNIA MOJE SMAKI

Bis, bis, przepis!

Aleksandrę Kurzak, słynną polską śpiewaczkę, i Marzenę Rogalską, dziennikarkę i specjalistkę od uważnych rozmów, połączyła miłość do opery. Ze spotkań obu pań powstała książka „Dobrissimo! Opera od kuchni" (wyd. Znak) – wypełniona historiami o emocjach i namiętnościach – na scenie i w życiu, o wyborach i smakowaniu – muzyki oraz potraw, które współgrają z największymi scenicznymi dziełami.

Skąd to połączenie kulinariów i opery? Aleksandra Kurzak wyjaśnia we wstępie: „Dzielę się moimi kulinarnymi dziełami poprzez media społecznościowe, gdzie w miarę upływu czasu skromne brawa zamieniają się w owacje, aż zostaję obsypana komplementami i okrzykami: »Bis, bis, przepis!«, »Pani Olu, powinna pani wydać książkę z tymi przepisami!«. W tym momencie zaczyna kiełkować myśl...".

Tytuł podpowiedziała córeczka śpiewaczki, Malèna. Zapytana, czy smakuje jej to, co przygotowała mama, wtórując tacie, który skomplementował danie słowami: „Buono, buonissimo", dodała: „Anzi, dobrissimo".

Tytuł zwieńczył – nasycone walorami i doznaniami (także smakowymi) – 20 rozdziałów. Każdy domknięty został kulinarnym wątkiem i przepisem.

I tak „La Traviata" Giuseppe Verdiego zgrała się w kuchni Aleksandry Kurzak z ratatouille, „Die Zauberflöte" („Czarodziejski flet") Wolfganga Amadeusza Mozarta – z tortem dekorowanym truskawkami. Z kolei „Les contes d'Hoffmann" („Opowieści Hoffmanna") Jacques'a Offenbacha – przywołały smak tarte aux poireaux (tarta z porem), a „Rigoletto" Giuseppe Verdiego znalazł kulinarne odbicie w gnocchi burro e salvia (kopytka z masłem i szałwią).

„Don Pasquale" Gaetano Donizettiego zaczął współgrać ze spaghetti alla carbonara, a „Il Turco in Italia" („Turek we Włoszech") Gioacchino Rossiniego sprawił, że na stole pojawiło się spaghetti al pomodoro.

I dalej. „Don Giovanni" Wolfganga Amadeusza Mozarta przywołał zwetschgenknödel (u nas znane jako knedle ze śliwkami), a „L'elisir d'amore" („Napój miłosny") Gaetano Donizettiego postawił przed gośćmi soupe

de champagne. „I Pagliacci" („Pajace") Ruggero Leoncavallo zagrały się z pikantym pipi ripieni alla Calabrese, czyli faszerowaną papryką po kalabryjsku. „La Bohème" („Cyganeria") Giacomo Pucciniego – z lapin à la Dijonnaise (królikiem w musztardzie dijo), a „Carmen" Georges'a Bizeta... z gulaszem.

– Wiem, że gulasz kojarzy się z narodową potrawą Węgier, ale w tym języku jeszcze nie śpiewam. „Zamek Sinobrodego" Bartóka też nie wchodzi w rachubę, za to śpiewam po francusku Micaëlę w „Carmen". A jak Carmen, to toreador i byk, a jak byk – to gulasz! – tłumaczy Aleksandra Kurzak.

Przy „Turandocie" Giacomo Pucciniego częstuje Marzenę Rogalską (i czytelników) risotto agli asparagi verdi, czyli risotto z zielonymi szparagami. Przy „Otellu" Giuseppe Verdiego podaje farfalle ai carciofi (makaron kokardki z karczochami). I na finał: „Straszny dwór" Stanisława Moniuszki inspiruje do powstania ciasta z rabarbarem, czyli rabarbarotki.

– Rabarbar od zawsze kojarzy mi się z Polską, z polską wsią i moim dzieciństwem, kiedy zrywałam go u babci w ogródku, wkładałam w cukier i się nim zajadałam, bo nie było wtedy żadnych wymyślnych owoców. Ciasto z rabarbarem i kompot z rabarbaru to były klasyki w każdym polskim domu – tłumaczy swój wybór śpiewaczka.

„Don Carlos" Giuseppe Verdiego komponuje się z calamari fritti (smażonymi kalmarami z sosem czosnkowym), „Tosca" Giacomo Pucciniego – z saltimbocca alla romana (cielęcymi kotlecikami z szynką parmeńską i świeżą szałwią), a „Madama Butterfly" Pucciniego – z poisson en croûte de sel (rybą pieczoną w soli).

Wiele takich smaków przywołuje w swojej kuchni Aleksandra Kurzak. Każdy z nich, nawet w słodkim wydaniu, jest wyrazisty, nie do pomylenia z innymi.

Jolanta Gajda-Zadworna



Fot. Marlena Bielińska, Stella Vitchénian (3x)

TORT Z TRUSKAWKAMI

„Truskawka, a szczególnie ten obłędny tort truskawkowy, jest dla mnie cudownym, bajecznym smakiem – mówi w książce Aleksandra Kurzak [...]. Dlatego wybrałam »Czarodziejski flet«, który kojarzy mi się z najpiękniejszą bajką operową z morałem, z ukrytymi symbolami, z pochwałą człowieczeństwa, gdzie dobro zwycięża nad złem. Takie spektakle mogą rozkochać w operze nowe pokolenia".

Ciasto (składniki): biszkopt lub dla zagonionych gotowe ciasteczka biszkoptowe typu ladyfingers, 6 jajek, 3/4 szklanki drobnego cukru, 3/4 szklanki mąki pszennej tortowej typ 450, 1/4 szklanki mąki ziemniaczanej.

Wykonanie: Dno tortownicy o średnicy 24 cm wyłóż papierem do pieczenia, wypuść papier na zewnątrz, boków niczym nie smaruj. Żółtka oddziel od białek. Obie mąki przesiej dwukrotnie przez sitko i wymieszaj. Białka ubij ze szczyptą soli na sztywną pianę (najlepiej mikserem na wysokich obrotach). Pod koniec ubijania dodawaj stopniowo cukier i nadal ubijaj. Następnie dodawaj po jednym żółtku i dalej ubijaj kilka minut. Na koniec powoli dodawaj wymieszane mąki. Bardzo delikatnie wymieszaj łyżką tak, aby nie zniszczyć ubitej piany. Ciasto przełóż do przygotowanej tortownicy, wyrównaj delikatnie powierzchnię. Wstaw do nagrzanego piekarnika do 175 st. C i piecz 40 minut. Po upieczeniu biszkopt od razu wyjmij z piekarnika, upuść w foremce z wysokości 50 cm (np. na stół wyłożony ręcznikiem) i wstaw ponownie do lekko uchylonego piekarnika, całkowicie przestudź. Wystudzony biszkopt przekrój na warstwy.

Krem (składniki): 6 żółtek, 40 dag cukru, 1 szklanka mleka, laska wanilii, 1 i 1/2 kostki masła

Wykonanie: Żółtka utrzyj z cukrem. Laskę wanilii przekrój wzdłuż. Nożem zeskrob miąższ. Wrzuć zarówno miąższ, jak i pozostałą skórkę do mleka, zagotuj. Wyciągnij skórkę laski wanilii, a zagotowane mleko wlej do utartych żółtek, wymieszaj. Przelej z powrotem do garnka. Postaw garnek na małym ogniu i cały czas mieszaj drewnianą łyżką do momentu, aż masa zgęstnieje. Krem powinien mieć konsystencję budyniu. NIE DOPROWADZAJ DO ZAGOTOWANIA! Rozetrzyj masło. PRZESTUDZONY krem dodawaj po łyżce do masła i ucieraj. Przełóż biszkopt kremem i truskawkami. Udekoruj owocami także z zewnątrz. Żeby tort lepiej się prezentował, gdy używamy gotowych biszkoptów, zrób wewnątrz, po zarysie tortownicy, płotek z całych biszkoptów. Następnie wyłóż go warstwami: biszkopty, masa, truskawki.





SŁODKO-SŁONY

Święta na kilka rąk

ANNA MONICKA

W tym roku w rodzinie trwa spór o to, co będziemy pić i jeść w święta. Nikt nie ma siły jakoś szczególnie szaleć w kuchni, więc próbujemy skrócić jadłospis. Sęk w tym, że strony się zradykalizowały. Są zgodne, że skróty są niezbędne, ale dlaczego to oni mieliby z czegoś rezygnować. Sytuacja wygląda więc mniej więcej tak jak w polityce. Jedni chcą barszcz, inni grzybową z łazankami. Tata za nic nie zrezygnuje ze smażonego karpia, nawet gdyby kosztował 100 zł za kilogram, i pozostaje nieczuły na argumenty, że to przecież danie rodem z PRL, a nie żadna wigilijna tradycja. Mąż – jada śledzie w occie, najchętniej rolmopsy, ja z cebulką w oleju, a jeszcze lepiej z porem i imbirem albo z ukraińską szubą. Córka mogłaby żywić się postną kapustą i pasztecikami. Dla siostry wigilia to pierogi z prawdziwkami, dla drugiej – kisiel żurawinowy. Mama chce za to kompot z suszonych owoców. Nawet o rybę po grecku są spory – ma być z mintajem, miruną czy dorszem? A ponieważ święta w tym roku będą u mnie, po zjedzeniu garści tabletek na uspokojenie postanowiłam, że każdy ma zrobić swoje ulubione danie i z sobą zabrać.

Jedna siostra od razu zadeklarowała, że przywiezie pierogi. Mąż drugiej zrobi sernik i rybę z warzywami. Moja mama – barszcz, kapusta, pulpety. Tata – skoro chce karpia, niech go zrobi (a potrafi świetnie, tylko rzadko ma okazję). Córka – jazda do kuchni piec owsiane ciasteczka i pierniczki. Mąż jest mistrzem od nalewek – w wigilię nie zabłyśnie, ale dorzuci tu i ówdzie aroniówkę czy pigwówkę do prezentu. Druga siostra – kutia. Ja – mus żurawinowy, bulion grzybowy i gulasz z fasoli jaś z majerankiem. Śledzi będzie pod dostatkiem, bo każdy obiecał przyrządzić takie, jakie sam najbardziej lubi. Czyż to nie idealny scenariusz rodzinnego spotkania? Tak wigilia każdemu przypadnie do smaku.

Bulion grzybowy robimy z prawdziwków, podgrzybków, kurek, ale ostatnio dodaję też bardzo wonne japońskie shiitake. Płuczemy je, myjemy, a potem zalewamy letnią wodą i moczymy przez noc. W tym wywarze gotujemy je 2–3 godziny. W małej ilości wody na malutkim ogniu gotujemy też włoszczyznę z zielem angielskim, listkiem i kulkami pieprzu, koniecznie wkładamy podpieczoną cebulę. Na koniec dodaję lubczyk, zawsze mam zamrożony. Przecedzamy oba wywary przez sito do jednego garnka i doprawiamy masłem, zeszkloną cebulą, solą i pieprzem do smaku. Zupa najprostsza z możliwych. Zazwyczaj bulion popijamy, ale świetnie smakuje też z domowym makaronem. Można go lekko zabielić śmietaną.

WILCZYM OKIEM



Tymczasem pod śniegiem

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Jakieś 10 lat temu, będąc zimą w Beskidzie Niskim, wyrwałem przypadkiem bryłę śniegu wraz z lodem. Jej spód sięgał aż po darń łąki, na której latem pasą się owce. Chociaż panował silny mróz, a krajobraz wokół był arktyczny, okazało się, że głęboko pod śniegiem tętniło życie, o czym przekonał mnie widok licznych mrówek zajętych mimo środka zimy obgryzaniem źdźbeł trawy i gromadzeniem nasion. Oczywiście bryłę niezwłocznie i ostrożnie odłożyłem, żeby nie wyziębić mrówek.

Teraz też pod izolującą warstwą śniegu mrówki wciąż wykonują swoją pracę. Przyjrzyjmy się kilku ciekawym gatunkom.

Mrówka rudnica (*Formica rufa*) to mrówka, która buduje w lasach wielkie, wysokie nawet na metr kopce. Reguluje liczebność liściożernych gąsienic, chroniąc las przed defoliacją.

Mrówka gmachówka (*Camponotus ligniperda*) wygryza labirynty w pniach drzew. Największe osobniki dorastają do dwóch centymetrów długości i przy masywnej budowie wyglądają tak okazale, że prędzej spodziewalibyśmy się ich w tropikach niż w polskich lasach.

Wścieklica (*Myrmica* sp.) Część gatunków mrówek należących do tego rodzaju, zwanych często czerwonymi i skorych do gryzienia, występuje na łąkach. Są one niezbędne rzadkim motylom modraszkom. Gąsienice motyli, leżąc na podłożu, udają zagubione larwy wścieklic, wydzielając zmylające mrówki feromony. Kiedy mrówki zaniosą je do mrowiska, zaczynają żywić się jajami i mrówczymi larwami, bezpieczne pod zapachową osłoną. Po kilku miesiącach z mrowiska wylatuje mały, kolorowy motylek.

Mrówka złodziejka (*Solenopsis fugax*) drąży własne, tajne chodniki w mrowiskach innych mrówek i podkrada ich zapasy.

Zbójnica krwista (*Formica sanguinea*) porywa w niewolę mrówki innych gatunków i zapędza je do pomocy w swoim mrowisku. Jeszcze dalej posunęła się mrówka amazonka (*Polyergus rufescens*), która jest całkowicie uzależniona od niewolników i nie potrafi przetrwać bez ich pracy.

Hurtnice (*Lasius niger*) hodują mszyce. Zimą przechowują ich jaja w mrowiskach, a wiosną rozmieszczają je na roślinach, bronią ich i opiekują się nimi (niekiedy podgryzając skrzydła, żeby nie odleciały), a wszystko po to, żeby mieć stały dostęp do słodkiej spadzi.

Fot. Shutterstock

Reklama | 7/1222/F

NOWA

księgarnia niedziela

- Dostęp do **kilkudziesięciu tysięcy tytułów**
- **Nowości** wydawnicze
- Codziennie **atrakcyjne promocje**

- **NATYCHMIASTOWA REALIZACJA ZAMÓWIENIA**
- **SZYBKA DOSTAWA**
- **SZEROKI WYBÓR SPOSOBÓW DOSTAWY**
- **NOWE FORMY PŁATNOŚCI:**

• szybkim przelewem on-line lub kartą PayU
• przelewem tradycyjnym na konto
• gotówką lub kartą przy odbiorze
• PayPal

- **ZAMÓWIENIA:**

ksiegarnia.niedziela.pl
+48 34 369 44 00
ksiegarnia@niedziela.pl

UWAGA!
NOWY NUMER TELEFONU
+48 34 369 44 00

ksiegarnia.niedziela.pl



365 stron życia
Kalendarz na 2023 r.
Wydawnictwo: Jedność/„Niedziela"

cena: **17,50 zł**



Świat Objawień Jezusa
Wincenty Łaszewski
Wydawnictwo: Fronda

~~cena: 299,00 zł~~
cena: **169,90 zł**



Rok liturgiczny dla dzieci
Ks. Sebastian Kosecki
Wydawnictwo: eSPe

cena: **26,90 zł**

eprasa.pl 52ff5dafe5

3 MIŁOŚCI

Sakramenty zamykają nasze czakry. Sprawy zostały jasno postawione



ROBERT TEKIELI

„Sakramenty zamykają czakry. Celebrytka nie ochrzciła córek". To miał być felieton o Bożym Narodzeniu. „Agnieszka Kaczorowska mówi »nie« chrzczeniu dzieci!" – krzyczą nagłówki setek popularnych portali. „To jest też od strony duchowej i energetycznej, związanej z czakrami w naszym ciele, potwierdzone, że sakramenty zamykają nasze czakry. Wierzę, że po co mamy coś zamykać, jak możemy coś otwierać" – mówiła aktorka z przekonaniem.

Agnieszka Kaczorowska, znana najszerzej dzięki roli Bożenki z „Klanu", w dzisiejszym świecie odgrywa rolę autorytetu dla kilku milionów Polaków. Czy ktoś tego chce, czy nie, tak wygląda świat TikToka, Instagrama, kolorowych magazynów dla kobiet, pudelków i portali parentingowych.

Aktorka powiedziała, że nie hejtuje żadnej wiary i wykazuje się pełną tolerancją dla tych, którzy są wierzący. Ja jej wierzę i sądzę, że nie uświadamia sobie, iż jej wypowiedź jest używana w trwającej od kilku miesięcy potężnej akcji uderzającej w Kościół, w jego sakramenty i w autorytet Jana Pawła II.

Wypowiedź, w której postawiła synkretyczne wierzenia ponad objawienie, podjęły portale mające miliony odbiorców. Chwilę wcześniej Dawid Podsiadło mówił „nie" Kościołowi i wybrał apostazję. Co mamy robić według autorów trwającej właśnie antychrześcijańskiej kampanii? Nie chrzcić dzieci. Nie wprowadzać ich do Kościoła. Zabronić im spowiedzi. Jak taki ustawowy zakaz spowiedzi osób do 16. roku życia miałby wyglądać? Antychrześcijańskie bojówki na dyżurach przy konfesjonałach? Absurdalne? Ale jakie ma zasięgi.

Tradycyjne religie zostały przetestowane na setkach pokoleń. W religiach ogłoszonych przez ludzi – w szamanizmie, hinduizmie, buddyzmie – mamy dążenie do dobra, mamy okruchy prawdy. W religii objawionej przez Boga prawdy jest tyle, ile człowiek jest zdolny przyjąć

Wystąp z Kościoła, nie chrzcij dzieci, każdy ksiądz to pedofil, święty papież przymykał oczy na krzywdę najmłodszych. Zabronić spowiedzi! Nie sądzę, by Agnieszka Kaczorowska życzyła sobie umieszczenia swojej wypowiedzi w takim kontekście.

Bóg pojawił się w historii człowieka. Urodził się, będziemy za chwilę wspominać to wydarzenie. Boga ma nie być w sercach ludzi. Pracują nad tym pokolenia osobistych wrogów Pana Boga.

Tyle okoliczności i konteksty, a teraz do meritum. Według jednej z popularniejszych definicji krążących w sieci, czakra to jeden z wielu ośrodków psychiczno-energetycznych w ciele, ważnych w okultystycznych praktykach fizjologicznych niektórych odmian hinduizmu i buddyzmu. Nie będę tu prostował nieścisłości zawartych w tej definicji ani omawiał kwestii subiektywizmu doznań, na których hinduiści oparli swoje hipotezy duchowe. Nie będę się też odnosił do efektów tych praktyk u osób wychowanych w tradycji hinduizmu i buddyzmu. Interesuje mnie tylko przenoszenie wschodnich wierzeń religijnych na teren Zachodu. I toksycznych konsekwencji takich zabiegów.

Jestem pełen życzliwości dla pani Agnieszki. W jej wieku prowadziłem podobne poszukiwania. Nie czynię się mądrzejszym, dzielę się doświadczeniem.

Jako dziecko zostałem ochrzczony, w wieku trzydziestu paru lat przeszedłem przez „energetyczną" inicjację, moje czakry zostały otwarte. Przeżyłem doświadczenie samadhi, kosmicznego pochłonięcia. Doprowadziło to w efekcie do bardzo mocno raniących mnie przez kilka lat konsekwencji.

Pojęcie czakr wywodzi się z hinduizmu. Nie ma ani jednego badania naukowego potwierdzającego obiektywne istnienie energii, o której mówi hinduizm. Przyjąć istnienie czakr można tylko na wiarę. Dla człowieka ochrzczonego oznacza to bałwochwalstwo.

Reklama | 32/1122/F

Chrzest dla nikogo nie musi być wartością, ale u osób ochrzczonych chrześcijańska inicjacja się dokonała. I jej zastąpienie przez inną przynosi negatywne konsekwencje. Dowodzą tego świadectwa bardzo wielu osób. W swoich filmach i audycjach radiowych zdokumentowałem ponad 50 takich dramatycznych często historii.

Ochrzczenie czy nieochrzczenie dzieci jest wolnym wyborem rodzica. Ale skoro chrzest zamyka czakry, a ja wybieram czakry, to odrzucam chrzest.

Albo Bóg, albo czakry. Sakramenty zamykają jedną ścieżkę, otwierają inną. Nie można iść naraz dwoma drogami. Gdy stawiamy w opozycji sakramenty i hinduistyczne wierzenia, dokonujemy wyboru. Agnieszka Kaczorowska świadomie czy nieświadomie zamknęła się na prawdę objawienia. Nie jest więc – jak sądzi – osobą otwartą na wszystko.

Nie każda droga prowadzi na szczyt, są systemy duchowe rozumiejące duchowość lepiej, są rozumiejące ją gorzej. Istnieją także toksyczne duchowości.

Tradycyjne religie zostały przetestowane na setkach pokoleń. W religiach ogłoszonych przez ludzi – w szamanizmie, hinduizmie, buddyzmie – mamy dążenie do dobra, mamy okruchy prawdy. W religii objawionej przez Boga prawdy jest tyle, ile człowiek jest zdolny przyjąć.

Dziś ludzie tworzą synkretyczne duchowości, religie „zrób to sam". Przeszczepianie religijnych praktyk hinduizmu na teren świecki, ich desakralizacja czyni je toksycznymi. Moc, którą hinduistyczna tradycja, wiedza i praktyka potrafi okiełznać, uwolniona, trafiając do rąk ludzi niewprowadzonych w głęboką wiedzę religijnych mistrzów Wschodu, będzie kaleczyć.

Stawiam sprawę jasno. To, o czym tu piszę, nie dotyczy wyznawców hinduizmu, którym nie ogłoszono dobrej nowiny o Chrystusie. Bóg nikogo nie karze. Na koniec osądzi nas własne sumienie: zobaczymy wszystkie swoje złe i dobre czyny, zobaczymy ich konsekwencje w życiu skrzywdzonych i obdarowanych przez nas ludzi. Ludzie wszystkich religii, którym nie opowiedziano o ukrzyżowanej Miłości, o najbardziej kochającym człowieku na świecie, staną na sądzie z bagażem swoich dobrych i złych uczynków osądzanych przez naturalne sumienie, które jest dane każdemu człowiekowi.

Inicjacja chrześcijańska, sakramenty chrztu, bierzmowania, Eucharystia i sakrament pokuty chronią przed otwarciem się na toksyczny świat duchowy. Dla człowieka ochrzczonego wejście w duchowość hinduistyczną jest kaleczącym jego wnętrze bałwochwalstwem.

O losie nieochrzczonych dzieci wychowywanych w kulturze europejskiej i wprowadzanych w przedchrześcijańskie wierzenia choćby tylko przez techniki „energetyczne" napiszę kiedy indziej. Jednak pytanie – po co mamy coś zamykać, kiedy można się otwierać – w ramach eksperymentu można zamienić na inne, np. czy warto przebywać w pomieszczeniu wypełnionym gazem, o którego składzie nic nie wiemy. Ja w takim byłem, pani Agnieszko. Nikomu tego nie polecam.



Fundacja Hospicyjna

Kartka charytatywna Fundacji Hospicyjnej
Przekaż 1,5% podatku KRS 0000 201 002

Grafikę świąteczną przygotowała wolontariusz/ka Fundacji Hospicyjnej

Gdy pierwsza gwiazdka na niebie się pojawi
Gdy pod choinką prezent się zjawi
Byśmy rozmawiając przy stole o cudzie
Spojrzeli jacy wokół nas są wspaniali ludzie
Byśmy wspólnie się wszyscy radowali
I szczęściem się obdarowywali
Byśmy docenili ten wspaniały czas
Kiedy bliscy są wokół nas
Z okazji Świąt Bożego Narodzenia
oraz Nowego Roku

życzenia składa
Kasa Krajowa

30 LAT SKOK DLA WSPÓLNEGO DOBRA

Grudzień 2022

eprasa.pl 52ff5dafe5

Ciekawość nieoczywistości

„Koniec ruskiego miru" wpisuje się w nurt poszukiwania głębokich korzeni – ideowych, historycznych, kulturowych – warunkujących współczesne działania dysponentów władzy

„To znakomite streszczenie sytuacji – przyznał cierpko Hix. – Jest wręcz wybitnie pomocne, a zarazem nieścisłe prawie w każdy możliwy sposób". Tyle pewien wybitny specjalista w pewnej ezoterycznej dziedzinie wiedzy w pewnej znakomitej powieści Terry'ego Pratchetta (kto ma rozpoznać, ten rozpozna). Ale przecież z podobnymi streszczeniami sytuacji – nieścisłymi w niemal każdy możliwy sposób, a zarazem w jakiś sposób pomocnymi – mamy do czynienia również w wielu innych dziedzinach ludzkiego poznania, np. w rosjoznawstwie. Niemcy szczycą się od lat swoimi Russlandversteherami (choć po prawdzie znakomita większość z nich okazała się przy bliższym zbadaniu po prostu Putinversteherami), ale Polacy – o, ci dopiero mają wiele do powiedzenia o Rosji!

Żeby było jasne: nie drwię sobie z tej kompetencji, nadzwyczaj krwawo okupionej, jeśli nie bezpośrednio przez dzisiejszych rosjoznawców, to przez pokolenia ich przodków. I rzeczywiście – na poziomie już to eksperckim, już to intelektualnym – Polska naprawdę miała i ma bardzo wiele do zaoferowania światu, jeśli chodzi o rozumienie Rosji: od „Wykładów paryskich" Mickiewicza po „Dziennik pisany nocą" Herlinga i „Bajkę ruską" Herberta, od relacji jenerała Kopcia z Kamczatki (gdzie trafił zesłany po insurekcji kościuszkowskiej) po dzisiejsze prace analityków z Koszykowej i Wareckiej, wyglądane w Waszyngtonie.



Wojciech Stanisławski

Tyle że, po pierwsze, to głębokie rozumienie często rozwadnia się i cukruje zarazem w słodki, pożywny syropek, w zlepek komunałów, na które złożyły się kartkowane kiedyś książki, rozmowa z Saszą sprzedającym (lata temu) sekatory na Stadionie Dziesięciolecia oraz ogólne poczucie krzywdy. Taka wiedza rosjoznawcza często sprowadza się do rozpaczliwych komunałów („Ruski lubi wypić", „Z Iwanem trzeba twardo", „Im zawsze mało"), niezłych może jako „rule of the thumb" w sytuacji bezpośredniego zagrożenia, mniej przydatnych, gdy trzeba myśleć o dziesięcioleciach, które nadejdą. Nawet jednak gdy wiedza ta jest nieco bardziej rozbudowana, często przypomina refleksje geopolityczne niezapomnianego por. Duba, który – jak wiadomo – o wszystkim rozmawiał jeszcze przed wojną ze swoim starostą. Cały słownik komunałów można by zestawić ze światłych myśli naszych geopolityków z własnym kanałem na YouTube, dowodzących, że „to cywilizacja turańska, wiemy to od Koneczngo", „poskrob Rosjanina, a ukaże się Tatar" (nie pamiętają chyba, że to z „Młodzika" Dostojewskiego, może dlatego, że tam pada to po francusku), „Putin to czekista, służby rządzą Rosją od 100 lat". Wszystko to (poniekąd) prawda, skoro jednak wszystko da się tak znakomicie wytłumaczyć jednym zdaniem, nad czym tu się jeszcze zastanawiać?

A po wtóre – podobnie jak podróżnik na bezdrożach powinien brać pod uwagę możliwość anomalii magnetycznej, tak pisząc w Polsce o Rosji, trzeba brać pod uwagę doświadczenie historyczne Rzeczypospolitej, od rozejmu andruszowskiego będącej w defensywie, w rosyjskiej niewoli lub w najlepszym razie suwerennej. Taki punkt widzenia („Triepiet' małogo piered bol'szim") pozwala dostrzec naprawdę wiele (szczególnie – ciemne strony dominującej potęgi, jej przemoc i okrucieństwo), ale też sprzyja zawężeniu perspektywy. Utrudnia, jeśli nie uniemożliwia, zachowanie dystansu. Spojrzenie na sytuację z lotu ptaka – albo przynajmniej z niczym niezagrożonych murów i baszt konkurencyjnego imperium.

I wtedy wchodzi Skwieciński, nienagannie ubrany.

Jego najnowsza książka wpisuje się w nurt poszukiwania głębokich korzeni – ideowych, historycznych, kulturo-

wych – warunkujących całkiem współczesne działania dysponentów władzy, korzeni nieraz zdumiewająco odległych od ich deklarowanych, a bywa, że i szczerze wyznawanych przekonań. Isaiah Berlin analizował nazizm jako produkt kontr-Oświecenia, reakcji na cywilizację Rozumu. Alain Besançon zabłysnął „Intelektualnymi korzeniami leninizmu", choć Kołakowski z wcześniejszymi o pięć lat „Głównymi nurtami marksizmu", wywodzącymi sprawność Jeżowa z tęsknoty Plotyna, jest nie do przebicia. Piotr Skwieciński zaś w tym fatalnym czasie, z kanonadą pod Bachmutem i zamarzającymi szpitalami dziecięcymi w odciętej od prądu Odessie, usiłuje wskazać – jak sam deklaruje – „intelektualne źródła Buczy".

Naturalnie, robi to na sposób eseistyczny, nie akademicki (szkoda trochę tych nienapisanych przypisów, bo jest w tej książce gęsto od nazwisk, tytułów i myśli, którym chciałoby się bardziej systematycznie przyjrzeć), kołując wokół tematu, powracając do niektórych wątków. Błyskotliwie, a zarazem ostentacyjnie stroniąc od oczywistości, znajdując wręcz – powiedziałbym – pewną przyjemność w podważaniu zbyt prostych konkluzji, zupełnie jakby mistrzem był mu Lew Szestow ze swoją „Apoteozą nieoczywistości. Próbą myślenia dogmatycznego" z początku XX w.

Nie wiem, czy tak jest, ale cieszy mnie to permanentne, od pierwszego akapitu książki (w którym autor pochwały Rosjan jako dysponentów narodowej idei zbawienia ludzkości okazuje się nie uczniem Tiutczewa czy Karamzina, lecz niemieckim filozofem kultury, niekomunistą i nielewicowcem) wyprowadzanie w pole zbyt rozpędzonych harcowników. Mawia się nieraz w Warszawie o „zarembizmie" jako pewnym sposobie uprawiania refleksji politycznej, w którym stale waży się wszystkie racje i chętnie sięga po frazę „ale z drugiej strony". Być może wraz z „Końcem ruskiego miru" mamy okazję obserwować narodziny „skwietyzmu" (nie mylić z kwietyzmem bp. Fénelona – te teksty pełne są, jeśli nie pasji, to ironii i ciekawości świata) – refleksji, w której niemal podpuszcza się zbyt naiwnych czytelników, by skręcić w miejscu: otóż nie, rzecz nie jest tak oczywista, jak myślicie. Zachód był pełen dystansu do koncepcji rozszerzenia NATO aż do połowy lat 90. Krąg Putina to nie prości kleptokraci. Piotr I jest jedną z najważniejszych postaci w rosyjskim panteonie władzy – ale i jedną z postaci najbardziej wieloznacznych, od których odżegnują się poczwiennicy. Stale przestrzega też autor przed pułapkami monokazualizmu, wskazuje, że świadomość człowieka ma wiele poziomów... Być może tego rodzaju kołowanie i wpuszczanie w kopny śnieg followersów to jedyny sposób na polskich rosjoznawców, by przestali pohukiwać, a zaczęli myśleć.

Dodajmy, że to kołowanie pozwala uzyskać naprawdę szeroką perspektywę. Skwieciński, który spędził przecież w Moskwie kilka lat, równolegle czytał ją i zwiedzał. Potrafi precyzyjnie umieścić w układzie politologicznych współrzędnych (i to kilkuwymiarowym) kilkadziesiąt osób, współtworzących obecnie gęsty szum kremlowskiego przekazu, i potrafiąc wyróżnić takie odcienie myśli, jak „niereligijny paleokonserwatysta" czy „okołokremlowski liberał", rozpoznając w tym koncercie linie poszczególnych instrumentów i ruchy pałeczki dyrygenta. Wskazuje i wypreparowuje poszczególne narracje i ich twórców, w czym odwołuje się do zachodnich politologów i rosyjskich myślicieli emigracyjnych. A jednocześnie – co może najbardziej niespodziewane w podobnym eseju – odwołuje się do rosyjskich filmów historycznych, dystopijnej „pulp fiction" czy urn, stojących w zapomnianym bolszewickim kolumbarium, w krużgankach cerkwi na cmentarzu Dońskim...

Wnioski płynące z tych lektur i wędrówek są spójne i niebudujące. Rosyjska pamięć historyczna (czy – jak lubi pisać Skwieciński – geny kulturowe) jest oczywiście tworzywem plastycznym, pozwalającym na tworzenie narracji wieloznacznych, hybrydowych czy wręcz częściowo sprzecznych wewnętrznie. Zarazem jednak jest ona prawdziwie siłą fatalną: przekonanie o bezwzględnej potrzebie posiadania spójnego, silnego, wszechwładnego państwa, które jako jedyne jest zdolne zapobiec fali chaosu, potrafiło przemienić i XIX-wiecznych liberałów, i bolszewików, którzy początkowo gardząc Rosją, nie tylko się z nią pogodzili, lecz także dokonali jej umocnienia i apoteozy. Jeśli dodać do tego choćby (a nie wyczerpuję w tym momencie w żadnym razie katalogu poruszanych w książce wątków) umacniające się wśród elit politycznych przekonanie o konieczności wyboru przez Rosję „własnej drogi", trwałego rozbratu z Zachodem jako konieczności ocalającej tożsamość i państwo, jeśli dodać renesans „mentalnej linii bestużewowsko-aleksandryjskiej", czyli gniewnego resentymentu wobec wszystkich państw i potęg ościennych – mało mamy powodów do spokoju. Wiele – do przeczytania tej książki.



Piotr Skwieciński, „Koniec ruskiego miru? O ideowych źródłach rosyjskiej agresji", Teologia Polityczna, 2022

ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM

„Wednesday” – dziwoląg miarą normalności

„Rodzinę Addamsów” miał kręcić w 1991 r. Tim Burton. Ostatecznie zrobił to Barry Sonnenfeld. Opowieść o upiornej, choć sympatycznej rodzinie wziął się z komiksu i z serialu telewizyjnego. Po sukcesie wersji Sonnenfelda było kilka kontynuacji, remake'ów i serialowych przeróbek.

Podejmując się przypomnienia tamtych postaci, zgodnie z obecną modą, Netflix raz jeszcze postawił na serial. I powierzył koordynację całości Timowi Burtonowi. To spec od dziwności. Umiał je przyrządzać smacznie jako pastisze horrorów („Sok z żuka”), jako historyjki mocno rzewne („Edward Nożycoręki”) czy zwariowane niby-kryminały – to on nakręcił pierwszego „Batmana”.

Główną postacią będącego hitem Netfliksa serialu „Wednesday” jest córka Gomeza i Morticii Addamsów, upiornie blada dziewczynka, u Sonnenfelda grana przez Christinę Ricci, która tu występuje w innej roli. Nastolatka trafia za karę do szkoły z internatem dla „dziwolągów” o dźwięcznej nazwie Nevermore. Początkowo chce z niej uciec, ale przychodzi jej wyjaśnić sprawę serii morderstw, które rzucają cień na szkołę. Nasuwa się podobieństwo do Harry'ego Pottera. Tam mieliśmy czarodziei. Tu młodociane wampiry, wilkołaki, gorgony czy syreny poprzebierane w szkolne mundurki.

Te osiem odcinków kręcone przez trójkę reżyserów ogląda się z zaciekawieniem dla quasi-kryminalnej intrygi. Chwilami fantazja wizualna wzbudza podziw. A jednak daleko mi do kupienia tej wizji Burtona – po raz pierwszy w życiu.

Już autorzy klasycznej „Rodziny Addamsów” unikali objaśniania, co w okropieństwach rodzinki było kreacją, a co krwawą rzeczywistością. Miało być tylko zabawnie. Tu niby jest tak samo, mamy odciętą rączkę wędrującą po świecie i przez chwilę demonicznego wujka Festera. Ale tu mamy jednak dłuższą opowieść, podawaną ze szczegółami i bardziej serio.

Największy kłopot miałem z główną bohaterką, graną przez Jennę Ortegę na jednej minie, bo Wednesday nie ma ludzkich uczuć. Zaczyna w zwykłej szkole od wrzucenia kolegom piranii do basenu. W środku serialu rodzice dają jej w prezencie wiewiórki do przeprowadzania na nich sekcji. Czy można ją polubić? A to serial w sumie dla młodzieży. W necie czytam, że to bohaterka nowego pokolenia i robi mi się nieswojo.

Potter i jego koledzy walczyli jednak przeciw złu. Wednesday, na dokładkę drażniąco perfekcyjna, niby też walczy, ale mimochodem i jest w tej roli mało przekonująca. Owszem, odrobinę się zmienia. Nabywa jakieś emocje. Ale ciężko jej kibicować. Przynajmniej mnie. Ciężko też uwierzyć w zagrożenia wiszące nad Nevermore. Wokoło krąży potwór? A wampiry i wilkołaki niby czym są? Choć łaskawie pomija się ich nawyki i hobby.

Na dokładkę pierwszy raz łapię Burtona na ideologizowaniu. „Dziwolągi” bywają zagrożone przez „normalnych”. Miasteczko Jerycho, dziedziczące tradycję purytańskich kolonizatorów, a sąsiadujące ze szkołą, jest uczone tolerancji wobec nich. Kiedy zobaczyłem w trzecim odcinku, jak ojciec założyciel Jerycha prześladuje w XVII w. niewinną wiedźmę, przypomniał mi się podobny pomysł z serialu „Ulice strachu”. Zresztą ten koncept,



w którym „dziwacy” są lepsi od zwykłych ludzi, to także ostatnie „Stranger Things” i wiele innych filmów. Normalność staje się podejrzana.

Co zabawne, Burton został oskarżony o... rasizm. Bohaterowie o czarnej skórze są tu podobno przedstawieni zbyt negatywnie. Skądinąd przechodzą pozytywne przemiany, ale inwencja dzisiejszej policji myśli nie zna granic. Mnie bardziej zmartwiły wygibasy samego Burtona. Najwyraźniej musimy być poddawani społecznym inżynieriom nawet przez takie produkcje.

Piotr Zaremba

Polska Fundacja Narodowa promuje polską myśl meblarską i wzorniczą

Polska Fundacja Narodowa, włączając się w projekty promujące polską myśl meblarską i wzorniczą, upowszechnia wizerunek Polski jako kraju z rozwijającą się gospodarką, atrakcyjnym dziedzictwem kulturowo-historycznym, ogółem jako miejsca przyciągającego uwagę inwestorów, którzy w kryzysie usilnie poszukują bezpiecznych rynków i wiarygodnych kontrahentów



Naszym celem nie jest promowanie po prostu produktów, ale przede wszystkim tradycji polskiego wzornictwa. We współpracy z Ogólnopolską Izbą Gospodarczą Producentów Mebli od kilku lat wspieramy promocję polskich mebli i designu polskich projektantów na amerykańskim rynku. Pamiętajmy, że to nie tylko sukces produktu, lecz także umiejętności zbudowania relacji, partnerstwa i skuteczności. Możemy też być dumni z projektantów nagradzanych w międzynarodowych konkursach wzorniczych. Te nazwiska to marka sama w sobie: Oskar Zięta, Maja Ganszyniec, Tomasz Rygalik, Robert Konieczny, Tomasz Kuchciński, Tomasz Augustyniak. Nie możemy zapomnieć o dziedzictwie, którym jest panteon nieżyjących już projektantów z lat 50., 60. i 70. – Wanda Telakowska, Roman Modzelewski, Bogusław i Czesława Kowalscy – czy pierwszej połowy XX w. – Stanisław Wyspiański, Władysław Strzemiński i wielu innych. Polska marka nie ma jeszcze określonej tożsamości, nie kojarzy się z określonym zespołem symbolicznych czy wizualnych skojarzeń, które mogłyby się stać źródłem wyróżnialnego stylu estetycznego. Tak jak styl skandynawski będący synonimem konkretnych, wizualnie kojarzonych elementów meblarskich i dekoracyjnych. Marka kraju czy też obszaru pochodzenia jest liczącym się czynnikiem przy wyborze produktów importowanych. Polskie meble cieszą się dobrą reputacją w kręgach branżowych, ale chcemy wyjść poza obszar środowiskowy i ukształtować opinię szerszych grup konsumentów. Zatem to właśnie niedostateczną rozpoznawalność za oceanem wskazałbym jako słaby punkt, ale właśnie po to podejmujemy współpracę z Ogólnopolską Izbą Gospodarczą Producentów Mebli, aby to zmienić.

Potencjał biznesowy targów w High Point to unikatowa możliwość wzmocnienia rozpoznawalności polskiej marki, bezpośrednie dotarcie do decydentów gospodarczych i politycznych, analityków biznesowych, inwestorów, architektów, segmentów konsumentów itd. Stany Zjednoczone są światowym liderem w imporcie mebli, z ok. 30 proc. udziałem w rynku, stanowią aktualnie największy rynek zbytu dla mebli. Obserwując sytuację zachwiania współpracy amerykańsko-chińskiej, niezaprzeczalnie jest to czas na zaprezentowanie polskich produktów w USA. Według raportu „Prognoza eksportu 2021", przygotowanego przez B+R Studio Tomasz Wiktorski, wzrost dynamiki sprzedaży polskich mebli na rynku amerykańskim o 26 proc. w r/r jest konsekwencją systematycznych działań promocyjnych realizowanych przez OIGPM wraz z PFN. Mamy nadzieję, że w dłuższej perspektywie czasowej polski sektor meblarski osiągnie jeszcze bardziej wymierne efekty jako polski przemysł rodzimy.

Dr Marcin Zarzecki, prezes zarządu Polskiej Fundacji Narodowej



Fot. Maciej Bledrzycki/PFN (2x)

eprasa.pl 52ff5dafe5



Sprzedaż polskich mebli w USA poszybowała w górę

To efekt współpracy Polskiej Fundacji Narodowej z Ogólnopolską Izbą Gospodarczą Producentów Mebli. Wzrost sprzedaży w tym roku wyniósł 26 proc. Dane opublikowano w raporcie „Prognoza eksportu 2021", który został przygotowany przez B+R Studio Tomasz Wiktorski

Stoisko o powierzchni ponad 300 m², przygotowane przy wsparciu Polskiej Fundacji Narodowej, prezentuje ofertę polskich firm meblarskich oraz polskie wzornictwo.

Realizacja projektu zapowiada efekty na kilku obszarach w wymiarze wieloletnim – mówi dr Marcin Zarzecki, prezes zarządu Polskiej Fundacji Narodowej.

Stany Zjednoczone są światowym liderem w imporcie mebli. Wsparcie projektu stanowi promowanie Polski w wymiarze gospodarczym, historycznym, kulturalnym oraz przyrodniczym, realizacja projektu zapowiada efekty na kilku obszarach w wymiarze wieloletnim.

POLSKIE MEBLE W USA

Polska branża meblarska to przykład sukcesu transformacji gospodarczej, opartej na przedsiębiorczości Polaków i ich kreatywności. Według szacunków Ogólnopolskiej Izby Gospodarczej Producentów Mebli za 2019 r. polskie meble wypracowały wartość produkcji sprzedanej przekraczającą 51 mld zł, co daje Polsce 6. miejsce na świecie w rankingu producentów. Jednocześnie – według organizacji branżowej – 90 proc. polskich mebli zostało wyeksportowane, co zapewnia Polsce 2. miejsce na świecie w rankingu światowych eksporterów mebli z eksportem na poziomie 47,5 mld zł.

Polska Fundacja Narodowa we współpracy z Ogólnopolską Izbą Gospodarczą Producentów Mebli wspiera promocję polskich mebli na rynku USA. Polscy producenci mebli, w ramach projektu European Smart Design from Poland, wzięli udział w trzech edycjach prestiżowych targów meblarskich w High Point w Karolinie Północnej w Stanach Zjednoczonych (październik 2020 r. oraz wiosna i jesień 2021 r.). High Point mogące poszczycić się ponad 100-letnią tradycją handlu meblami w Stanach Zjednoczonych, koncentruje corocznie profesjonalistów, designerów, architektów wnętrz i handlowców ze wschodniego wybrzeża USA. Udział w tych targach to ogromny potencjał biznesowy, gdyż wydarzenie to jest obowiązkową pozycją w kalendarzu osób decydujących o wprowadzaniu mebli do sprzedaży w amerykańskich sieciach handlowych. Obecność siedmiu najważniejszych polskich firm meblarskich w High Point pozwoli na systematyczne budowanie dobrych i długotrwałych relacji z partnerami biznesowymi oraz wzmocni pozytywny wizerunek polskiego przemysłu meblarskiego.

Zaangażowanie Polskiej Fundacji Narodowej stanowi próbę zwiększenia mocy sprzedażowej branży meblarskiej i wsparcie polskiej marki na rynku amerykańskim poprzez pokazanie, że Polska posiada bardzo złożoną i ciekawą tradycję w zakresie projektowania i produkcji mebli, opartą na dziedzictwie, jakim jest polska myśl meblarska.

Na terenie High Point w trakcie targów powstanie instalacja artystyczna – rzeźba wykonana przez znanego polskiego projektanta Oskara Ziętę.

W polskiej branży meblarskiej pracuje obecnie ok. 200 tys. osób w ponad 28 tys. firm. Wiele krajowych firm działa od lat 80. XIX w., a dzisiejsza pozycja Polski na świecie to w dużym stopniu zasługa projektantów i architektów nagradzanych w krajowych i międzynarodowych konkursach wzorniczych. Sukces branży meblarskiej to także pracowitość, gościnność i solidarność Polaków w odniesieniu do partnerów z całego świata, którzy od ponad 130 lat nabywają meble z Polski, lokują tu produkcję i nawiązują partnerskie relacje.

Fot. Materiały prasowe PFN

eprasa.pl 52ff5dafe5

Polska Fundacja Narodowa partnerem konkursu Young Design 2022

Polska Fundacja Narodowa kolejny raz dołączyła do partnerów konkursu Young Design, organizowanego corocznie przez Instytut Wzornictwa Przemysłowego

Konkurs, skierowany do studentów i absolwentów kierunków, takich, jak: wzornictwo, sztuka, grafika, malarstwo i architektura, ma za zadanie wspierać młodych projektantów w rozwinięciu kariery.

Tegorocznym tematem konkursu jest dobrostan, a wiąże się bezpośrednio z postacią Ignacego Łukasiewicza, patrona 2022 r. Łukasiewicz, którego 200. rocznicę urodzin obchodzimy w tym roku, był jednocześnie farmaceutą, przedsiębiorcą, założycielem pierwszej na świecie kopalni ropy naftowej i wynalazcą lampy naftowej, a przy tym działaczem niepodległościowym. Tym samym jego wszechstronna działalność skupiała się na podnoszeniu jakości życia.

– Głównym celem zaangażowania Polskiej Fundacji Narodowej w konkurs Young Design 2022 jest chęć wsparcia i rozwoju młodych polskich projektantów oraz przyczynienie się do wzrostu znaczenia polskiego designu nie tylko w naszym kraju, lecz także na arenie międzynarodowej – powiedział Michał Góras, wiceprezes zarządu PFN.

– PFN promuje polskich projektantów, a szczególnie zależy nam, by młodzi reprezentanci szkoły polskiego designu otrzymali możliwość tworzenia produktów i obiektów konkurujących z analogicznymi dziełami ich zagranicznych odpowiedników. Nagroda, którą Polska Fundacja Narodowa funduje kolejny rok w ramach konkursu Young Design w Instytucie Wzornictwa Przemysłowego, jest konkretnym wsparciem finansowym, a przede wszystkim wyrazem uznania dla młodych polskich talentów – powiedział dr Marcin Zarzecki, prezes zarządu Polskiej Fundacji Narodowej.



Uroczysta gala i rozstrzygnięcie konkursu odbyło się w piątek 30 września w Warszawie. Nagrodzone projekty można było oglądać na wystawie w Instytucie Wzornictwa Przemysłowego.

Promocja polskiego designu na Expo

1. **Czas (realizacji):** Pokaz mody „Śladami polskiego folkloru" odbył się 26 października 2021 r., a od 29 października do 10 listopada kolekcja była prezentowana podczas wystawy Expo 2020 Dubai.
2. **Współpraca:** Fundacja „Serce nie ma zmarszczek".
3. **Miejsce (realizacji):** Arab Fashion Week podczas Expo w Dubaju.
4. **Odbiorcy:** Widzowie pokazu Arab Fashion Week w Dubaju.
5. **Zakres działań:** Zaprezentowanie kolekcji modowej Doroty Goldpoint podczas prestiżowego tygodnia Arab Fashion Week w Dubaju. Prezentowana kolekcja pt. „Śladami polskiego folkloru" była inspirowana Państwowym Zespołem Pieśni i Tańca „Mazowsze". Samo zakwalifikowanie się do udziału w pokazie mody było dużym sukcesem i wyróżnieniem. Po zakończonym tygodniu Arab Fashion Week kolekcja Doroty Goldpoint była prezentowana na stoisku podczas światowych targów Expo 2020 w Dubaju.
6. **Cele projektu:**

– promocja polskiej kultury i designu na rynku arabskim,
– zwiększenie zainteresowania polską muzyką i strojem ludowym,
– promocja polskich dóbr kultury i dziedzictwa narodowego,
– upowszechnianie polskiej tradycji narodowej, pielęgnowanie polskości oraz rozwój świadomości narodowej,
– promowanie Polski i Polaków za granicą.

Fot. Maciej Bledrzycki/PFN

eprasa.pl 52ff5dafe5

Polska Fundacja Narodowa partnerem konkursu Young Design 2021 – Rok Lema

Cieszymy się, że polski design coraz lepiej promuje Polskę na świecie. Design to nie produkty, ale koncepcje wykraczające poza dany czas, korespondujące z twórczością Stanisława Lema. PFN w Roku Lema postanowiła konkretnie wesprzeć polskich twórców, którzy w obszarze sektorów kreatywnych przedstawią projekty integrujące polską sztukę designu z filozofią przyszłości Stanisława Lema – zaznaczył wiceprezes Polskiej Fundacji Narodowej Michał Góras.

Już od 12 lat Instytut Wzornictwa Przemysłowego jest organizatorem konkursu Young Design, który ma za zadanie wspierać młodych projektantów w rozwinięciu kariery. Konkurs jest kierowany do studentów i absolwentów wzornictwa, sztuki, grafiki, malarstwa i architektury. W tym roku, z uwagi na obchodzony Rok Lema, odbywa się specjalna edycja konkursu. Tegorocznym tematem przewodnim jest design spekulatywny, czyli wzornictwo przyszłości, inspirowane właśnie twórczością Stanisława Lema. Nowością jest również stworzenie specjalnej kategorii konkursu – Very Young Design – skierowanej do młodzieży w wieku 13–18 lat, która chciałaby spróbować swoich sił w projektowaniu.

Finałowe projekty zostały zaprezentowane kapitule konkursu, a najlepsze z nich zostały wyróżnione m.in. Stypendium im. prof. Wandy Telakowskiej, przyznawanym przez ministra kultury, dziedzictwa narodowego prof. dr. hab. Piotra Glińskiego, Nagrodą Fundacji Agencji Rozwoju Przemysłu oraz Nagrodą Prezesa Agencji Rozwoju Przemysłu.



Polska Fundacja Narodowa dołączyła do partnerów konkursu Young Design organizowanego corocznie przez Instytut Wzornictwa Przemysłowego

Podczas uroczystej gali wręczenia nagród, która odbyła się 14 października, została również przyznana Nagroda Prezesa Polskiej Fundacji Narodowej.

Za koherentną i klarowną koncepcję spekulatywnego projektu, Nagrodę Polskiej Fundacji Narodowej, przyznaną przez prezesa dr. Marcina Zarzeckiego, otrzymał projekt Osme. W dobie rozwoju wrażliwych technik komunikacji zapach i umiejętność magazynowania swoistej pamięci zapachu – poza urokliwą estetyką – stanowi punkt wyjścia do rozwoju. Koncepcja projektu została przygotowana w sposób precyzyjny i wielowątkowy, co sugeruje, że autorka wykazała się starannością, jeśli chodzi o badania użyteczności, i jednoznacznie nawiązała do twórczości Stanisława Lema. Empatycznego piewcy przyszłości.

– Polski design to znamienita część europejskiej kultury i dziedzictwa narodowego. Zatem przed młodymi projektantami, szczególnie przed laureatem nagrody ufundowanej przez Polską Fundację Narodową, postawiliśmy złożone zadania i trudne do spełnienia kryterialne wymagania. Synteza odważnej wizji i estetyki stanowiła jedynie podstawę oceny i miała być ubogacona wykraczającą ponad sztampę opowieścią zawierającą wątki futurologii Stanisława Lema. Projekt Osme, nagrodzony przez PFN, spełnia wymienione aspekty i stanowi intrygujący przyczynek do rozwoju projektowania spekulatywnego w Polsce i w Europie – powiedział dr Marcin Zarzecki, prezes Zarządu Polskiej Fundacji Narodowej.

Wyróżnione prace można było oglądać na wystawie w Instytucie Wzornictwa Przemysłowego.

Fot. Materiały prasowe PFN

14/0722/F

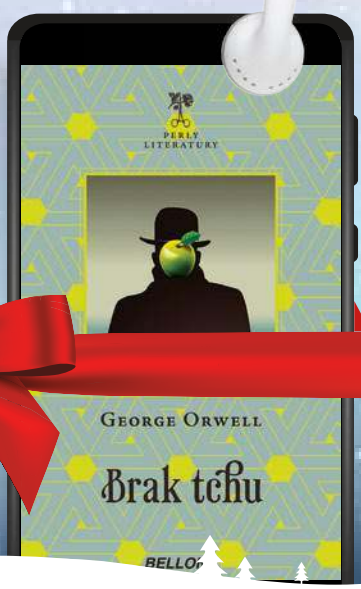
eprasa.pl 52ff5dafe5

Zamów na prezent, dotrze przed świętami!

2 audiobooki i świąteczny e-book w prezencie do e-prenumeraty rocznej SIECI







Partner dodatku

ORLEN

ŚWIĄTECZNY E-BOOK – PREZENT DO KAŻDEJ E-PRENUMERATY:

„Najpiękniejsze Boże Narodzenie. Świąteczny niezbędnik”

Przepisy naszych dziennikarzy, pasjonujące teksty o tajemnicach Bożego Narodzenia i historii chrześcijaństwa. Aż 112 stron.

2 AUDIOBOOKI GRATIS DO E-PRENUMERATY NA 12 MIESIĘCY:

„Maluchem do raju”

O transporcie w czasach komuny, np. maluchach, które z przeciętnego Kowalskiego zrobiły króla szos.

Czas słuchania: 8 godz. 53 min.

„Brak tchu” Georga Orwella

Książka przez krytyków stawiana na równi z „Folwarkiem zwierzęcym” i „Rokiem 1984” – niepokojąco aktualna i dziś.

Czas słuchania: 11 godz. 6 min.

Zamów do **23 grudnia do 12:00**

na **www.siecprzyjaciol.pl**

ZESKANUJ KOD
I DOWIEDZ SIĘ WIĘCEJ

Autopromocja

eprasa.pl 52ff5dafe5



Sport, w którym jesteśmy najlepsi od wielu lat

Serce światowej siatkówki jest biało-czerwone

Mocarstwo – to słowo najlepiej oddaje status, który Polska ma w świecie siatkówki. Mijający rok, choć akurat nie przyniósł nam złotego medalu w żadnym z turniejów, jak żaden inny pokazał, ile znaczy nasz kraj na arenie międzynarodowej. Wicemistrzostwo świata siatkarzy i brązowy medal Ligi Narodów to wspaniałe sukcesy sportowe, ale to współorganizacja najważniejszych wydarzeń siatkarskich pokazała siłę, którą ma nasz kraj w strukturach FIVB (Międzynarodowej Federacji Piłki Siatkowej)

24 lutego 2022 r. – najczarniejszy dzień w br. i jedna z najgorszych dat w najnowszej historii świata. Rosja dokonuje agresji na Ukrainę, a zszokowany świat zaczyna szybko mnożyć inicjatywy mające maksymalnie dopiec agresorowi. Z inicjatywy polskiego Ministerstwa Sportu dochodzi do wielu działań mających na celu pokazać, że z bandytami nie gramy. Rosja zostaje wykluczona z baraży o piłkarskie mistrzostwa świata w Katarze, a kolejna inicjatywa dotyczy odebrania jej organizacji planowanych na przełom sierpnia i września mistrzostw świata w siatkówce mężczyzn. Początkowo nieco pogubieni działacze FIVB nie chcą słyszeć o takim scenariuszu wydarzeń i publikują nieprzystające do powagi sytuacji oświadczenie o konieczności oddzielenia sportu od polityki. I właśnie w tym momencie Polska pokazuje swoją siłę.

Bez Polski to nie miało sensu

Wobec takiego stanowiska FIVB Polski Związek Piłki Siatkowej (PZPS) ogłasza, że nasza reprezentacja wycofuje się z turnieju. Identyczne decyzje podejmują drużyny Francji, Słowenii i Holandii, a w siedzibie federacji w Lozannie robi się bardzo nerwowo. Zwłaszcza rezygnacja reprezentacji Polski, a więc triumfatora dwóch poprzednich edycji mistrzostw świata, który miałby bronić w rosyjskim turnieju złotego medalu, sprawia, że dramatycznie spada ranga imprezy. Polska nie ma jednak na celu stawiania działaczy światowej organizacji pod ścianą i szybko wysuwa własną kandydaturę do organizacji mistrzowskiej imprezy. Po tym fakcie wydarzenia toczą się błyskawicznie. 1 marca Rosja oficjalnie traci organizację mistrzostw, a 14 kwietnia 2022 r. w Centrum Olimpijskim w Warszawie – na wspólnej konferencji prasowej PZPS i polskiego rządu – premier Mateusz Morawiecki, minister

Tekst powstał we współpracy z partnerem komercyjnym | 6/1222/F

eprasa.pl 52ff5dafe5

sportu Kamil Bortniczuk i prezes PZPS Sebastian Świderski ogłaszają, że nowymi gospodarzami mistrzostw świata siatkarzy 2022 r. zostały Polska i Słowenia.

Jak siatkówka, to w Polsce

Tego dnia kibice siatkarscy w Polsce mogli łapać się za głowy od nadmiaru atrakcji, które czekały ich w rozpoczynającym się wówczas sezonie. Wcześniej bowiem już było wiadomo, że 5–10 lipca Gdańsk będzie jedną z aren rozgrywek grupowych w Lidze Narodów mężczyzn, a także wspólnie z Gliwicami i Łodzią będzie gościć uczestniczki siatkarskich mistrzostw świata kobiet, które od 23 września do 15 października będą odbywać się w Polsce i Holandii. Gdy do tych znaczących wydarzeń dołączyła także współorganizacja mistrzostw świata mężczyzn, chyba nikt nie miał trudności ze wskazaniem najważniejszego kraju na siatkarskiej mapie świata.

W jaki sposób dochodzi się do statusu takiej potęgi? Oddajmy naszym siatkarzom, że to głównie ich zasługa. Od lat polska siatkówka należy do ścisłej światowej czołówki, a powrót bez medalu z takich imprez jak finał Ligi Narodów czy mistrzostwa świata lub Europy są traktowane przez rozpieszczonych sukcesami kibiców nad Wisłą jak spory zawód. Kibice to kolejny atut naszego kraju, który podnosi naszą rangę w siatkarskim świecie. Zawody organizowane w Polsce są zazwyczaj gwarancją wypełnionych trybun i żywo reagującej publiczności, która kulturalnym dopingiem tworzy atmosferę meczów, jaką trudno spotkać w halach w innych krajach świata. Ta moda na siatkówkę, potęgowana sukcesami reprezentacji, sprawiła też, że w Polsce w ostatnich latach przybywa obiektów sportowych, które spełniają kryteria aren zawodów rangi mistrzowskiej. W tym miejscu należy wspomnieć, że polska siatkówka od lat cieszy się mocnym sponsorskim wsparciem największego sponsora polskiego sportu, którym jest PKN Orlen, co sprawia, że PZPS może się skupić na tym, co idzie nam tak świetnie – czyli szkoleniu następców. Dzięki temu zmiany pokoleniowe w polskiej reprezentacji dokonują się bez uszczerbku dla wyników sportowych.

Najdobitniej przemawiają tu do wyobraźni nasze sukcesy w mistrzostwach świata. W ostatnich trzech edycjach siatkarskiego mundialu graliśmy w ścisłym finale i chociaż zdobytego w 2014 i 2018 r. złota nie udało się nam obronić w tym roku, to wciąż zajmujemy pierwsze miejsce w rankingu FIVB z przewagą 20 pkt nad Włochami, którzy właśnie wspomniane mistrzostwo nam zabrali. Trudno jednak spodziewać się, że Polacy będą wygrywali każde mistrzostwa świata, a przecież srebrny medal także jest budzącym szacunek osiągnięciem. Kolejne trofeum, zdobyte przez Biało-Czerwonych w tym sezonie, to brązowy medal najbardziej wyczerpującego turnieju, którym jest Liga Narodów.

Będą nowe „Złotka”?

Podsumowując obecny rok, należy wspomnieć także o dzielnej postawie naszych sportsmenek. Podczas swojego światowego czempionatu dotarły aż do ćwierćfinału, w którym stoczyły zacięty pięciosetowy bój z Serbkami, minimalnie przegrany w tie-breaku 14:16. To godny uwagi mecz, bowiem zespół Serbii jest w ostatnich latach hegemonem kobiecej siatkówki i po ograniu Polek dużo łatwiej poradził sobie w półfinale z USA, wygrywając 3:1, oraz w finale, gromiąc Brazylię 3:0. Zajmujące pierwsze miejsce w rankingu FIVB reprezentacji siatkarek Serbki obroniły tym samym złote medale, ale polscy kibice już widzą, że polska siatkówka kobieca po kilku chudszych latach zyskuje na sile i są nadzieje na nawiązanie do słynnego zespołu „Złotek”, w którym prym wiodły takie gwiazdy jak Katarzyna Skowrońska czy Małgorzata Glinka. Na razie nasze siatkarki zajmują w światowym rankingu pozycję nr 10.

Choć w nadchodzącym 2023 r. nie będzie zawodów rangi mistrzowskiej, to największe emocje czekają nas w Lidze Narodów. I jeśli myślicie, że skoro w ostatnim czasie przyznawano nam organizację tak wielu ważnych imprez, to tym razem pewnie nie zobaczymy tych zmagań w Polsce, to... mamy niespodziankę! 6 grudnia FIVB ogłosiła, że finałowe turnieje Ligi Narodów kobiet i mężczyzn odbędą się w USA i w Polsce, a konkretnie osiem najlepszych żeńskich ekip zagra o medale LN w dniach 12–16 lipca w Arlington w Teksasie, a najlepsze męskie zespoły powalczą w dniach 19–23 lipca w Gdańsku.

„Liga Narodów wciąż zachwyca fanów na całym świecie, a zarówno Polska, jak i Stany Zjednoczone to w siatkówce wiodące nacje z zapalonymi kibicami. Niesamowite historie są już gotowe do opowiedzenia” – napisał na stronie FIVB jej prezes, były brazylijski siatkarz dr Ary Graça.

„Polska i Stany Zjednoczone to fanatycy siatkówki, więc nie mogliśmy wymyślić lepszych lokalizacji na organizację finałów w 2023 r.” – dodał Finn Taylor, CEO Volleyball World, współorganizatora Ligi Narodów.

Dla polskich siatkarzy będzie to więc znakomita okazja, by wygrać Ligę Narodów, bo na imponującej liście sukcesów naszej reprezentacji akurat wciąż brak złotego medalu za triumf w tych rozgrywkach. Przed własną publicznością będzie o to z pewnością nieco łatwiej. Oczywiście najpierw trzeba awansować do najlepszej ósemki, ale obecnie brak takiego awansu wydaje się sportowo zwyczajnie nierealny.

Siatkówka to czwarty (po futbolu, krykiecie i hokeju) najpopularniejszy sport drużynowy świata z liczbą fanów szacowaną na 900 mln. A serce tego sportu bez najmniejszych wątpliwości bije nad Wisłą.

ORLEN

Fot. FIVB, Shutterstock (2x)

eprasa.pl 52ff5dafe5



Choinka pachnąca lasem

Święta Bożego Narodzenia zbliżają się dużymi krokami, a wraz z nimi powraca coroczny dylemat – jaką choinkę wybrać? Naturalną czy sztuczną? Jodłę czy świerk? Z marketu, bazaru czy prosto z plantacji? Bez względu na wielkość i rodzaj jedno jest pewne – wybierając choinki od leśników, mamy pewność, że kupujemy je legalnie, są pozyskane bez uszczerbku dla przyrody, a do tego są bio!

Choinka w formie stojącego w pokoju drzewka ozdobionego świecidełkami to tradycja w naszym kraju dosyć nowa, bo XIX-wieczna. Pierwowzorem bożonarodzeniowego drzewka były gałązki świerkowe lub jodłowe, którymi dekorowano izby. Ich miejsce zajęły bardziej ozdobne podłaźniczki, czyli czubki jodły, świerka lub sosnowe gałązki, które przywieszano czubkiem do dołu do drewnianego stropu w izbie. Przystrajano je orzechami, jabłkami, słomianymi zabawkami, barwionymi opłatkami. Z czasem wyparły je tradycyjne choinki, które co roku wybieramy na czas świąt Bożego Narodzenia. Choć moda się zmienia, a wybór drzewek naturalnych i sztucznych jest ogromny, jest jeden pewnik – choinka to obowiązkowy element, bez którego nie sposób wyobrazić sobie celebrowania świąt. Jaką choinkę wybrać?

NATURALNA CZY SZTUCZNA?

Żywa choinka dodaje magii i wprawia w wyjątkowy świąteczny klimat. Ponadto jest w 100 proc. ekologiczna, to surowiec całkowicie odnawialny. Leśnicy hodują drzewka na specjalnych plantacjach lub w miejscach, w których nie może rosnąć las, np. pod liniami wysokiego napięcia. Na tych ostatnich, ze względów bezpieczeństwa, wysokość drzewek nie może przekroczyć 4–5 metrów, zatem bez względu na to, czy zostaną sprzedane, i tak w najbliższych latach trzeba je wyciąć. Żywe drzewka są rezerwuarem dwutlenku węgla i produkują niezbędny do życia tlen. Po świętach nie zanieczyszczają środowiska, przetwarza się je na nawóz organiczny.

Sztuczne drzewka miały być wspaniałą alternatywą dla prawdziwych choinek (podobno na potęgę wyrzynanych w polskich lasach, a następnie lądujących na śmietniku). Jednak ilość substancji toksycznych emitowanych do atmosfery podczas wytworzenia lub utylizacji sztucznego drzewka jest zatrważająca. Przeciętnej wielkości drzewko jest zbudowane z 1,5 kg żelaza, 0,7 kg polietylenu i pół kilo PCW, a przy jego wytwarzaniu trzeba wyemitować do atmosfery 10 kg dwutlenku węgla. Do tego dochodzą jeszcze emisje nieprzyjaznych środowisku substancji chemicznych wytworzonych w procesie produkcji. Przy

Tekst powstał we współpracy z partnerem komercyjnym | 16/1222/F

eprasa.pl 52ff5dafe5

transporcie docelowym emituje się kolejne 3–9 kg dwutlenku węgla. Sztuczna choinka, gdy już po latach użytkowania trafia na śmietnik, rozkłada się w środowisku nawet do 400 lat! Przez ten okres leśnicy zdążyliby wyhodować kolejne cztery pokolenia lasu, który jest rezerwuarem dwutlenku węgla oraz emiterem niezbędnego do życia tlenu.

Zatem nie ma wątpliwości, że choć sztuczne choinki wyglądają coraz ładniej i mogą służyć kilka sezonów, żywa choinka jest zdecydowanie lepszym rozwiązaniem!

SOSNA, JODŁA CZY ŚWIERK?

Na drzewka świąteczne najczęściej jest hodowany świerk pospolity, świerk kłujący odmiany srebrzystej, jodła pospolita, jodła kaukaska, daglezja zielona oraz sosna zwyczajna.

Decydując się na kupno prawdziwego drzewka, mamy dwie możliwości: drzewko w doniczce lub cięte. Jeżeli wybierzemy pierwszy wariant należy wytypować gatunek. Świerk pospolity ma dużą wrażliwość na wahania temperatur oraz brak wilgoci. Szybko traci igły. Świerk serbski czy kłujący jest formą odporniejszą. Daglezja zielona i jodła kaukaska są zdecydowanie bardziej wytrzymałe na zmienne warunki.

Jeśli chodzi o drzewka cięte, poszukiwanymi gatunkami na bożonarodzeniowe drzewka są głównie jodła i świerk. Tradycją jest wybór świerka, jednak warto zastanowić się nad jodłą, która mimo że nie posiada intensywnego zapachu, to charakteryzuje się pięknym pokrojem, oraz sosną, która pięknie pachnie żywicą i najdłużej utrzymuje igły.

Nadleśnictwa uprawiają przede wszystkim gatunki krajowe, spotykane naturalnie w naszych lasach: świerki, sosny i jodły.

PO CHOINKĘ BIO NAJLEPIEJ DO LEŚNIKÓW!

Nie każda naturalna choinka jest jednakowo przyjazna środowisku. – Z pełnym przekonaniem mogę powiedzieć, że choinki oferowane przez Lasy Państwowe zasługują na określenie „bio". W odróżnieniu od upraw, gdzie drzewka świąteczne rosną w warunkach ogrodniczych, my naszych choinek nie nawozimy, nie stosujemy herbicydów, nie podlewamy, uprawiamy rodzime gatunki na niewielkich plantacjach – tłumaczy Józef Kubica, p.o. dyrektor generalny Lasów Państwowych.

Po czym dodaje: – Nasze uprawy nie są ingerencją w krajobraz (góra kilka hektarów wobec kilkusethektarowych plantacji przedsiębiorców). Choinki z plantacji jeżdżą czasem przez pół Europy. Nasze trafiają na lokalny rynek. To ogranicza ślad węglowy i minimalizuje wpływ na środowisko.

Jak kupić drzewko bożonarodzeniowe od leśników?

– Sprzedaż choinek w nadleśnictwach rusza zwykle w grudniu. Trzeba o nie pytać lub sprawdzać strony internetowe pobliskich nadleśnictw. Nie oferujemy drzewek na stoiskach, w miastach czy centrach handlowych. W wielu nadleśnictwach urządzamy „choinkobrania". Chętni mogą sami wybrać i ściąć choinkę z plantacji. Polecam taką wyprawę po choinkę zwłaszcza rodzicom. To świetny sposób na przygotowanie się do świąt – mówi Michał Gzowski, rzecznik prasowy Lasów Państwowych.

PIELĘGNOWANIE CHOINKI

By świąteczne drzewko jak najdłużej ozdabiało dom, należy je odizolować od źródeł ciepła (grzejnik, kominek). Popularnością cieszą się także ostatnio stojaki z pojemnikiem na wodę, które na pewno przedłużą świeżość bożenarodzeniowego drzewka. Przed wstawieniem do domu warto przez kilka dni hartować choinkę na balkonie, w garażu czy piwnicy. W domu też możemy przedłużyć jej życie. Trzeba je regularnie podlewać i nie wieszać na niej zbyt wielu ozdób. Drzewko można też nawozić.

CO ZROBIĆ Z CHOINKĄ PO ŚWIĘTACH

Choinkę po świętach można, a nawet trzeba zagospodarować – mimo że drzewko jest biodegradowalne, a więc rozkłada się w naturalnym środowisku, nie szkodząc mu, nie wolno go wyrzucić do parku czy lasu. Co więc z nim zrobić, gdy minie świąteczny czas?

Naturalną choinkę ciętą można po świętach wykorzystać na wiele sposobów: może trafić na kompostownik i potem użyźnić glebę w ogrodzie czy stać się ściółką pod rośliny. Drzewka są wykorzystywane w gospodarstwach domowych na opał, a popiół drzewny doskonale nadaje się na nawóz. Gałązki (jeśli mają jeszcze igły) świetnie sprawdzą się do ochrony innych roślin – oddziela się je od pnia i używa w ogrodzie czy na balkonie jako osłon przeciwmrozowych dla bylin, roślin cebulowych czy niskich krzewinek. Mniejsze, zdrewniałe fragmenty (a także igły) można ułożyć w pryzmach kompostowych. Jeśli kompost jest dość jednorodny i powstał z roślin iglastych, można stosować go jako ściółkę lub nawóz dla roślin kwasolubnych.

Ciętą choinkę, która usycha, można oczywiście przekazać do utylizacji. Pozostawione przy śmietniku będą traktowane jako odpady komunalne, jednak bardzo często w styczniu są organizowane specjalne akcje typu „oddaj choinkę". Drzewka z tych zbiórek najczęściej trafiają do elektrociepłowni i są przetwarzane na energię! To ekologiczny sposób utylizacji, ograniczający ilość powstających przy spalaniu zanieczyszczeń. Czasem jednak „zużyte" choinki przewozi się do ogrodów zoologicznych. Tam mogą posłużyć zwierzętom jako pokarm lub schronienie (ścieli się nimi klatki, zostawia do podgryzania).



Fot. Shutterstock

Lasy Państwowe

Rozwój przedsiębiorczości mimo wyzwań dla biznesu

Sektor MŚP stanowi wciąż przeważającą większość przedsiębiorstw w Polsce – 99,8 proc., a wśród nich najliczniejszą grupą (96,7 proc.) są mikroprzedsiębiorstwa. Przykład aktywnego rozwoju dają drobni przedsiębiorcy działający w sieci franczyzowej Żabka. Dzięki jej wsparciu i atrakcyjnej ofercie współpracy już ponad 7,6 tys. franczyzobiorców prowadzi z sukcesem swoje lokalne biznesy pod zielonym szyldem w całej Polsce

Kończymy kolejny niełatwy dla biznesu i drobnych przedsiębiorców rok. Zdając sobie z tego sprawę, podejmowaliśmy w Żabce wiele inicjatyw na rzecz tego, by jeszcze bardziej pomóc franczyzobiorcom – zarówno tym obecnie współpracującym z nami, jak i dopiero przystępującym do naszej sieci. Niezwykle ważne jest dla nas, że dzięki skali działania oferujemy im wyróżniającą się na rynku ofertę franczyzową, a dzięki proponowanym przez nas narzędziom mogą dynamicznie rozwijać własne lokalne biznesy. Nie można też zapominać, że sektor spożywczy należy do tych odpowiednich na każde czasy. Mimo spowolnienia gospodarczego był to dla naszych franczyzobiorców pomyślny rok – podkreśla Przemysław Kijewski, dyrektor ds. operacyjnych w Żabka Polska.



Fot. Materiały prasowe

FRANCZYZOBIORCY ŻABKI KOŃCZĄ ROK NA PLUSIE

W sieci franczyzowej Żabka są stosowane rozwiązania pozwalające na ograniczenie ryzyka wzrostu kosztów działalności gospodarczej, a także chroniące przed potencjalnym niepowodzeniem. Wiele osób nie chce inwestować we własną działalność, bojąc się porażki – dlatego w Żabce od ponad roku działa jedyne na rynku ubezpieczenie, tzw. polisa na biznes. Chroni franczyzobiorców na wypadek konieczności zakończenia przez nich współpracy z siecią z ujemnym wynikiem finansowym. Przedsiębiorcy współpracujący z Żabką są ponadto zabezpieczeni przed trudną sytuacją na rynku energii i gazu, ponosząc stałą, zryczałtowaną opłatę za media. Dzięki swojemu zaangażowaniu i pracowitości, mimo zewnętrznych okoliczności, mają szansę rozwijać się także pod kątem finansowym. Aż ponad 77 proc. z nich osiągnęło w skali kraju w II kw. br. 22 tys. zł lub więcej przychodu miesięcznie.

– Działamy pod rozpoznawalnym szyldem – Żabkę zna niemal każdy. Sieć franczyzowa oferuje nam preferencyjne warunki rozliczenia, bazujące m.in. na ryczałcie za opłaty za media. Mając na uwadze skalę działania, negocjuje z dostawcami także atrakcyjne ceny towaru. Mamy polisę na biznes, która chroni nas na wypadek niepowodzenia. Wszystko to ma znaczenie w niełatwych dla biznesu czasach i sprawia, że jesteśmy w znacznie lepszej sytuacji niż wielu małych przedsiębiorców działających na własną rękę – zauważa Monika Szyszko, franczyzobiorczyni z Białej Podlaskiej.

Aktywny rozwój tego biznesu i korzyści płynące z prowadzenia własnego sklepu franczyzowego Żabki potwierdzają liczby. Na koniec 2021 r. z siecią związanych było już ok. 6,7 tys. przedsiębiorców. Obecnie jest ich ponad 7,6 tys. W ramach franczyzy z siecią Żabka swój biznes rozwija również kilkudziesięciu obcokrajowców.

KORZYŚCI Z FRANCZYZY Z ŻABKĄ

Rozpoczynając biznes franczyzowy z Żabką, nowi franczyzobiorcy inwestują niewiele, bo ok. 5 tys. zł. Kwota ta pokrywa m.in. opłatę koncesyjną i kasę fiskalną. Sieć zapewnia nowym przedsiębiorcom lokal w specjalnie dobranej lokalizacji. Wynajęta przez Żabkę placówka jest wyposażana w niezbędny sprzęt i meble oraz zaopatrywana w towar – jej wartość to niemal 400 tys. zł.

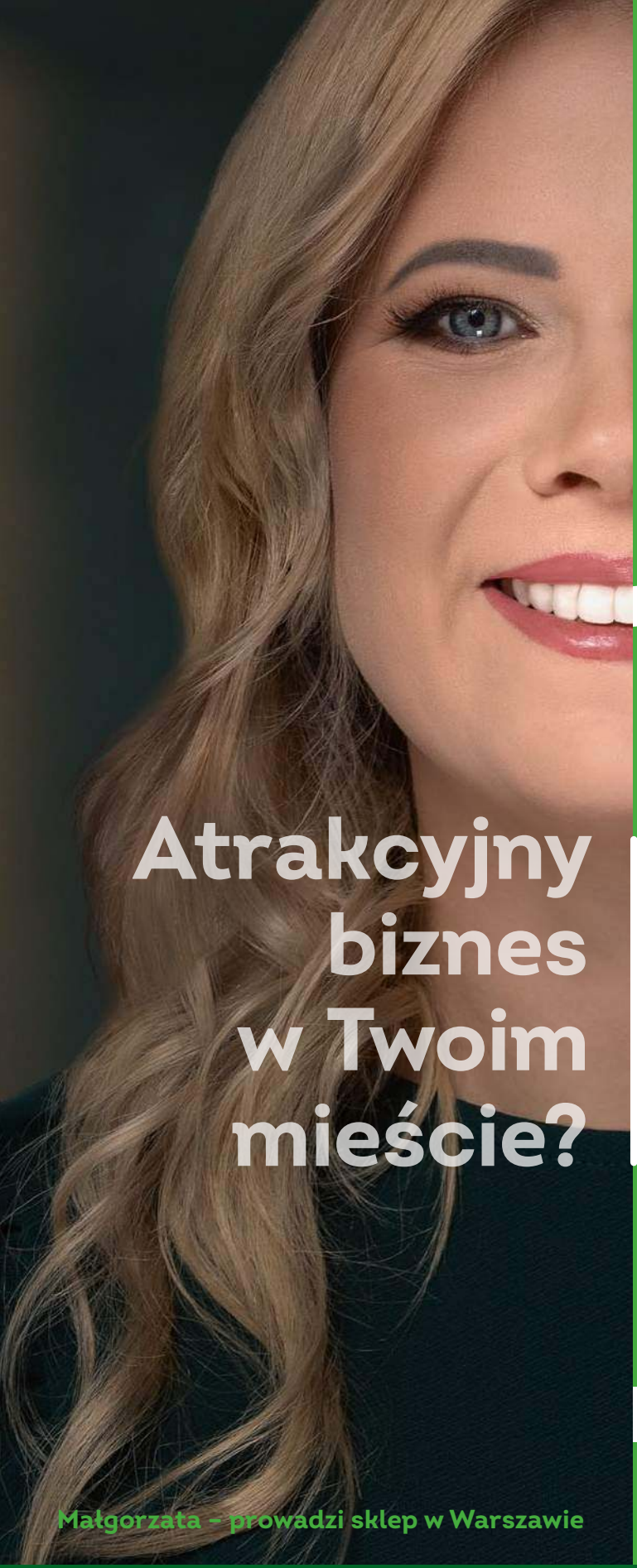
Franczyzobiorcy Żabki mogą liczyć na szkolenia, wsparcie IT, serwisowe i marketingowe, a także dostawy bezpośrednio do sklepów. Mają też do dyspozycji nowoczesne rozwiązania ułatwiające prowadzenie własnego biznesu czy poprawiające jakość obsługi klienta.

– Franczyza w naszej sieci oferuje gotowe i sprawdzone przez innych rozwiązanie, a sam model biznesowy zapewnia stabilizację i bezpieczeństwo w wielu wymiarach. Dajemy franczyzobiorcom szansę na samorozwój zawodowy i własny biznes w swojej najbliższej okolicy, który sprawdzi się zarówno w dużej aglomeracji, jak i w niewielkiej miejscowości – dodaje Przemysław Kijewski.

Więcej na: https://www.zabka.pl/franczyza

Tekst powstał we współpracy z partnerem komercyjnym | 24/1222/F

eprasa.pl 52ff5dafe5



żabka

Atrakcyjny biznes w Twoim mieście?

Osiągnij 22 000 zł przychodu miesięcznie*

Ponadto:

- **w pełni wyposażony sklep**
- **polisa dla Twojego biznesu**
- **tylko ok. 5 000 zł wkładu własnego**

franczyza.zabka.pl

Małgorzata – prowadzi sklep w Warszawie

*** Ponad 77% franczyzobiorców osiągnęło 22 tys. zł lub więcej przychodu miesięcznie w okresie 04-06.2022 r. Więcej na www.zabka.pl/franczyza.**

O biznesie myślimy tak jak TY

eprasa.pl 52ff5dafe5

Nasze Wigilie



Alina Czerniakowska

Gdy robiłam film dokumentalny „Nasze polskie Boże Narodzenia", szukałam na ten temat zdjęć archiwalnych, filmów, kronik z lat przedwojennych i tych dramatycznych – z okresu wojny i okupacji. Najbardziej poruszające były obrazy pierwszej Wigilii tuż po powstaniu warszawskim, kiedy to niemieccy barbarzyńcy przez 100 dni po kapitulacji wypalali, burzyli i grabili opustoszałe, krwawiące miasto. Tylko nieliczni pozostali w piwnicach wśród resztek gruzów, ostatni bohaterowie polskich Termopil nie zapominali o opłatku w postaci kawałka chleba, modlitwie i kolędach. Wszystkie te obrazy tchną prawdziwą polskością zbudowaną na wartościach chrześcijańskich i mimo dramatu sytuacji trudnej nam dzisiaj do wyobrażenia mają w sobie coś niezniszczalnego, jakąś wielką moc i siłę.

Hr. Marek Raczyński, gdy przyjeżdżał do kraju, bywał gościem u nas w domu. Opowiadał, czego świat najbardziej się boi, jeśli chodzi o Polskę i Polaków, a jednocześnie co światu w nas najbardziej imponuje – waleczność, niezłomność, silna wiara w Boga, odwaga i wszechstronne zdolności. Oni tam na Zachodzie wiedzieli, że dokonania polskich wynalazców i odkrywców zmieniały losy świata, u nas dopiero teraz zaczyna się o tym mówić. Kilka lat temu prof. Bolesław Orłowski opracował pięciotomowe dzieło składające się z biogramów polskich uczonych, wynalazców, odkrywców. To przełomowe opracowanie na temat polskich gigantów nauki. Warto zajrzeć do książek profesora, by naprawdę poczuć dumę z bycia Polakiem.

Dzisiaj ta duma z polskości jest nam szczególnie potrzebna, żeby nie bać się mówić prawdę, domagać się szanowania i egzekwowania naszych racji narodowych, bo zasłużyliśmy na to, by mieć właściwe miejsce w Europie i świecie. Europa nie chce znać prawdy o Polsce, która obroniła świat przed bolszewizmem w 1920 r. Bogate kraje Europy i świata nie chcą wiedzieć, gdzie się zaczęła okrutna, hańbiąca II wojna światowa, kto był zbrodniarzem agresorem, a kto nieugięcie bronił się do ostatnich sił. Bogaci przywódcy Zachodu nie lubią wspominać o Katyniu, Jałcie, której konsekwencje nadal trwają. Zdradzona Polska, ten wierny sojusznik, samotnie przez ponad pół wieku walczyła ze zbrodniarzami spod znaku NKWD, UB, KGB, straciła najdzielniejszych, najwspanialszych jej synów. Tej wyrwy nie udało się i nie uda zapełnić.

Musimy walczyć o prawdę. Polska niewygodna, przeszkadzająca w zbrataniu się dwóch wielkich sąsiadów, musi być dumna i silna swoją niegdyś wielkością oraz naszą dzisiaj mądrością i odwagą. W polskim narodzie narasta silna tęsknota za prawdą, i ona zwycięży. Dlatego musimy pokonać wszechobecne kłamstwo.

W te świąteczne dni zapewne jak większość wracam do dzieciństwa i zawsze mam przed oczami Wigilię w ziemiańskim domu rodzinnym moich dziadków, Marii i Stanisława Czerniakowskich. Pamiętam jasność, miłe ciepło, cudowne zapachy, dużą choinkę i świece w lichtarzach, mnóstwo gości, stoły zastawione wokół pokoju, białe obrusy rozłożone na sianie, a pod sianem niespodzianki dla dzieci i liczenie potraw, których musiało być 12. Nad wszystkim czuwała moja babcia – energiczna, piękna, zapamiętałam jej artystycznie podpięte włosy i długie jedwabne suknie, widziałam, jak ukradkiem wycierała łzę. Dla ludzi wywodzących się z patriotycznych rodzin ziemiańskich czasy PRL były wielkim dramatem, ale o tym się nie mówiło, gdy „Bóg się rodzi, moc truchleje" i kolędami rozbrzmiewa cały dom. Wszystkie te obrazy zapamiętane z dzieciństwa i te z kronik archiwalnych, które użyłam w filmie, mimo rozgrywających się dramatów mają w sobie wielką zwycięską siłę, którą trudno pojąć i z czymkolwiek porównać.

Dziś tuż obok, na dawnych polskich Kresach, toczy się dramatyczna wojna, giną głównie ci najbardziej bezbronni, biedni, opuszczeni, którzy nie mieli, jak i gdzie uciec przed rosyjskimi zbrodniarzami. „Co ja poczne, gdy opuści mnie nadzieja – mówi psalmista – niechaj mnie chronią niewinność i prawość, bo w Tobie, Panie, pokładam nadzieję". Cynicy mówią, że nadzieja jest matką głupich, ale może właśnie dzisiaj trzeba być głupim dla świata, by pozostać przy Chrystusie i zwyciężyć. My w Polsce wiemy, co to są roraty, rozświetlone kościoły o poranku, modlitwy adwentowe – tak zostaliśmy wychowani i nikt nigdy nam tego nie odbierze.

W tym czasie w naszych rodzinach na dalszy plan schodzą wszystkie dyskusje o antypolskiej, tzw. totalnej opozycji i aferach korupcyjnych w Unii Europejskiej. „Europa przeżywa kryzys tożsamości – napisał ks. Ireneusz Skubiś, założyciel ruchu Europa Christi w referacie programowym kongresu. – Przyczyną takiego upadku stało się odejście od chrześcijańskich wartości, ateizm, wrogość wobec Kościoła. Zauważa się, że współczesne media, które znalazły się w rękach wpływowych grup lewackich, wręcz neomarksistowskich, w sposób skuteczny wywierają wpływ na odejście Starego Kontynentu od jego chrześcijańskich korzeni". Te słowa nabierają wyjątkowego znaczenia dzisiaj, gdy świat słyszy codziennie dramatyczne komunikaty o wojnie, śmierci, a my, zwykli ludzie, przerażeni zadajemy pytania pozostające bez odpowiedzi. Kard. Karol Wojtyła podczas wizyty w Stanach Zjednoczonych w 1976 r. powiedział prorocze słowa: „Stoimy w obliczu największego w historii konfliktu, ostatecznej konfrontacji między Kościołem a anty-Kościołem, Ewangelią a anty-Ewangelią. Konfrontacja ta leży w planach Bożej opatrzności, jest to próba dotycząca 2 tys. lat kultury i chrześcijańskiej cywilizacji, z wszystkimi konsekwencjami dla ludzkości".

Autorka jest reżyserem filmowym, scenarzystką i dziennikarką

31/1222/F

eprasa.pl 52ff5dafe5

Totalsi u św. Mikołaja



Piotr Cywiński

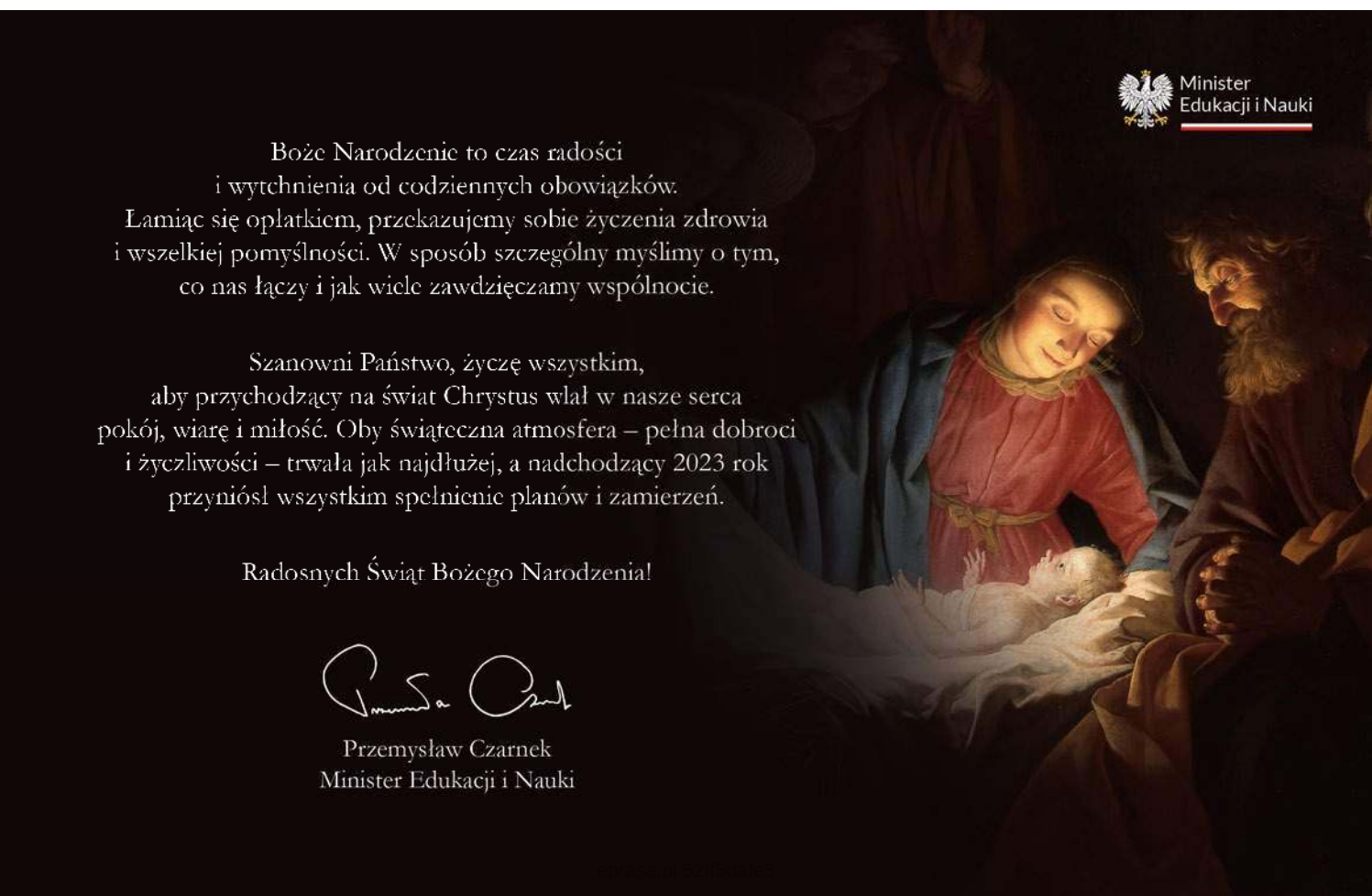
Każdy go zna, każdy wie, jak wygląda, nie każdy jednak w niego wierzy, choć istnieje naprawdę: św. Mikołaj. Ten siwobrody, tęgawy pan mieszka w Finlandii. Niby taki dobroduszny, taki altruista, a sam kręci niezłe lody. Dokładnie to mieszka 8 km od lapońskiej stolicy Rovaniemi, we własnej osadzie Santa Claus Village, a urzęduje w swoim Santa Claus Office. Otacza je pół setki obiektów z różnymi atrakcjami, bo – jak wspomniałem – potrafi zadbać o własny interes.

Sama wizyta w mikołajowym majątku nic nie kosztuje, ale już na miejscu, to ho, ho, hooo... Jak nie zrobić sobie choćby zdjęcia czy filmiku z samym Mikołajem za 45 euro czy nie przejechać się na saniach z psim zaprzęgiem lub ciągniętych przez renifera – dla rodziców z dwójką dzieci za 64 euro, ale tylko na odcinku 400 m, im dalej, tym drożej. Tańsze jest zjeżdżanie na dętce po lodowym torze. Można też za stosowną opłatą pogłaskać alpaki, kozy i inne sierściuchy na mikołajowej farmie albo napić się kieliszeczek wódki w lodowej „Krainie bałwana" czy pojeździć na wypożyczonych łyżwach po mikołajowym lodowisku. Najtańsze jest zdjęcie z Mikołajową, bo Santa Claus ma żonę – odwiedziny u pani bez brody (tam jeszcze środowiska LGBT+ nie dotarły) kosztują jedyne 5 euro. W porównaniu z ceną ponad 30 euro za pieczeń z renifera w mikołajowej restauracji to żaden wydatek.

Nic za darmo. Mimo to mikołajową osadę odwiedziły przez 30 lat jej istnienia miliony gości z całego świata, a tamtejszy urząd pocztowy odebrał aż 18 mln listów z 199 krajów. Czy Santa Claus spełnia zawarte w nich życzenia? Ponoć niektórym tak. Więc powodowany świąteczną życzliwością podpowiadam naszej opozycji: może powinna napisać, czego pragnie od bądź co bądź znanego i wpływowego św. Mikołaja, albo nawet go odwiedzić? W końcu pisze do różnych ważnych tu i tam, zgłasza w Brukseli swoje życzenia, czemu nie miałaby poprosić Santa Clausa o wyborczy prezent?

Muszę jednak ostrzec, że Mikołaj trzyma z Amerykanami. Nie bez powodu, to im zawdzięcza, co ma. Podczas wojny Rovaniemi uległo niemal całkowitemu zburzeniu. Gdy w 1950 r. przybyła tam pani Eleonora, żona prezydenta Franklina Roosevelta, władze miasta postawiły na jej użytek drewnianą chatę w śnieżnym krajobrazie. Taki w realu był początek mikołajowej osady. Ci Amis, wszędzie wtykają swój nos. Mikołaj ma więc wobec nich zobowiązania, ale czemu nie spróbować, tam jeszcze naszych totalsów nie było...

REKLAMA



PRZEZ ŚWIETLIK

Eurobakszysz



Wiktor Świetlik

Tak już jest na tym potępieńczym świecie, że afery i skandale są ciekawsze niż rozmaite dobrodziejstwa. Afera związana z korupcją wśród rozmaitych wysokich unijnych urzędników rozkręca się na dobre i sądzę, że jest kwestią czasu, aż solidnie trzepnie w kilka osób w Polsce, którym już teraz musi być gdzieniegdzie cieplutko.

O ile sprawie się nie ukręci głowy, ale nawet tego nie da się zrobić trwale. Przykład idzie z federacji sportowych. Przecież one także były pełne wzniosłych zasad, dbały o uniwersalne standardy, ich krytycy byli fanatykami, ludźmi chorymi. Aż do czasu.

Aż do czasu, kiedy nie dało się już w MKOl bronić Antonio Samarancha, którego szefowanie znaczyły kolejne zarzuty korupcyjne związane z przyznawaniem praw do organizacji igrzysk olimpijskich – choćby w Salt Lake City i Pekinie – a on sam, korzystając z sędziwego wieku, odmawiał składania zeznań. Nie odnosił się także do tego, że zarzucano mu agenturalną działalność na rzecz rosyjskiego wywiadu w czasach, gdy ZSRS jeszcze istniał, co miało zaowocować przyznaniem Moskwie olimpiady w 1980 r.

Kolejne afery korupcyjne obciążające szefostwa FIFA i UEFA można by mnożyć. Najnowsza, sprzed kilku tygodni, dotyczy byłego wiceprezydent FIFA Jacka Warnera z Trynidadu i Tobago, który miał brać w łapę za głosowanie na Rosję ubiegającą się o organizację mundialu cztery lata temu. A ogólnie tropy korupcyjne w obu federacjach nader często prowadziły do krajów arabskich. Wielka afera korupcyjna w FIFA z 2015 r. dotyczyła – a jakże – brania pieniędzy od Rosjan i... Katarczyków. Można tylko domniemywać, że umiejscowienie tegorocznego mundialu to efekt szczerej troski o budowę pomostów między różnymi kulturami i promocję piłki nożnej w świecie arabskim.

Dlatego najnowszy odcinek afery w instytucjach unijnych dotyczący byłego europosła Piera Antonio Panzeriego, którego aresztowano pod zarzutem korupcji, nie może dziwić. Miał przyjmować prezenty z Maroka. Za chwilę pewnie będą kolejne doniesienia o tym, którzy eurodecydenci od kogo brali. A potem, tak jak w świecie sportu, wszyscy się przyzwyczają i dojdą do wniosku, że... tak już musi być. Taki zwyczajowy bakszysz. Pozostaje pytanie, czy w ten sposób nie moglibyśmy rozwiązać kwestii naszego KPO.

Rodzinnych świąt!



Lech Makowiecki

Mimo że Wielkanoc (Zmartwychwstanie Pańskie) jest dla Kościoła katolickiego najważniejszym świętem w roku, to jednak Boże Narodzenie budzi w nas najwięcej ciepłych, ludzkich uczuć. Za sprawą narodzin Dzieciątka w centrum naszej uwagi znajduje się bowiem św. Rodzina. I zapewne dlatego to najbardziej familijne z wszystkich świąt chrześcijańskich zapada nam głęboko w serca.

Niestety, postępująca laicyzacja zachodnich społeczeństw strywializowała tę piękną tradycję. Zanika adoracja małego Jezuska, jego matki Maryi i Józefa, z oddaniem odgrywającego rolę opiekuna. Media kreują dziś enigmatyczne „święto zielonego drzewka", a komercyjne kampanie reklamowe już od jesieni nakręcają szał kupowania prezentów. Szczęście cudu narodzin zastąpiła magia rozpasanej konsumpcji.

Na efekty tegoż nie trzeba było długo czekać. Jedno egoistycznie wychowane pokolenie – nastawione wyłącznie na branie, a nie dawanie życia – i zapaść demograficzna kraju staje się faktem. Zakończony właśnie III Kongres Demograficzny alarmuje: nasze społeczeństwo drastycznie się starzeje. Przyczyną tego stanu nie jest ubóstwo czy brak perspektyw, dzieci rodziły się w Polsce w znacznie trudniejszych (np. wojennych) czasach. Niechęć do przekazania dalej własnych genów bierze się ze zwykłego wygodnictwa i zmiany życiowych priorytetów Polek i Polaków. Posiadanie dzieci nie jest już postrzegane jako największe szczęście, najważniejszy cel naszego bytowania tu, na ziemi. Narodziny potomka są dziś określane nawet mianem udręki (Donald Tusk). Ten wybujały hedonizm ma swoją dramatyczną cenę: człowiek rezygnujący z posiadania rodziny gubi nagle sens swojego istnienia. Tak zostaliśmy stworzeni i żaden erzac w postaci kota czy psa nie wypełni tej luki. Stąd depresje, samobójstwa, pełne gabinety psychoterapeutów.

PS Każda akcja rodzi reakcję. Aborcja na żądanie znieczula sumienia, łatwiej o akceptację eutanazji. Bez miłości i dzieciństwo, i starość są okrutne...

eprasa.pl 52ff5dafe5

Michał Korsun prezentuje:
Generał Mirosław Hermaszewski. Powrót do gwiazd



Wycinki z przeszłości

W naszym kąciku upamiętniamy dziś zmarłego w minionym tygodniu Mirosława Hermaszewskiego. Pozostaje jedynym Polakiem w kosmosie. Jego lot rozpoczął się 27 czerwca 1978 r. po starcie z kosmodromu Bajkonur. Na pokładzie sowieckiego statku Sojuz 30 współpracował z Piotrem Klimukiem. „Przyklejony do iluminatora chłonę widok Zatoki Gdańskiej, rozpoznaję światła Bydgoszczy. Wisła na całej swojej długości fosforyzuje resztką blasku dnia. Południe Polski jest okryte szczelną zasłoną chmur. Przelatujemy nieco poniżej Warszawy i zanurzamy się w kolejną, czwartą kosmiczną noc" – wspominał moment przelotu nad Polską w książce „Ciężar nieważkości. Opowieść pilota-kosmonauty". Wśród mniej i bardziej oficjalnych pamiątek, które zabrał z sobą gen. Hermaszewski, było miniaturowe wydanie XII księgi „Pana Tadeusza", które później podarował Janowi Pawłowi II.

(mk)





Leszek Długosz

O śpiewie aniołów

Dochodzą do mnie w tych dniach wiadomości ze sfer wysokich (najwyższych), że w związku ze zbliżającym się czasem kolędowania trwają tam intensywne próby i ćwiczenia śpiewacze. Oto co na ten temat przychodzi mi do głowy (tu poniżej).

Aniołowie Pańscy w niebie
śpiewają
Świat przywołują
W czas się wikłają...
Czas się zawiera
w śpiewie immanentnie
– Piękno kiedy pełne
Gdy ma być zupełne
I w niebie musi być
też trochę
Też ziemskie?

Lękasz się duszo, anima
mea
Jak z nowym mieszkaniem
potem
Co będzie?
Odbiwszy od ramienia mego
Do świata pójdziesz gdzie
umyślonego?
Gdzie sienie, gdzie pokoje
twoje?
– Z kim tam zasiędziesz?

Decorum *wielce tam*
strojne?
Theatrum *czeka sposobne?*
To wiem
To w Piśmie jest
wypowiedziane
– Aniołowie Pańscy
w niebie śpiewają

Nad sztuki inne honor
czyniąc dla muzyki
O radosne pienia
Świętych uniesienia
Serafinów okrzyki

Nie trwóż się, istności mojej
istoto
Co z egzystencja twoją,
co potem?
Pomnij – bywało,
zachwycona
Z szczęścia chciałaś prawie
konać
Więc może tam... per
analogiam*?*
Tak dalej?
Tyle że tam już constans
Constans, constans *na*
amen!

Aniołowie Pańscy w niebie
śpiewają
Świat przywołują
W czas się wikłają
Czas się zawiera w śpiewie
Immanentnie
– Szczęście, gdy zupełne
Gdy ma być już pełne?
I w niebie musi być też
trochę
Trochę też ziemskie?

Zamów Prenumeratę! Według nowego cennika

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	**82** zł	**149** zł	**265** zł
wSIECI HISTORII	–	**34** zł (3 wydania)	**59** zł (6 wydań)
pakiet **SIECI** i **wSIECI HISTORII**	–	**169** zł (w tym 3 wydania wSIECI HISTORII)	**295** zł (w tym 6 wydań wSIECI HISTORII)

**dane do przelewu w stopce redakcyjnej*

eprasa.pl 52ff5dafe5



OD A DO ZYBERTOWICZ

Prawda kolęd

Bóg-dziecko domaga się, byśmy mu śpiewali. Byśmy się radowali dla Niego i dla siebie. Poza czasem troski jest czas wspólnego radowania się. Kołysanka daje ukojenie

Chyba nie ma w Polsce nikogo, kto by nie znał choć jednej kolędy. Są częścią świąt Bożego Narodzenia. Tworzą ich atmosferę, dziś tak bardzo męcząco zdominowaną przez komercję. Na czym polega geniusz kolęd? I dodam – zwłaszcza kolęd polskich?

LULAJŻE…

„Lulajże, Jezuniu, lulajże, przyjemna oczom gwiazdeczko / Lulaj, najśliczniejsze świata słoneczko / Lulajże, Jezuniu, lulajże, lulaj! / A Ty Go, Matulu, w płaczu utulaj”.

Syn Boga jest niczym każde inne, zwykłe, kochane ludzkie dziecko. Płaczące, czasem dokuczliwe, ale przecież śliczne. Ludzie pochylają się nad Bożym Synem, nad Chrystusem, który ani o sekundę nie jest młodszy od Boga.

Oto Bóg, który stworzył świat cały, potrzebuje ludzkiej opieki, troski, miłości, ba – podziwu. Nieprzenikniona jest to tajemnica. Być może jej sednem (nieprzeniknionym) jest to, że Stworzyciel w niepojęty dla nas sposób ciągle, każdego dnia potrzebuje, domaga się ludzkiej modlitwy. W sposób niepojęty, ale który możemy odczuć, śpiewając kolędy właśnie.

Szczególnie przemawia do mnie takie rozumienie świąt Bożego Narodzenia – narodzenia, które mówi, iż Bóg rodzi się nie tylko co roku, pod koniec każdego kolejnego grudnia. Syn Boży rodzi się każdego dnia. Gdzieś w świecie. Dla każdego potrzebującego. Rodzi się w każdej skupionej modlitwie. Oczekuje tej modlitwy. Rad ze świąteczności każdej chwili, którą potrafimy nadać naszemu życiu.

Zaskakujące to i zadziwiające.

MALUŚKI, MALUŚKI

Najpopularniejsza kolęda góralska. Ulubiona kolęda naszego papieża – św. Jana Pawła II.

„Oj, maluśki, maluśki, maluśki, kieby rękawicka / Alboli tez jakoby, jakoby kawałecek smycka. / Śpiewajcież i grajcie Mu, małemu, małemu”.

Bóg-dziecko domaga się, byśmy mu śpiewali. Byśmy się radowali dla Niego i dla siebie. Poza czasem troski jest czas wspólnego radowania się. Kołysanka daje ukojenie.

CICHA

„Święta noc, pokój niesie ludziom wszem”. Kolęda chyba najbardziej znana na świecie, przetłumaczona na ponad 300 języków i dialektów. Niesie pokój i uświęca macierzyństwo. Mówiąc językiem bardziej intelektualnym – utwierdza archetyp macierzyństwa, kod, odwieczny wzorzec poświęcenia i radości przez łzy matki *„nad Dzieciątka snem”.*

Matki, która wraz z ojcem dziecka jest odpowiedzialna nie tylko za zapewnienie bytu dziecku, ale i za jego wychowanie. Oto ludzie mają Syna Bożego także napominać. Ludzie tamtej epoki napominali swego Stwórcę.

Czyżby siła wyższa czerpała, otrzymywała także coś ważnego od marnych, grzesznych ludzi? Grzesznych, ale uświęconych przez rodzicielstwo?

GDY SIĘ CHRYSTUS

„O, niebieskie duchy i posłowie nieba / Powiedzcież wyraźniej, co nam czynić trzeba / Bo my nic nie pojmujemy, ledwo od strachu żyjemy”.

Nic nie pojmujemy, ale jednak wołamy: *„Gloria, gloria…”.*

Bez nauczenia się pokory i bez jej praktykowania na cóż chrześcijaństwo.

MOC TRUCHLEJE

Chociaż *„Pan niebiosów obnażony. / Ogień krzepnie, blask ciemnieje, / Ma granice nieskończony”.* Bóg zniżył się do postaci człowieka, narzucił sobie granice człowieczeństwa.

„Wzgardzony, okryty chwałą, / Śmiertelny król nad wiekami”. Jeśli naszego myślenia, odczuwania świata nie otworzymy na paradoksy – płytka wiara nasza.

ACH, UBOGI ŻŁOBIE

„Cóż ja widzę w tobie? / Droższy widok, niż ma niebo, / W maleńkiej osobie, / Droższy widok niż ma niebo / W maleńkiej osobie”.

Pochodząca z XVII w. kolęda nie pozwala zapomnieć o najuboższych, o tych, którym się nie powiodło. O powinności ulżenia ich niedoli. Pokrzepienia. Czyżby za pobożnością ludową kryła się idea demokracji?

BRACIA PATRZCIE

„Wszakże powiedziałem, że cuda ujrzymy; / Dziecię, Boga świata w żłobie zobaczymy, / Patrzcie, jak biednie okryte, / W żłóbku Panię znakomite”.

Biednie okryte, ale znakomite. Piękne są nasze kolędy. Głęboka jest prawda, nie tylko emocjonalna, w nich ukryta. Także teologiczna. Tak to czuję. Tak to rozumiem.

Świętujmy razem.

Katarzyna Zybertowicz

Autopromocja | Reklama 41/1122/F

eprasa.pl 52ff5dafe5
























Poznaj najlepszych **polskich sportowców**

w dyscyplinach bardziej i mniej znanych:

- najważniejsze wydarzenia w karierze
- sukcesy na światowych arenach
- medale, puchary, nagrody
- pasje nie tylko sportowe

Czytaj na:

wPolityce.pl/sport

PARTNER CYKLU:

ORLEN

eprasa.pl 52ff5dafe5

LOTTO

Lotteria Świąteczna

DO WYGRANIA ponad 30 000 nagród!

1 x Toyota Corolla



20 x Thermomix® TM6



40 x iPhone 13 mini 5G 128 GB



500 x karta podarunkowa 4F 500 zł



30 000 x 100 zł



Kup Lotto lub Lotto Plus oraz inny dowolny produkt LOTTO za min. 6 zł. Sprawdź na lotteriaswiateczna.pl, czy wygrałeś 100 zł. W przypadku braku wygranej zarejestruj kod i weź udział w losowaniu pozostałych nagród.

Pamiętaj, zachowaj kupon loterii promocyjnej!

Graj w punktach LOTTO i na lotto.pl

18+

Szczegóły i regulamin loterii promocyjnej na lotteriaswiateczna.pl. Okres sprzedaży promocyjnej trwa od 24 listopada 2022 r. do wyczerpania puli kodów promocyjnych, nie dłużej jednak niż do dnia 31 grudnia 2022 r. Organizator loterii: Totalizator Sportowy Sp. z o.o., ul. Targowa 25, 03-728 Warszawa.

eprasa.pl 52ff5dafe5